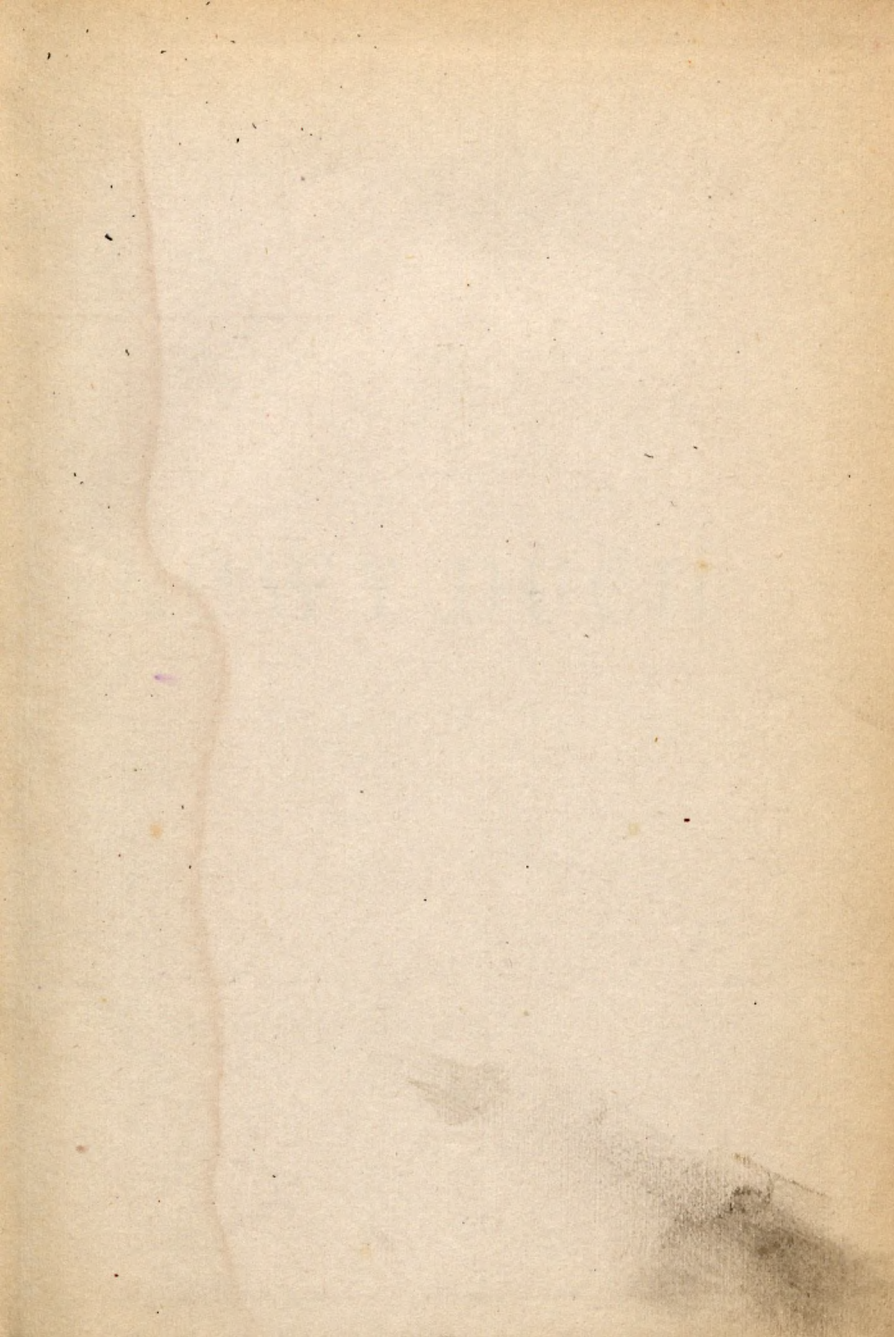
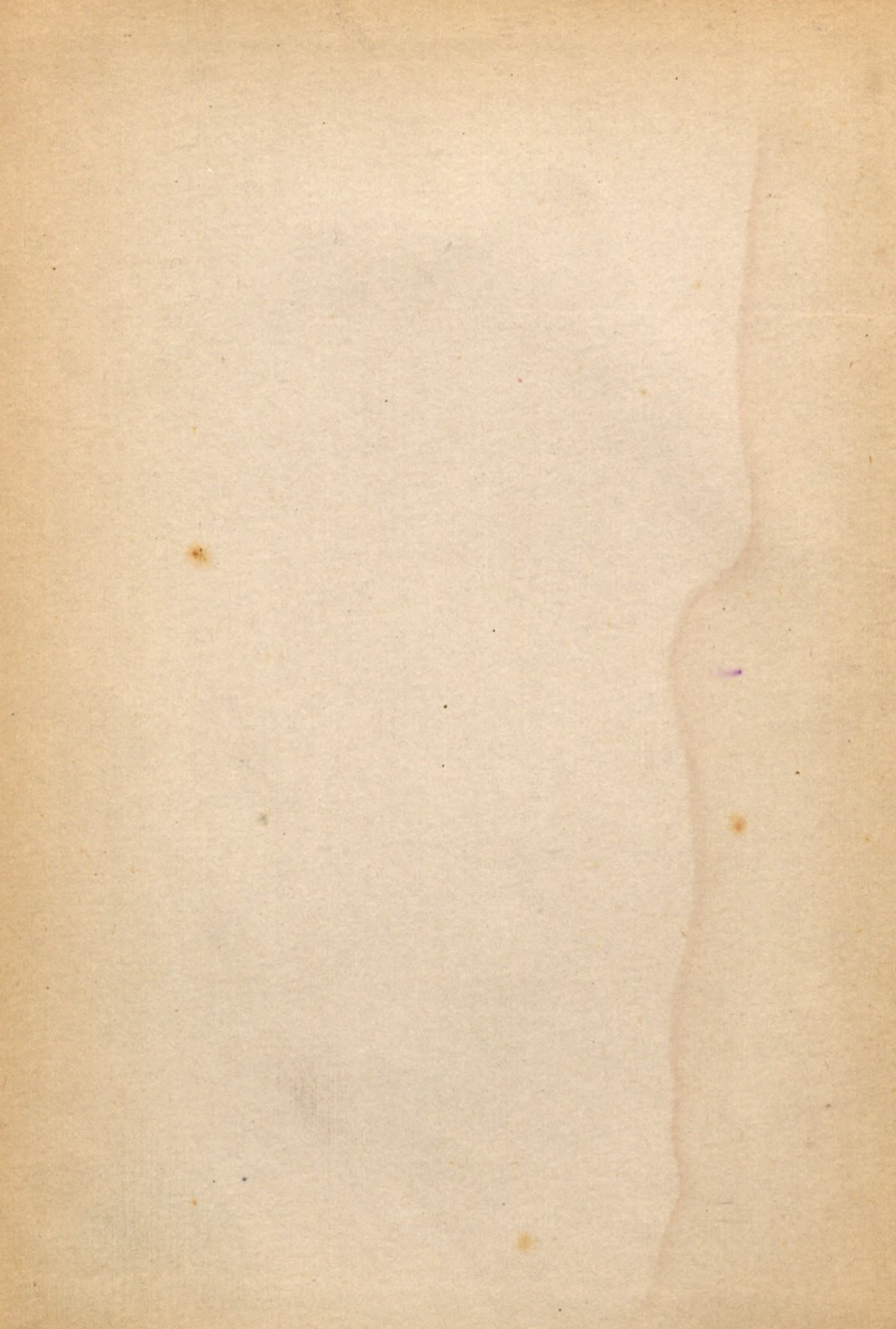


17942

B. P. im. L.

V





NOWY DUCH.

Tablet

1000072454



NOVA DECA

144609  
2308427

189420  
20/9

Z Księgozbioru  
BOLESŁAWA PRUSA

WYDAWNICTWO SPÓŁKI NAKŁADOWEJ.

—>><<—

EDGAR QUINET. *for*

*Prusa*

NOWY DUCH.

*Dukle*

—>><<—

*031312*



WARSZAWA.

Skład Główny w Czytelnicy St. Czarnowskiego

Nowy-Świat Nr. 19.

—

1881.



14(44) "18"

Дозволено Цензурою.  
Варшара 28 Января 1881 года.



# S P I S.

Przedmowa . . . . . 1

## KSIĘGA I.

### Początki świata umysłowego i moralnego.

	Str.
ROZDZIAŁ I. — Pierwsze doświadczenie. — Jak odzyskać utracony spokój . . . . .	5
— II. — Wyznanie bezwzględного zwątpienia . . . . .	10
— III. — Historia potwierdzająca nauki przyrodnicze — Pierwsi wynalazcy. . . . .	13
— IV. — Czy konieczną jest interwencja nadprzyrodzona dla wyjaśnienia natury ludzkiej? . . . . .	18
— V. — Zkąd wpływa poczucie piękna w państwie zwierzęcem? . . . . .	23
— VI. — Teorya miłości jako zasada powszechnego życia. 26	
— VII. — Miłość i geniusz twórczy. — Na czym polega postępek i upadek sztuk pięknych? . . . . .	33
— VIII. — Jak połączyć w sztuce prawdę z moralnością? . 38	
— IX. — Teorya kłamstwa . . . . .	40
— X. — Zkąd pochodzi sprawiedliwość? — Zkąd pochodzi przewaga złych w walce życiowej? . . . . .	45
— XI. — Zkąd pochodzi zwycięstwo złych? (Ciąg dalszy) 49	
— XII. — Jakim sposobem rasa dobrych może się ostać? . 55	
— XIII. — Jak się zarysowuje nowy problemat społeczny . 58	

## KSIEGA II.

### Fizjologia społeczna.

	Str.
ROZDZIAŁ I. — Dlaczego w jednym narodzie istnieją wrogie sobie umysły? . . . . .	63
— II. — O dziedziczności. — Nowe wytwory społeczne..	66
— III. — Przewroty w typach fizjologicznych są przyczynami politycznych i społecznych przewrotów	69
— IV. — Upadek klasy społecznej. . . . .	73
— V. — Zanikanie typu i rasy arystokracji. — Bogaci spadkobiercy. — Zmiana nazwisk. . . . .	80
— VI. — Wyludnienie i jego przyczyny . . . . .	89

## KSIEGA III.

### Nowy kierunek w naukach politycznych.

ROZDZIAŁ I. — Jak utrzymać równowagę moralną wśród zawichrzeń społecznych . . . . .	93
— II. — Reakcyonista francuzki i niemiecki . . . . .	96
— III. — Czem właściwie jest duch bizantyński? — Jak ginie narodowość? . . . . .	100
— IV. — Modlitwa Faryzeusza. . . . .	108
— V. — Szkoła historyczna i filozoficzna. . . . .	110
— VI. — Plutokracja i rząd bogatych. . . . .	112
— VII. — O prawie atawizmu w dziejach Francyi. — Czy istnieją jeszcze dusze niewolnicze. . . . .	117
— VIII. — O sztuce przetwarzania charakterów. . . . .	122

## KSIEGA IV.

### Duch wieku objawiający się w historii.

ROZDZIAŁ I. — Czem się różnimy od ludzi zeszłego wieku —	130
— II — Nowe objaśnienia religii starożytnych za pomocą nowych metod historii naturalnej. . . . .	134

	Str.
ROZDZ. III. — Dzieje czwartorzędowego człowieka. — Dzieje legendowych potworów. — Chronologia w dziejach religii. . . . .	140
— IV. — Nowy duch w historii prawa i własności. — Jak ugruntowaną i uszanowaną została własność.	149
— V. — Na czym polega różnica objęcia w posiadłość u ludów starożytnych? . . . . .	153
— VI. — Nowe komentarze praw epoki barbarzyńskiej. — Z jakich źródeł czerpały dusze starożytne? . . . . .	156
— VII. — W jaki sposób służalstwo spaczyło za naszych czasów dzieje starożytne? — Jedna z plam naszej epoki. . . . .	159
— VIII. — Sofizmata z powodu ducha niepodległości narodowej. — Usiłowania celem spaczenia dziejów. — Czy Sokrates jest przywódcą reakcyonistów? — Perykles i francuzki mąż stanu.	162
— IX. — Posłannictwa historyczne. — Jak fałszowano historię Cezara. — Pomysł nowej historii ostatnich czasów starożytności. . . . .	168
— X. — Czy historia jest dobrą arystokratką? . . . . .	176
— XI. — Jakim sposobem błędne poglądy sfalszowały sąd o chwili obecnej. — Dlaczego liberalizm wyparł się swobody . . . . .	178
— XII. — Nowa zasada do zastosowania w historii Francji i Europy w ogóle. . . . .	182

## KSIĘGA V.

### Duch wieku w krytyce literackiej.

RPZDZIAŁ I. — Teorya wyobraźni. — Jak się tworzy dzieło sztuki. — Czy poezya graniczy z szaleństwem. . . . .	184
— II. — Główne pytanie krytyki literackiej naszego wieku. — Poematy Homera. — Epopeja wieku brązowego . . . . .	190
— III. — Homer i historia naturalna. — Jego język, słownik i fizjologia. . . . .	194

	Str.
ROZDZIAŁ IV. — Pierwszy moment poczęcia się Iliady.—Wojna bogów. . . . .	198
— V. — Czy poematy Homerowskie są dziełem wielu rapsodystów? . . . . .	202
— VI. — Dlaczego systemy poglądów na Homera obalały się wzajemnie. — O jedności kompozycyi w przedmiocie literackim. . . . .	205
— VII. — Porównanie nastroju Iliady z nastrojem Odysei. O darze łez. . . . .	211
— VIII. — Metoda naturalistów zastosowana do kwestyi czasu, w którym żył Homer i Hezyod. . . . .	215
— IX. — Odkrycia M. Schliemanna na grucie Troady.— O ile one zaprowadziły zmianę w krytyce nad Homerem. . . . .	217
— X. — Poeta posługuje się małemi rzeczami, aby z nich wielkie utworzyć. . . . .	223
— XI. — Homer na ruinach Troi. — W jaki sposób legenda stała się rzeczywistością. — Wnioski, jakie ztąd można wyprowadzić dla krytyki literackiej w ogólności . . . . .	226

## KSIĘGA VI.

Duch wieku w filozofii. — Filozofia rozpaczy.

ROZDZIAŁ I. — Metafizyka konająca. — Czy stworzenie jest błędem Stwórcy? . . . . .	229
— II. — Złudzenia. . . . .	233
— III. — Drugi moment złudzenia.—Gdzie szukać szczęścia? — Umiejętności.—Szczęście zagrobowe. . . . .	238
— IV. — Trzeci moment złudzenia.— Wiara w postęp.— Samobójstwo. . . . .	244
— V. — Apokalipsa niebytu. — Szczęście w unicestwieniu jednostki i świata. . . . .	249

## KSIĘGA VII.

Duch wieku w filozofii. — Odpowiedź na filozofię rozpaczy.

	Str.
ROZDZIAŁ I. — Zwyciężony pociesza zwycięzcę. — Odraza do bytu w Indjach i Judei. — Dlaczego? . . .	255
— II. — Zwierzenia. — Doświadczenie na sobie samym. Czy mię życie zawiodło. — Młodość. — Starość.	259
— III. — Filozofia złudzeń. — Co znaczą te wyrazy: straciłem złudzenia? . . . . .	265
— IV. — Czy prawda robi więcej złego niż dobrego. — Filozofia złego. . . . .	270
— V. — Jakiemu stanowi społecznemu odpowiada filozofia złudzenia? — Natura i człowiek. . . . .	273
— VI. — Czegoby było potrzeba do powstania w Europie filozofii rozpaczy? . . . . .	277
— VII. — Nowa filozofia. — Człowiek w ścisłym związku ze światem. . . . .	282
— VIII. — Uspokojenie umysłu ludzkiego. — Zwycięztwo prawdy nad trwogą i śmiercią. . . . .	285

---



# PRZEDMOWA.

---

Książka ta jest streszczeniem pracy mego życia; zawiera ona w sobie niby encyklopedyę, wszystkie wnioski do jakich doszedłem w zakresie głównych gałęzi ludzkiego ducha. Pisałem ją podczas wojen domowych, znajdując w niej każdodziennie wytchnienie, w którym mogłem się skupić i odzyskać na chwilę spokój wewnętrzny. Pośród przyływu i odpływu ludzkich namiętności starałem się utrzymać w sobie duchową równowagę, opierając się na prawdach i rzeczach niezmiennych.

Teraz gdym książkę tę skończył, trudno mi się z nią rozstać i pragnąłbym rozpocząć ją na nowo. Oby praca ta i innym użyczyła tego spokoju, jakim mnie obdarzyła!

Człowiek żeglujący śród burzy, każe się czasami przywiązywać do wielkiego okrętowego masztu, żeby go wichry nie porwały. Podobnie i ja przywiązałem się do rzeczy najtrwalszej, do idei i prawd, które nas wszystkich przeżyją.

Z prawdami temi połączyłem losy moje. Tym to ożywczym ideom zawdzięczam, że w ciągu pisarskiego mojego zawodu, nie zaznałem ani na chwilę znużenia lub zniechęcenia.

Nie dość walczyć codziennie aby przygotować nową przyszłość; trzeba nadto pracować nad okryciem nowego ducha, który nada nową postać zawarciu tego świata, w progu którego stoimy.

Pszczola zawczasu przygotowuje pokarm dla mającej się narodzić poczwarki uczynimy tak samo; przygotujmy materiał dla mającego powstać świata i złożmy go obok jego kołycki.

W naszej epoce każdy człowiek winien swoim współczesnym wygłosić myśl, która spoczywa na dnie jego duszy, która go podtrzymywała i kierowała nim w dobrej i złej doli. Co do mnie, powiadam: to znalazłem w sobie najlepszego, oto owoc mego życia, skosztujcie i obyście w nim znaleźli pożądane lekarstwo.

Wiem że żyję w epoce nietolerancyi, wiem czego się mam spodziewać od tych których myśli nie zgadzają się z mojemi, sądzę jednak że z tej nawet nietolerancyi zdolam wyciągnąć pewną dla siebie korzyść. Gdybym się łudził, iż z łatwością rozbroję przesady, uprzedzenia lub nienawiść, stałbym się może skłonny do duchowych ustępstw, coby spaczyło język i myśli moje. Wiem natomiast, że cokolwiekbym zrobił wielu na mnie wyrok wyda. A więc wszelkie środki niepotrzebnego ubezpieczenia się odrzucam i korzystam raczej ze sposobności, w której ukazać mogę myśl moją nago, bez sztucznych osłonek.

I czegoż nam właściwie potrzeba, aby ostatecznie wy-



dostać się z przepaści? Chwili szczeroci. Łatwą ona dla tego, który nie myśli wcale korzystać ze schlebiana kłamstwa.

Naród ile razy zechce, może opóźnić się z wygłoszeniem prawdy; może posuwać się zygżakiem, od prawdy do fałszu, przez kręte manowce, z podniesionem lub pochylonem czołem, może kroczyć, wlec się lub biedz, według swej woli. Naród bowiem ma dość czasu, a czas jest najlepszym korektorem. Ja zaś jako człowiek pojedynczy, przywilejów tych nie posiadam, krótko zabawię na tej ziemi, winienem więc z czasu skorzystać. Nie mogę drogi mojej przedłużać, nie mogę się cofać ani zabawiać krążeniem od dobrego do złego, aby znów do dobrego powrócić.

Muszę iść naprzód nie pochylając się. Życie moje jest krótkie, winienem też, dla dojścia do celu obrać najkrótszą drogę. Taką zaś jest droga prosta. Idźmy więc i zdążajmy po niej do celu śmiało!

*Edgar Quinet.*



# KSIEGA PIERWSZA.

## Początki świata umysłowego i moralnego.

---

### ROZDZIAŁ I.

#### **Pierwsze doświadczenie. — Jak odzyskać utracony spokój.**

Wyznaję iż w stuleciu bieżącym najbardziej uderzył mnie widok filozofów, którzy rozpoczynawszy zawód swój od czystego spirytualizmu, zapierali się go po pierwszej próbie.

Żadne pojęcie nie było dla nich dostatecznie wyzwolone z materyi. Nowe zmysłowe czucie uważali za jakieś poniżenie. A cóż dopiero powiedzieć o organie umysłowości?

Podobna mieszanina pojęć cielesnych z duchowemi jak świętokradztwo odstraszała, owe dusze ze zmysłów wyzute. Tak było w metafizyce.

Co do moralności, ta naturalnie stopami swemi nawet nie dotykała ziemi. Była jedynie męztwem, ofiarą, poświęceniem, ustawicznym przypominaniem śmierci Sokratesa. Takie nauki, niby poufną przestrogę dano mi na wstępie życia.

Z początku się tem zachwyciałem. Wkrótce jednak zastanowiło mnie szczególnego rodzaju odkrycie. W chwili, gdy widownia spraw ludzkich się zmieniła, gdy wybuchła rewolucya 1830 r. gdy stosunki zewnętrzne ułożyły się inaczej, gdy ambicya i chęć przywódzenia znalazły przyjazną dla siebie sposobność, wtedy jednocześnie nastąpiła przemiana zarówno w filozoficznych teoriach jak i życiu. Surowy ich stoicyzm znikł w mgnieniu oka, zostawiając po sobie tylko — swój płaszcz wypłowiały. Zostałem sam w obec owego przewrotu i począłem szukać w ludzkich czynach znamion dawniejszych myśli; nie znalazłem jednak najmniejszego ich śladu.

Może ja tylko roilem? Czy ów idealizm, owa rozmowa w obłokach, owe przysięgi składane przed ołtarzem Platona, czyż wszystko to było igraszką, teatralną dekoracją lub mgłą, którą pierwszy podmuch rozwiął?

Chciałem zwątpić o tem, co widziałem i co bezustannie dochodziło moich uszu, a jednak zwątpić było niepodobna. Musiałem oswoić się z tą myślą widowiska, którego przedtem nie mógłbym sobie wyobrazić i które obecnie wydaje mi się najsmutniejszym. Było ono bowiem zaprzeczeniem ducha.

Gdy wyznam, że doświadczenie to skończyło się dla mnie w pierwszych zaraz latach, pomyślicie zapewne, że mnie ono złamało i że z rozpaczy oddalałem się od owych idei, które mi w dali ukazywano i w których znalazłem tylko zasadzki, w tej właśnie chwili gdym sądził, że się powierzyłem najczystszej prawdzie. Szczęściem inaczej się stało. Z tego pierwszego doświadczenia wyniosłem to przekonanie, że nie powinienem ślepo przyjmować następczanych mi teoryi, gdyż ci nawet, którzy tych teoryi bronili, nie byli o nich tak przekonani jak się zdawało, odrzucali je

bowiem łatwo, nazajutrz po przyjęciu z pierwszym wiatrem losu. Wszystko to było dla mnie wstępną lekcją niepodległości.

Co wtedy uważałem za przeniewierzenie się filozofii, to obdarzyło mnie wolnością.

Przestałem słuchać mistrzów i ośmieliłem się myśleć samoistnie. Piękne frazesy spirytualizmu i idealizmu tylko mnie zbałamuciły; nie posiadały one tej świętej cnoty, którą już byłem gotów im przyznać. Przez długi czas straszono mnie materyą i światem fizycznym jako zmysłowymi złudzeniami; tymczasem przeciwnie, właśnie ów czysty duch zawiódł mnie przy wstępie do filozofii. Wyborna więc sposobność gdybym tylko umiał z niej korzystać, do przyjrzenia się odwrotnej stronie potępionym przedmiotom — naturze, światu widzialnemu, życiu rzeczywistości. Zrobimy to, nie czując żadnej urazy do idealizmu, mógłbym do niego wrócić z tem większą ufnością i spokojem jeśli tylko prawda z tej strony mi się ukaże. Oto jest plan którego się mniej więcej trzymałem i który tłómaczy niniejszą moją pracę.

Po owym pierwszym sporze z czystym duchem, zapragnąłem spróbować czy mi się nie uda kiedyś pogodzić go w sobie ze światem zmysłowym, z historią naturalną, z naukami politycznymi i społecznymi. Ponieważ pierwsza filozofia z jaką się na drodze mojej spotkałem, tak szybko mnie zawiódła, że ją uznałem za błędną i jałową, zrozumiałem więc wówczas że czasom moim potrzeba nowego ducha, zapragnąłem go też odszukać i następnie dla dopełnienia mego planu zebrać to czego mnie nauczyło życie. Taką jest osnowa niniejszego dzieła.

Tak więc wolność duchowa narodziła się dla mnie z olbrzymiego zawodu. Sądzę też, że te same wysiłki,

jakie ja niegdyś robiłem ażeby nie uledez, czynią dziś w podobnych warunkach wszyscy, którzy dochodzą do zwątpienia przy końcu tego wieku, jak ja doszedłem w jego początku.

Zewsząd słyszę: żyjemy w chaosie. Przyznaję, że z wielu względów chaos Hezydoda był nawet światłem w porównaniu z naszym. Zkąd to pochodzi? Czyżby po chaosie materii miał nastąpić chaos umysłowy? Ciemności nad ciemnościami — mówią wszyscy dokoła. Szukajmy więc naszej drogi wśród tej nocy ducha.

Skoro umysł ludzki blizkim jest obłędu, pragnę w głównych zagadnieniach naszego stulecia wiedzieć co mam z tego wnioskować i czy nie ma gdziekolwiek jakiegoś stałego punktu gdzieby się można schronić przed burzą? Powiem ze swej strony: Cnoto, prawdo tyś pustem tylko słowem! Nie tego nie uczynię, lecz zapytam nauk ścisłych i spróbuję czy z tylu nagromadzonych promieni nie wydobędę światła którego szukam, owego *Novum Organum*, które jest celem wszystkich naszych myśli.

Gdy się przyglądam burzy, która porywa obecne pokolenie i pewnego rodzaju szałowi, który ogarnął nas wszystkich, powiadam sobie, że chęć przywrócenia równowagi w tyle rozpedzonych umysłach nie jest wcale objawem wygórowanej ambicji, epoka która zawiera tyle złego, zawiera z pewnością i lekarstwo na nie. Lekarstwo to niezawodnie istnieje, blisko nas może tuż pod ręką. Nie mieć odwagi do szukania go, byłoby dowodem nie pokory, ale raczej duchowego lenistwa. Spróbujmy więc.

Powiadają że przed dwoma tysiącami lat był na świecie okres pogody życia, nazywany epoką Greków. Dla czego, pytam, pogoda ta nie miałaby znowu na ziemię wrócić? Grecy istotnie zawdzięczali ją swoim poble-

żliwym bogom, których sami sobie stworzyli. Ale któż nam przeszkadza stworzyć sobie podobnych, a nawet lepszych? Czemużby nauka i światło nie mogły sprowadzić do duszy tego spokoju jaki dawało zmyslenie? Spróbujmy chociaż.

Czyż Grecy mniej od nas mieli powodów głębokiego umysłowego wstrząśnienia. Czyż wojny, niesnaski, przewroty, cierpienia i śmierć — oszczędniej im były niż nam wydzielone? Niejeden wolnym był rano, który był niewolnikiem wieczór. A jednak wśród tej zmienności losów głębia duszy ludzkiej pozostawała w spokoju. Nigdy człowiek nie rozpaczał nad swoją dolą. Grek rozwiązując zagadki które nam wydają się całkiem ciemne, pozostawał w zgodzie z sobą.

Czemużby nie miały wrócić owe dni świąt duchowych? Sami chyba temu się opieramy. Cokolwiekbyśmy mówili, ziemia i niebo są tem dziś, czem były wówczas. Co nam tedy przeszkadza używać darów wszechświata, który otrzymaliśmy jak i Grecy, tylko odnowiony i spotęgowany wszystkim, co odkrycia przydały starej naturze? Świat wzrósł dla nas pod naszą opieką, czemuż go więc kurczymy? Ukazały się nieznane słońca i rozlały promienie z niebieskich sklepień.

Wolelibyśmy może, aby światła te pogasły? Uroczystości niebios trwają ciągle, piękniejsze nawet, niż za czasów greckich Olimpiad. Nie odchodźmy więc przed czasem, wyczerpani, znużeni, jakby uroczystość ta już się skończyła.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Wyznanie bezwzględnego zwątpienia.

Idealiści utrzymywali, że świat istnieje jedynie w naszym mózgu. Szerokie rozprawy toczyli ludzie, ukuli ową hipotezę. Wszechświat dowodzili oni, jest tylko objawem mózgowym; początek jego datuje się od chwili, w której się znalazła pierwsza głowa ludzka, gotowa świat ów stworzyć.

Można było tak mówić wtedy gdy przypuszczano, że początek świata przypada prawie jednocześnie z początkiem rodu ludzkiego. Lecz dziś, gdy geologia wykazała istność tysięcy stuleci i kolejnych światów, które poprzedziły człowieka, jakże mogą odnosić pojawienie się nieba i ziemi, do pierwszej myśli ludzkiej? Gdzież był mózg który świat ten wymyślił, skoro nie było jeszcze mózgu, a tylko mięczak pierwotnej epoki?

Powiadacie, że sam widz stworzył sobie widowisko? Wybornie. Lecz gdzież był widz wśród nieskończonego szeregu okresów pierwotnych, które poprzedziły powstanie nawet mięczaków?

Nie było go.

Nie było patrzącego oka, ani nawet zarodka myśli. Gdzie był świadomy podmiot, któryby mógł wyobrazić so-



bie przedmiot? Gdzie było ja, któreby mogło sobie wytworzyć w próżni nie - ja?

Powiecie, że wszechświat, którego kolejne wieki obserwujemy w kamieniu, nie istniał, nie wchodził w rachubę czasu, ponieważ was nie było i ponieważ nie mógł istnieć bez was, zewnątrz was?

Albo może powiecie, że właśnie przed chwilą utworzyliście sobie w duchu owe podziemne warstwy granitu i wapna, że one są jedynie idealną operacją waszego umysłu, będącego pracownią, w której powstały odwieczne podstawy ziemskiego globu?

Czekam na dowody tego twierdzenia i korzystam z dowiedzionej odwieczności globu, aby się uwolnić od owych fantazyi, które powstanie świata czynią zależnem od was którzy istniejecie od wczora. Pierwszy zaraz krok uwalnia mię od widziadła.

Jeżeli człowiek chwytą tylko pozory, toż samo należałoby powiedzieć o wszystkich istotach ożywionych, a wtedy ustrój wszechświata stanowiłyby tylko sidła zastawione na wszystkie istoty widzące, czujące, smakujące, słyszające, dotykające się i rozpoznawające to czego nie ma.

Czy podobnaby uwierzyć w taką powszechną omyłkę? Za czasów Kanta porównawcza anatomia mózgu jeszcze nie istniała. Gdyby filozof ten znał ową anatomie, przekonałby się, że mózgi w świecie zwierzęcym zbliżają się stopniowo do mózgu ludzkiego; a wtedy porzuciłby ową ideę sideł zastawionych na całe stworzenie.

Jestże więc świat tylko pozorem przez nasz umysł wytworzonym? Posłuchajmy do jakich ztąd dochodzi wyników uczeń Kanta Artur Schopenhauer: Zagadka świata jest rozwiązana tylko we mnie.

Świat istnieje tylko przez moją wolę. Mogłem go stworzyć mogę dowolnie przetwarzać. Jest to mara którą prowadzę według mego upodobania, i którą wywołałem na moje nieszczęście i odemnie też zależy pogrążyć ją w nicestwie.

Zaprawdę wygodny to wszechświat, który jest tylko mydlaną bańką, puszczoną w powietrze a znikającą za pierwszym podmuchem. To rozcina odrazu wszelkie trudności.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### **Historia potwierdzająca nauki przyrodnicze. Pierwsi wynalazcy.**

Czemu tak chętnie przywracamy ciemności w miarę jak je rozpraszają nauka i doświadczenie? Widocznie żądza ciemnoty musi być potężną w człowieku, skoro sami uczeni lubują się w stwarzaniu tajemnic będących zaprzeczeniem własnej ich wiedzy.

Stosując utylitaryzm Benthama do królestwa zwierzęcego doszliśmy do przekonania, że celem postępowego rozwoju pewnej istoty jest bezpośredni jej pożytek, że ona ma ręce do chwywania, oczy do widzenia, uszy do słyszenia. Zgoda. Sądzę że stoję na twardym gruncie; ale oto zauważyliśmy jakiś organ, którego użyteczność nie jest widoczną, mówimy że objaw ten sprzeciwia się wszystkim znanym dotychczas prawom, że zagadkę tę rozwiązać można jedynie po za naturą, udziałem tajemniczej po za światowej potęgi; po manowcach więc wracamy znowu do cudu, wśród całego naukowego aparatu zoologii.

Co za obszary przebiegliśmy w kilku tych wierszach! Jakto! Mielizbyśmy tak łatwo wrócić do świata nadprzyrodzonego, tak silnie wierzyć tajemnicy a tak słabo obserwacyi!



Waham się badam, zapytuję o co chodzi, jaki cud zdołał tak szybko obudzić jeden z najbystrzejszych umysłów naszej epoki? <sup>1)</sup> I oto co spostrzegam.

Niektórzy ludzie kopalni z okresu kamiennego, jak na przykład człowiek z jakimi Engis, mieli mózg prawie tak samo rozwinięty, jak człowiek nam współczesny. Na co im się przydał mówią, mózg sak obszerny? Co z mózgiem tym robili? Otrzymali więc dary które dla nich były bezużyteczne? Nie mieli bowiem żadnej sposobności ani myśleć, ani wynajdywać. Organ nie mogący do niczego służyć istocie która go posiada, to odkrycie obalające całą nowoczesną wiedzę historyi naturalnej.

Cóż się więc stanie z zasadą naturalnego doboru, czyli użytecznością? Co się stanie z tylu innymi pojęciami, uznaniami za prawdziwe, które odnowiły z gruntu naukę, o świecie zwierzęcym i roślinnym? Jeden fakt taki jak istnienie czaszki z Engis, zbija wszystkie teorie Darwina, burząc mniemany utilitaryzm natury. A można przytoczyć znaczną liczbę tego rodzaju faktów, gdyż i obecnie dzicy mają mózgi, nad potrzebę swoją rozwinięte. Brak ustosunkowania między organem myśli a jego działaniem, między mózgiem a funkcją duchową, zmusza do wyrzucenia się zasady, według której w człowieku i zwierzętach wszystko dzieje się zgodnie z ich bezpośrednimi potrzebami.

Przypuszczano już, iż odkrytą została tajemnica tworzenia się gatunków, aż oto owa tajemnica nam się wymyka. Wpadamy, znowu w konieczność uciekania się do

---

<sup>1)</sup> Alfred Russel Wallace. *Natural selection*, str. 336, 349, 355, 359.

zaświatowej potęgi, która działa, przygotowuje, organizuje za pomocą środków przez naukę nieprzewidzianych. Poważny to zaiste wynik: burzy bowiem wszystko, co ustawiły obserwacya i doświadczenie.

Mówiłem o trudności — oto, podług mnie rozwiązanie.

Przyrodnik który postawił zagadkę byłby ją rozwiązał, gdyby do swojej głębokiej specjalnej umiejętności przyłączył historję; z zetknięcia się tych dwu nauk wytrysnąć może światło — jednej nie dość.

Czy prawdą jest że mózg goryla wystarczyłby człowiekowi drzedhistorycznemu z epoki kamienia?

Przyjąć tego nie mogę.

Czyż umysłowość ludzką widzicie jedynie w wielkich dziełach cywilizacyi daleko posuniętej? Czyż dla okazania że istnieje duch ludzki i że się posługuje ludzkim mózgiem, trzeba koniecznie wybudować Partenon lub wynaleźć maszynę parową?

Co do mnie wierzę, że człowiek przedhistoryczny potrzebował zdolności umysłowych już zupełnie ludzkich, aby uczynić pierwszy krok, zerwać z rutyną martwej przyrody, wynajdywać, tworzyć, choćby tylko kamienną siekierę. Ów mózg z pieczary Engis jest już mózgiem filozofa — i czemużby nie? Zbyt mało cenicie pierwszych wynalazców, którzy przecież przed innymi stworzyli to, czego nie było w ciągu tysiąca wieków nieorganicznej przyrody. Lekceważąc tę początkową chwilę, rzeczy ludzkich wstępujecie na drogę, na której cała wasza nauka mogłaby się zaprzepaścić.

Ten co pierwszy wymodelował broń, zgiał łuk, zrobił z kości strzałę lub siekierę wyciosał, ten był wynalazcą. Nie miał on żadnego poprzednika, który by mu drogę wskazał, każda myśl jego była samodzielna, gdzie pewność że do

tego aktu tworzenia i samodzielności nie potrzeba było dobrze rozwiniętego mózgu społecznego nam człowieka, który naśladowuje już przedtem po tysiąc tysięcy razy? gdzie pewność, że człowiek, który pierwszy wpadł na pomysł rzucenia w ziemię ziarna zboża, aby następnie zebrać kłosa, nie potrzebował takiego rozwinięcia mózgowego, jak Felleberg lub Richard du Cantal <sup>1)</sup>.

Człowiek przedhistoryczny wpada na myśl rysowania zwierząt, które napotyka, zachowując wiernie ich podstawę i ruchy. Któż utrzymywać będzie, że ci malarze i rzeźbiarze przedhistoryczni, którzy nie mając poprzedników, wynaleźli jednocześnie swoją sztukę sposób traktowania i narzędzia, że dla ludzi tych dostatecznym mógł być mózg goryla „mający rozmiaru trzydzieści cztery cale kubiczne i pół.“

Ze zdziwieniem przekonywacie się że człowiek wykopany w Engis miał mózg godny francuskiej akademii. Przystaniecie się dziwić, zbadawszy pierwszą formację języków ludzkich, nawet plemion dzikich pierwiastki, gramatykę, spółgłoski a przedewszystkiem ich logikę. Przekonalibyście się wtedy, że każdy język, nawet człowieka kopalnego, zdradza w sobie filozofię i działania ludzkiego mózgu.

Kto wie ile ta czaszka z Engis, która wam taki kłopot sprawia, zawierała w sobie błysków światła, przeczuć i przewidzeń, zastosowanych do ówczesnego stopnia przemysłu, do zaczątków sztuki i języka? Może ona to właśnie odkryła ogień, wynalazła łuk i strzałę.

Starożytni niedopuszczali się błędowi, o którym tu mó-

---

<sup>1)</sup> Autor francuskiego *Słownika rolniczego*.

wię; po nad wszystko poważali pierwszych wynalazców. Przedhistorycznego człowieka, który odkrył ogień, zrobili Prometeuszem; pierwszego co siał zboże — Triptolem i stowarzyszili go z Cererą. Starożytni nietylko, nie posądzali wynalazców z epoki kamiennej co do masy mózgu, ale nawet przypisywali im przymioty olimpijskie, oddawali im cześć bożką.

Nie należy więc sądzić, że ludzie przedhistoryczni nie potrzebowali ludzkiego organizmu i nie trzeba wnioskować, że człowiek dziki obala te zasady nauk przyrodniczych, które powstały za naszych czasów.

Przeciwnie dzieje człowieka potwierdzają tu historię naturalną.

Z tego wszystkiego wniesć wypada, że człowiek przedhistoryczny, aby stworzyć wszystkie zaczątki cywilizacji ludzkiej potrzebował ludzkiej głowy. Nawet istota okresu trzeciorzędowego po której zostały tylko szczątki siekiery, niebyła bynajmniej połową człowieka. Wynalazła ona maczugę broń Herkulesa, był to już zatem człowiek zupełny.

## ROZDZIAŁ IV.

### **Czy konieczną jest interwencya nadprzyrodzona dla wyjaśnienia natury ludzkiej?**

Przyrodnik przyrzeka objaśnić wszystko na podstawie praw, bez pomocy nadprzyrodzonej interwencyi. Idę za nim po tej drodze. Lecz nagle traci on odwagę; zatrzymuje się zdziwiony, spotkał bowiem zjawisko, które mu wikła przyrodniczą jego filozofię. Czemu — zapytuje on — człowiek nie jest pokryty włosami jak czworonożne zwierzęta?

Odpowiadam: futro ssaków przekonywa, że one pochodzą z północy lub conajmniej ze sfery zimnej. Zwierzęta pokryte sierścią (konie, woły) pochodzą ze sfery umiarkowanej (północnej i zachodniej Tartaryi, półn. Indyj). Co zaś do człowieka, to ten bynajmniej nie jest jedynym nago rodzącym się stworzeniem.

Nagim również jest i słoń. Skórę ma czarniawą, tłustą i gładką jak murzyn. Dla czego? Bo należy do sfery podzwrotnikowej. Futro, skóra włosiem pokryta — nie pozwałyby stron tych zamieszkiwać. Ztąd wniosek, że skoro człowiek jest nagi, był pierwotnie rodakiem słońca.

Opuściwszy sfery gorące, musiał następnie walczyć z obcym sobie klimatem,

Nakrycie skóry niedźwiedzia, lwa, wilka lub kangura zmienia się stosownie do miejsca.



Że człowiek przychodzi na świat nagim nie upatrujcie w tem jakiejś wątpliwości, jakiejś niewyjaśnionej tajemnicy<sup>1)</sup>. Żałować go że urodził się nagim, można tylko dla retorycznego efektu, który nie może mieć miejsca w historii naturalnej. Żałujcie więc i nosorozca, gdyż także jest nagim. Uszy są jedynymi częściami jego ciała, okrytymi włosom albo raczej szerscią.

Dzięki przypadkowemu odkryciu dowiedziano się, że mamut w sferach zimnych, był obrosły. Stracił grzywę, gubił futro w miarę jak posuwał się ku pasom południowym. Jego przekształceni potomkowie pod słońcem Indyi i Afryki są nadzy.

Jakim sposobem głos człowieka przedhistorycznego zlagodniał i uzyskał giętkość melodyjną? Czyż i ten objaw wydaje się wspomnianemu badaczowi<sup>2)</sup> niepojętym bez czynnika nadprzyrodzonego?

Odpowiedź: nie wszystkie głosy otaczającej nas przyrody były mruzeniem, rykiem i krzykiem dzikich zwierząt; istniały także melodye ptaków. Człowiek, który naśladował wszystko, naśladował również głosy śpiewającego ptactwa. Napelniał nimi swoją pierwotną mowę, przysłuchiwał się ich spadkom i odtwarzał je. W ten sposób organ głosu ludzkiego nabrał giętkości; człowiek śpiewał zanim mówić zaczął. Zawsze i wszędzie znajdował nauczycielów.

Ale skąd pochodzi świadomość?

Podług mego przekonania, świadomość, usłpiona w materii, rozbudza się stopniowo, w miarę jej rozwoju. Przez

---

1) Wallace *The Theory of natural selection*, str. 345.

2) Wallace, *Natural Selection* str. 350.

połowę życia jesteśmy nieświadomi, mianowicie podczas snu. Wtedy często nie posiadamy więcej świadomości od kamienia i powiadamy nawet: spałem snem kamiennym lub ołowianym.

Stopniowo pozyskujemy pół-swiadomość, świadomość roślinną, a wreszcie światło zupełnej świadomości. Co w nas wszystkich każdodziennie zachodzi, wyjaśnia nam to, co się odbywa w całej naturze.

Wolno mi zauważyć, że Buffon zbyt sprowadza gatunki zwierzęce do czystego mechanizmu, zbyt im odmawia najprostszyc**h** błysków wewnętrznych, nawet wtedy, gdy je maluje świetnemi rysami? Przyznaję, że tym sposobem podniósł człowieka, ale też uczynił go niepojętym. Żadna przed nim istota, nie zapowiada go, nie przygotowuje; nie ma przed człowiekiem nawet cienia inteligencji na ziemi.

Wreszcie przybywa on, chociaż jego przybycie nic odgadnąć nie pozwalało.

Wypadałoby dziś napisać psychologią królestwa zwierzęcego przed wystąpieniem człowieka. Jestto niewątpliwie jedno z zadań naszych czasów. W głębi wewnętrznych ciemności, w jakich wszelakie zwierzę jest pogrążone, ujrzymy błysk pierwszego promienia rozumu, a promień ten rosnać będzie z każdym nowym rodzajem stworzeń aż do ostatniego ich widoku, w którym ród ludzki ukaże się w blasku umysłowego świata. W widokach tych nie byłoby próżni; a duch stałby się przedmiotem jeszcze większego podziwu, gdybyśmy wiedzieli jak on stopniowo wydoskonaliał się w wielkiej pracowni powszechnego życia. Dwa spostrzeżenia przypominają mi się często, które właśnie na tem miejscu myśl moją dopełnią.

Pewnego dnia Izydor Geoffroy-Saint-Hilaire pokazał mi menażeryę w ogrodzie botanicznym w Paryżu. Zbliżyliśmy się do jednej z klatek dzikich zwierząt. W jednej z nich znajdował się lew z lwicą. Para ta stała nieruchomie i zdawała się nas nie widzieć. Lew podniósłszy swą szeroką łapę położył ją zwolna i łagodnie na czole lwicy. Oboje zachowali tę postawę dopóki my pozostaliśmy na przeciw nich. . . .

Cóż ten gest miał znaczyć? Czy malarz, któryby chciał przedstawić spokojną bolesć i współczucie istoty silniejszej, mógłby wynaleść coś bardziej porywającego? Dziś jeszcze obraz ten, gdy to piszę staje mi w pamięci i wzrusza mnie: Co to znaczy? zapytałem Izydora Geoffroy. — Szczenie ich rano żyć przestało. Wtedy pojąłem scenę, na którą spoglądałem. Litość, życzliwość i przywiązanie — widniały na tych pomarszczonych czołach. Gdybyście byli świadkami tego widoku, nie pytalibyście się dziś, zkąd rodzić się mogą podobne uczucia i czy możliwem jest, aby istniały one w królestwie zwierzęcem przed powstaniem człowieka.

Drugie spostrzeżenie: zwierzęta zdolne są do wykonywania doświadczeń na sobie samych dla uwolnienia się od złudzeń echa? Zauważyłem właśnie uderzający przykład, który ze względu na zbieg szczególnych okoliczności, nader rzadko się trafia.

Pewnego wieczoru w Schweizerhalle, usłyszałem wielkiego psa, który, zbudziwszy się począł szczekać na progu domu. Echo powtórzyło jego szczenie. Na ten dziwny głos pies odpowiada tonem groźby, i to się odbija. Pies szczeka silniej. Coraz bardziej rozdrażniony przechodzi przez wszystkie stopnie 'gniewu. Zawył — przeciągłe wycie mu odpowiedziało. W tem jakby jakieś światło błysło w jego głowie, zmienia nagle ton; echo również się

szukały najlepszych osobników swego gatunku, a gatunek nie upadł.

Ta właśnie miłość dla ideału podtrzymuje państwo zwierzęce w obec zmiany epok. Jedynie tylko człowiek kocha czasami to, co najbrzydsze, najwystępniejsze najbardziej ludzkiego charakteru pozbawione. W takich chwilach zniżają się społeczeństwa, giną cywilizacje.

Przyjrzyjcie się nieskończonym zachodom samców, dla przynęcenia i oczarowania samic, usiłowaniom tak stałym, że przez te ich sposoby odmieniły się i upiększyły. Bez ustanku nawołują, śpiewają, krzyczą, szmerzą, jedynie dla tego, aby się podobać swym samicom. Walczą z współzawodnikami głosem, śpiewem, dziobem, szponami, nóżkami, zębami, szczękami; a wieczna ta walka zawsze ma jeden tylko cel przed sobą; osiąść to co gatunek ma najlepszego. Skutkiem tego skierowanie wszystkich sił do jednego celu, przekazują one potomstwu swoje przymioty. Umieją z pokolenia na pokolenie przechować nietkniętą broń do walki, narzędzia muzyczne, wokalne i instrumentalne, któremi rozstrzygają wybór na swoją korzyść i weselne swe opierzenie na miodowe miesiące.

W naszych dopiero czasach naturaliści w związkach w wyborze zwierząt uznali konieczność podobania się, wrażliwość na piękno i pewnego rodzaju bezwiedną estetyczność. Za czasów Lukrecjusza, a nawet Buffona sądzono, że między zwierzętami zawsze roztrzyga siła i ślepy szal. Najczęściej przeciwnie decyduje wybór pocucia barw, kształtów i śpiewu. Ztąd wniosek odnośnie do rodu ludzkiego, że przymioty kobiet są mniej uwzględniane niż przymioty samic w większości swobodnie żyjących zwierząt. U tych ostatnich u których żadne

umowy nie istnieją, wszystko jednocześnie zależało od osobnika i od gatunku. Konik polny, siadłszy na krzaku, od rana do wieczora nawołuje drżącym głosem milczącą samiczkę; ta zaś nie wybiera samca siedzącego na najbardziej owocodajnym drzewie ale raczej tego, który łączy w sobie najdoskonalej główne warunki swojego rodzaju. Człowiek, przeciwnie: żeni się z sytuacją a nie dba o osobę. Ta jest niczem w wyborze. Czyż rodziny, warstwy społeczne, narody i wreszcie rasy nie muszą upadać?

Tak więc poczucie piękna państwo zwierzęce zachowuje i podtrzymuje. Gdy poczucie to jest dla człowieka teorią bez zastosowania, człowiek jest tylko połową siebie.

Osądźmy z tego, co pociąga za sobą zniesienie rozvodu w narodzie. Oto dwoje niecierpiących się istot, których nic rozłączyć nie może, skrepowanych wbrew woli wstrętnym związkiem małżeńskim, wstrząsającym całą ich istotę: co za szpetne i nienawistne zostawią po sobie potomstwo. Gdyby zwierzęta były ujarzmione nierozzerwalnymi związkami mimo wzajemnego wstrętu i nienawiści dawnoby już ich rodzaje znajdowały się w zupełnym upadku.

## ROZDZIAŁ VI.

### **Teoria miłości jako zasada powszechnego życia.**

Hezyod i starożytni w ogóle bliżsi byli prawdy od nas gdy głosili moralne zasady oparte nie na rachunku, ale na powszechnej miłości. Miłość ta, starsza od bogów, najpiękniejsza z bogów nieśmiertelnych, była dla starożytnych twórczynią wszechrzeczy. Ona nam wyjaśnia tajemnice początku istot i pojęć.

Czy owa kosmogoniczna przenikająca każde stworzenie siła, które jest duszą i ogniskiem powszechnego życia, stała się obcą naszemu naukowemu jego pojmowaniu.

Czy owego przedhistorycznego genetycznego prawa nie zastępujemy zbyt często, abstrakcjami i zagadkami? Miłość tak daleko jest dzisiaj od nas i od naszych systematów, że gdy się pojawi spoglądamy na nią jak na chorobę, jak na rozstrój pamięci i wyobraźni.

Przyznajcie mi chociaż, proszę, że to, co na początku rozproszyło chaos, rozbiło pierwsze jajko świata, wydało i urozmaiciło gatunki, zbudziło jednostkową świadomość, stworzyło ożywiony wszechświat, zapaliło w każdym stworzeniu wewnętrzny geniusz — przyznajcie, że to nie było ani chorobą, ani rozstrojem żyjącej przyrody.

W najgorszych chwilach byli ludzie bujający w obłokach. Zdala od brzydoty swojego czasu, ubóstwiali piękno. Nie sięgały do nich krzyki niesnasek, rzezi i państwowych upadków. Zapatrzeni w siebie uśmiechali się wśród konania i zarazy. Dla czego? Bo ludzie ci stanowili dla siebie wzajemnie wszechświat: po za którym nic dla nich nie istniało.

Jak były wyrosnięte kwiaty podczas najniepogodniejszych dni świata tak też byli i ludzie, którzy karmili się rozkoszą wśród żałoby człowieczego rodu. Żyli oni pod naciskiem wszystkich czasów, są również i w naszych. Za Merowingów, za Filipa XV, gdy ród ludzki usychał, były istoty obojętne na jęki, ślepe na klęski, które mimo wywrotu państw, budowały sobie królestwa radości i szczęścia.

Któż były te niepojęte istoty? Te, które kochały. Czasem królestwo ich istniało tylko przez chwilę — jeden dzień, ale dzień ten był dla nich wiecznością. Zkąd otrzymały ten przywilej? Gdy inni członkowie rodu ludzkiego żyją zgięci koniecznością, na pastwie nędznych myśli i robaczych planów, uwięzieni w nałogach swego zawodu, w przesądach epoki, w rachubach naukowego życia — tamci mają geniusz, który ich unosi ponad warunki swego czasu i narodu. W chwili gdy inni się czołgają, oni wzlatują na skrzydłach.

Zkąd je wzięli?

Spojrzenie jak głęboki ich wzrok przenika nieskończoność a błogi zachwyt roztwiera nad ich głowami niebios. Któryż myśliciel jest bardziej zagłębiany w swem odkryciu, jak ten co kocha, jaki święty — w widzeniu, jaki poeta — w dziele?

Któż to w jednej chwili przypiął szerokie skrzydła

tej biednej duszy, wczoraj jeszcze bezwładnej i w sobie zatopionej?

Może jutro wróci ona do swej pierwotnej martwoty, jutro może straci te skrzydła i zacznie znowu pełzać oschła, naga, nędzna jak robak ziemi! Lecz dziś kocha, jest kochana, króluje na tronie wszechświata.

To miłość — powiadacie. Tak, bezwątpienia. Lecz cóż to jest ta miłość?

Mimo tylu poetów, którzy ją opisywali, wszystko jeszcze pozostaje do powiedzenia w tym przedmiocie.

Przedtem już wykazałem, że w państwie zwierzęcem, osobniki wybierają te, które najdoskonalej skupiły w sobie przymioty swego gatunku. Znalazłszy jednostki, obdarzone temi zasadniczymi cechami — pięknnością, siłą, żywotnością — przenoszą je nad inne, łączą się z niemi i mnożą gatunek. Oto grunt miłości w królestwie zwierzęcem.

Cóż powiedzieć o rodzie ludzkim? Czemu tu bierze udział każde włókno ustroju? Zkąd owo ogólne wstrząśnienie duszy i ciała? Po przez wszystkie zasłony widzę geniusz rodu ludzkiego, skupiony w sercu kochającej się pary!

Istotą namiętnej miłości jest ludzkość w zarodzie, spojona tajemnicą dwojga istot, które sądzą, iż są stworzone dla siebie. Alboż każdy kochanek nie wierzy, że jego ukochana przewyższa wszystkie inne tem, co stanowi istotę rodu ludzkiego? Nie jestże ona w jego oczach najpiękniejszą, najwdzięczniejszą, najodpowiedniejszą pragnieniom męskiego serca? Czyż on nie sądzi, że wszystkie kobiety powinny być podobne do niej?

Czy dla rozłączonych kochanków cały ożywiony świat nie



wydaje się pustynią? Ród ludzki znika w ich oczach. O tyle też jest prawdą, że oni skupiają w sobie ród ludzki, wraz z niemi zamiera on lub ożywa, wśród głębokiej samotności są dla siebie całym narodem; tajemnica widniejąca w ich oczach, jestto nowa ludzkość, którą w sobie noszą. Jakże nie mają być upojeni? Głuche kwilenie przyszłych pokoleń odzywa się w ich słowach i kryje dla nich gwar wszechświata.

Sądzicie że są samotni! Ach, jakże się mylicie! Tchnienie nowych pokoleń błądzi na ich wargach; nowe czasy falują mimowiednie w ich oczach. Skupili oni w sobie substancję wszystkich przyszłych stuleci; jakże więc nie mają być zakłopotani? Nic nie wiedzą jeszcze o tej ludzkości która ich otacza i dokoła ich promieniuje, a to właśnie stanowi dopełnienie owej magji.

Przyjrzyjcie się poczęciu Maryi Murilla, wiencom skrzydlatych dzieci wyłaniających się z głębi i dążących do narodzin. Wzywają życia, tworzą koło przyszłych pokoleń. A, nie wchodźcie do tego zaczarowanego koła wy, którzy chcecie zachować swój rozum nietkniętym. Nie stawiajcie stopy waszej w ten magiczny krąg nocnych zachwyków.

Pójdźmy dalej. Pragną, aby geniusz całego rodu ludzkiego ześrodkował się w kochającej duszy i aby wieki istnienia przyszłej ludzkości były w zarodku przez chwilę. Wyznaję, że nie znamy jeszcze wcale miłości, jeśli nie dodajemy jednego rysu obejmującego wszystkie inne i dopełniającego je niby płomień pochodnię.

Nie idzie tu jedynie o pokolenia pragnące się narodzić, ale o stworzenia doskonalsze. Nie są kochankami ci, którzy nie wyobrażają sobie takiego szczęścia, jakiego przed niemi nikt nie posiadał. Kochankowie two-

rzą dla siebie raj; jakiego świat jeszcze nie widział — wiek złoty. Reszta rodu ludzkiego nie umiała osiągnąć tej szczęśliwości ani nawet o niej zamarzyć; oni jednak zdolają pozyskać ją i utrwalić. Nie jestże to marzeniem wszystkich? Tak więc ostatecznie celem miłości jest miłość, to jest świat lepszy.

Nic głębiej nie wstrząsa duszą ludzką nad to, co jest jednym z warunków powstawania żyjącego świata. Gdy mężczyzna i kobieta pobierą się z miłości, wchodzą w powszechne prawo, które stworzyło świat ożywiony. Na dnie ich miłości kryje się przyszłość rodu ludzkiego, chociaż oni o tem nie wiedzą.

Na tem polega wielkość miłości, ubóstwianej po wszystkie czasy, począwszy od Hezyoda. Nie chodzi tu zresztą o dwie znikome istoty, o których pamięć zaginie, ale raczej o świat potomności doskonalszej, przeczuwanej i już osiągniętej. Kochankowie, kryjąc w łonie swem obraz owej przyszłej nieokreślonej szczęśliwości, chociażby nizcy i ciemni łatwo wznoszą się do najwyższej krainy. Dzieje Romea i Julii, Pawła i Wirginii, Heloizy i Abelarda są równie zajmujące, jak roczniki niejednego państwa.

I dlatego dzieje owe, chociaż zawsze jednakie, nie nużą nigdy. Każde pokolenie znajduje w nich obiecaną ziemię, wiecznie przez ród ludzki pożądaną.

Mimo wszystko miłość ludzka prawdziwe owoce wydaje dopiero w małżeństwie. Cudzołóstwa bogów płodziły Herkulesów i bohaterów, gdyż bogowie nie potrzebowali się z niczem ukrywać. U ludzi rzecz się ma inaczej. Miłość, zmuszona kłamać, oszukiwać, zdradzać, płodzi istoty fałszywe i przewrotne.

Przyjrzyjcie się blisko dzieciom zrodzonym z wiaro-

łomstwa, a znajdziecie w nich bardzo często dusze wiarolomne. Spłodzone w obłudzie, obawie, drzeniu, fałszu noszą w sobie wewnętrzne znamię tego głębokiego niepokoju, który fizyologicznie odkryć się daje. Cała ich istota skutkiem swej zmienności przechowuje w sobie ślady owego pierwotnego rozstroju. Prawda, której nie było przy ich narodzinach, przy ich kołysce, brak także najlepszych między niemi, zarówno w charakterze jak i w fizyognomii, od pierwszej młodości aż do późnego wieku. Wszystko w nich jest wykrętnem. Aby się utrzymać w prawdzie, zmuszone są podtrzymywać w sobie walkę wewnętrzną, której przyczyny nie znają. Bardziej od innych godnemi uwielbienia są ci, którzy zrodzeni w kłamstwie, żyją w szczerości.

Zawsze dziwiłem się, że moralisci potępiają wiarolomstwo tylko w imię związków prawych; czemu nie potępiają go w imię szczęścia? Możeby chętniej byli wysłuchani.

Odważcie się nakoniec powiedzieć, że kochać istotę która do kogo innego należy, jest dla człowieka największą klęską i największym obłędem.

Skoro pojęcia są tak pomieszane, winienem jeszcze odwołać się do świadectwa całej żyjącej natury. Gatunki swobodnie żyjących zwierząt, nie kłamią nie zdradzają się w swoich związkach. Jeśli dwóch lwów lub jeleni pożąda tej samej samicy, jeden wygania drugiego z jego siedziby, a kłamstwo bynajmniej nie wkracza do ich jamy lub kniei i nie kazi ich gatunkowego typu; zacięte walki zapewniają potomstwo najsilniejszym i najdoskońalszym w rodzaju. Panują też bezpiecznie w rodzinach nad swemi lwiątkami i sarniátkami.

Lecz czemuż jest owa przelotna rozkosz jaką męż-

czyzna pragnie znaleźć u cudzej żony? O jakim to szczęściu oni mówią w związku, w którym oboje z konieczności wzajemnie się oszukują? Przysięgają sobie wierność, a każde ich tchnienie jest niewiernością. Kłamstwo duszy i ciała; niema chwili takiej, w którejby najbardziej kochający i najbardziej kochany nie był zmuszony był sobie powiedzieć: ona mnie oszukuje, kłamie; płodzi dla innego w kłamstwie i zbrodni. Jestto zbrodnia spełniona w imię ludzkich umów lub w imię nieśmiertelnej miłości.

I wy to nazywacie powodzeniem, zwycięstwem, radością, szczęściem, rozkoszą, szczęśliwością!

Ja to nazywam rozpaczą.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### Miłość i geniusz twórczy. Na czém polega postęp i upadek sztuk pięknych?

Jeżeli zamiłowanie piękna podtrzymuje gatunki zwierzęce, to coż dziwnego, że uczucie to wrodzone jest rodzajowi ludzkiemu? Przestańcie pytać, z kąd ono pochodzi i jak się utworzyło? Wyływa ze źródeł samej waszej istoty; narodziło się ono nie z rozmysłu, lecz z samychże warunków życia i spoczywa na dnie ludzkiego istnienia.

Ptaka poszukuje piękna w upierzeniu, w śpiewie. Czemużby człowiek ze swej strony nie miał szukać piękna w życiu i sztuce? Skoro słowik śpiewa dla zachwycenia swojej samiczki, czemużby człowiek nie miał posiadać zdolności wynajdywania śpiewu, poezji dla zachwycenia swojego rodzaju? Zamiłowanie piękna nie jest bynajmniej fantazją, ale jednym z praw całej żyjącej przyrody.

Ptaka rozpościera artystycznie swe upierzenie, swoje żywe klejnoty, topazy, szafiry, szmaragdy, aby osiągnąć piękno w swoim gatunku; czemużby więc człowiek nie miał owego piękna osiągnąć w ludzkiej naturze? Jeżeli paw roztacza ogon z pychy lub miłości, czemużby człowiek nie miał się chępić Apolinem Belwederskim? Wszyst-

kie te mniemane niemożliwości znikną skoro tylko zastosujemy do nich ogólny widok zestawionych obok siebie gatunków.

Zauważyć należy, że w przyrodzie piękno jest użytecznem, że kwiat okrywa się barwami, aby znieść ku sobie owady, które go zapładniają; stosując myśl tę do sztuki ludzkiej, skłonny jestem mniemać, że sztuka ta użyteczniejszą jest niż się wam dziś wydaje. Przekonacie się, że piękno nie jest jedynie ozdobą. Bywa ono najczęściej przyczyną trwałości narodu.

Po co — spytacie — naród jakiś okrywa się najpiękniejszymi barwami poezyi, malarstwa — wszak bez poetów możnaby się obejść? Dodajcież zarazem, że można by się obejść bez kwiatów, promieni i tych nasion, które roznoszą życie.

Pod nieśmiertelną postacią sztuki naród może rozwijać się i nie umierając podlegać wielu przemianom, jak poczwarka w swym oprzędzie budzi się i przebiega nowy cykl życia. Kto zaprzeczy, że Homer, Sofokles nie przedłużyli istnienia Grecyi i nie wskrzeszali jego? Oni to ściągnęli na Grecyę spojrzenia całego świata: któryby bez tego umrzeć jej pozwolił. A Dante, Petrarca, Rafael — czyż nie podtrzymywali Italii przez trzy wieki pozornej śmierci.

Naród więc byłby odmianą owadu. Giną te tylko, które nie umiały osłonić się nieśmiertelną szatą sztuki i poezyi, usnąć snem poczwarki. Te umarły.

Nic nie jest bardziej zbliżonem do twórczego geniuszu jak miłość. I ona zawsze jest nowa, i ona pochłania się w własnej twórczości, ją tylko widzi, widzi wszędzie. Miłość w tem, co kocha, skupia cały wszechświat. Widzi ona go w śladzie stóp na pyle, odnajduje migo-

całego w najodleglejszej gwiazdzie. Co stworzyła, to kocha: Tworzy poemat oddychający życiem, rzeźbi żywe posągi.

A więc geniusz, który stworzył dzieło sztuki jest przez nią opanowanym? Każdy przedmiot w naturze dostarcza mu dla uzupełnienia go nowego rysu. W kamieniu i spiżu szuka dzieła, które go opętało. Pożąda piękna w żyłach marmuru. Jestto nienasycona miłość której objawiło się wszechżycie. Na tem to właśnie, zdaniem mojem, polega różnica między okresami płodnemi a jałowemi.

W wielkich stuleciach artystycznej twórczości ludzie obdarzeni są wszechpotężną miłością dla wszystkiego, co zamyka w sobie zaród piękna. Artyści greckiej starożytności i Odrodzenia rozkochali się we wszystkim co napotkali pięknego w ludziach i rzeczach. Do dzieł sztuki uczuwali taki sam zapał, jaki czują dwie zakochane dusze przy pierwszym spotkaniu. Pragnęli spłodzić piękno z terażniejszości uczynić żyjącą wieczność. Arcydzieła rodziły się zawsze przez się. Chociaż pierwszy ów zapał przeminął, rzeczy pozostały tem, czem były; ziemia jest takąż samą, lecz człowiek już jej nie widzi temiż samemi oczami. Daremnie każdy nowy dzień przedstawia mu też same cuda; człowiek się zmienił. Wielka Miłość o złotych skrzydłach już go opuściła; wszelka twórczość stała się dla niego niemożliwą. Jego wysiłki pokrycia swego zobojętnienia nie oszukają ani terażniejszości, ani przyszłości.

Człowiek już nie kocha, zdradzając niemoc, upadek, jałowość.

Artyści wschodni nie byli zakochani w swoim przedmiocie; zbliżali się do niej z dziecięcą bojaźnią. Brako-

wało im miłości, więc nie mogli tworzyć życia. Zimne też zostały kolosy z kamienia.

Istotę sztuki odgadł ten, co wyrzekł w starożytności, że rzeźba i malarstwo narodziły się w dniu, w którym kochanek wyrzeźbił na murze cień zmarłej swej kochanki.

Sztuka jest prawdziwie lennością wielkiej krainy miłości, w tem znaczeniu że artysta kochać musi to co przedstawia; inaczej obojętność przenika do płótna lub marmuru, a wtedy sztuka narodzić się nie może.

Jakże chcecie, żeby artysta wlał żywą krew w marmur, spiż, w drzewo lub płótno, jeśli krwi nieczuje krążącej we własnych żyłach?

Obojętnie przyglądacie się lasom, wodom i skałom; jakim więc prawem żądacie, aby te lasy, wody i skały ożyły pod waszym pędzlem? Kto czuje obojętność, czuje jałowość.

Egipcyanie w pierwszej epoce kochali twory żyjące, cała ich rzeźba pochodzi z tej epoki. Duch kapłaństwa zmroził ów pierwszy kunszt na długie lata; unicestwić go jednak nie zdołał.

Gdyby ludzie, którzy się chępią ze swej wyniosłej pogardy do wszystkiego i z zimnej ironii, byli szczerzy nie mogliby niczego stworzyć; lecz pod tą maską kryją się jeszcze resztki sympatyj lub nienawiści albo przynajmniej wspomnienie przeszłości, i ztądto czerpią natchnienie. Przygasły popiół staje się płodnym.

Widząc, jak życie powszechne stopniowo się rozszerza, a nieskończoność przed wami się roztacza, mówicie, że zimna ironia jast pretensjonalnem dzieciństwem. Bo też dzieci tylko ziewają na widok wschodzącego i zachodzącego słońca.



Grecy stworzyli rzeźbę, bo ukochali piękne kształty; Flamandczycy życie wewnętrzne, domowe ognisko; ludzie odrodzenia, świetne dzieła wszelkiego rodzaju, bo zachwycali się wszystkim co widzieli.

Niczego nie kochać, niczego nie nienawidzić, pogardzać wszystkim i chcieć przytem pisać, malować lub rzeźbić, jest to ukazać się nie istniejąc. Jakaż jest cecha artystów z epoki upadku? Ta: niczego nie kochają i nie mogą nic żywego zrodzić!

Jak można było powiedzieć, że dziewice Rafaela są tylko pięknymi zwierzętami? Sądzę raczej, że Rafael zakochanym był w każdej z dziewic, którą malował, dla tego też wlał w każdą z nich tyle boskiej miłości. Jego małe Jezusy są prawdziwemi jego synami.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Jak połączyć w sztuce prawdę z moralnością?

Porównajmy sztukę z rzeczywistością ludzkich stosunków.

Powieści w którejby wszyscy uczeni ludzie odnosili zwycięstwo nad złemi, nieczytanoby — tak dalece byłaby mdłą, będąc fałszywą, Gdy dzieło sztuki opiera się jedynie na życiu rzeczywistym, ukazuje przewagę człowieka złego nad dobrym; dzieło takie jest prawdziwe ale nie jest moralne.

Jakże więc sztuka może się ustrzedz i być jednocześnie prawdziwą i moralną?

W tem trudność. Trudność tę rozwiązuje instyktowne poczucie spoczywające na dnie każdego wielkiego dzieła: zły ma przewagę w walce życiowej jako jednostka, lecz dobry nawet pokonany, zwycięża jako przedstawiciel ogólnego interesu ludzkości. Pierwszy, zwyciężając odnosi tryumf dla siebie; ostatni, zwycięzca czy zwyciężony — walczy za ród ludzki. On umiera, lecz idea jego żyje dalej a świat z niej korzysta. Oto moralność w sztuce.

Przyjrzyjmy się osnowie poematu lub dramatu. W złym nie czujemy przedstawiciela naszych uczuć. Neron, Iago, Lowelas — są dla nas obcy; lecz odnajdujemy siebie w każdej ofierze, jakakolwiek ona jest.

Walka jednostki z ogółem — oto podstawa dramatu, jego moralność i prawda.

Wychodzimy z dramatu zgnębieni zwycięstwem złego, a pocieszeni oczekiwanym odwetem sprawiedliwości.

Ztąd też żadne rozwiązanie dramatyczne nas nie zadowalnia: jeśli pomyślne, przypuszczamy, że fałszywe, jeśli niepomyślne oczekujemy innego.

Tak więc każdy dramat zostawia w nas pragnienie i przecucie drugiego dramatu.

Ganiono rozwiązanie *Tartuffe'a* Świętoszka, dla tego, że nie zgadza się z życiem rzeczywistym. W świecie *Tartuffe* zwyciężyłby niewątpliwie. Orgon byłby wraz ze swymi wygnany z domu a pani Pernelle prosiłaby pokornie o jałmużnę u drzwi oszusta. Rozwiązanie takie byłoby prawdziwe, ale wydawałoby się nieznośnem. Moliere usunął go za pomocą *Deus ex machina*.

Są dzieła, które wysuszają duszę człowieka i odbierają mu nawet nadzieję. Dzieła takie, choćby były zaludnione aniołami stają się zgubą wszelkiej moralności, bo niszczą jej źródło. Rozumiem natomiast dzieła, w których wszystkie postacie byłyby złe i które wszakże byłyby moralne; mianowicie dzieła, któreby, wprowadzając mnie do piekła, budziły we mnie namietność do nieba.

Przy pomocy wyobraźni widzimy przepaść zła i fałszu. Sprobujemy do niej zstąpić.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Teorya kłamstwa.

Wszechświat nie kłamie. Bądźcie fizyognomię wszystkich stworzeń, gdyż każde ma swoją, a przekonacie się, że one mówią to, co mówić powinny. Wyraz ich wewnętrznych uczuć z pokolenia na pokolenie odciska się w ich rysach mimowolnemi znakami. Jest to mowa powszechna, która oszukuje tych tylko, którzy chcą być oszukani.

Darwin<sup>1)</sup> porównawszy fizygnomię, instyktowne ruchy ludzi i zwierząt, opisał zewnętrzne znamiona głównych namiętności. Znamiona te, prawie jedne i teżsame na każdym stopniu zwierzęcego uszczebłowania, przechodzą dziedzicznie; człowiek otrzymywał je najczęściej od swych pierwszych przodków. Tak więc istnieje tradycja cech zewnętrznych dla każdego duchowego stanu, dla miłości, gniewu, niespodzianki, pożądania, cierpienia, zdziwienia, strachu i grozy. Każdemu z tych stanów wewnętrznych odpowiadają pewne ruchy

---

<sup>1)</sup> Charles Darwin, *The Expression of the emotions in man and animals*, 1872. Tłómaczenie polskie: O wyrazie uczuć u ludzi i zwierząt, Warszawa 1877.

mięśni, które je ujawniają dla oczu, jak gdyby niewidzialna ręka odsłaniała i odciskała nazewnątrz w ciele i nerwach, ukryte życie.

Śród tych stanów duchownych daremnie doszukują się kłamstwa. Jakże pożytecznem byłoby mózdz opisać naukowo najbardziej charakterystyczne jego cechy! Na nieszczęście jednak, są to właśnie cechy, których brak w porównawczym obrazie wyrażen i fizyognomii u zwierzęcia i człowieka.

Zwierzę — powtarzamy — nie kłamie; nie mogło przekazać człowiekowi charakterystycznych cech kłamstwa. Wilk, tygrys nie pochlebia ci aby cię tem lepiej rozszarpać. Lew nie rozmarszcza się, aby cię zniecić. Nie wyda on ani jednego ryku dworackiego. Żmija wprawdzie się kryje lecz z przenikliwych oczu wyczytać można jej nienawiść, nie kłamie. Wściekły pies spienioną gębą, dzikim biegiem zdradza wściekłość, która go trawi, więc nie kłamie. Nawet do ludzi zbliżone małpy nie usiłują układać swych rysów. Podobnież inne zwierzęta. Te, które, jak pajak, zastawiają sieci, nie pieszczą się przed tem ze swym łupem; nie kłamią. Co zaś do mowy zwierząt przysłuchują się one i naśladowują brzmienie i głosy obce; lecz w tem naśladownictwie nie zdradzają zamiaru wydawania się tem, czem nie są. Jedna więc tylko istota na ziemi kłamic — człowiek. On jeden stara się utworzyć sobie maskę, język, oblicze, które go przedstawia zupełnie innym niż jest. Ztąd pochodzi trudność uchwycenia charakterystycznych cech kłamstwa. Żadne niższe zwierzę, nie może nam dać o niem pojęcia. Jakże więc powstała w człowieku zdolność kłamstwa? Zkąd ten przywilej? Jestto pytanie, którego nikt dotychczas nie postawił. Spróbujmy

je wszakże rozwiązać. W niem bowiem całe ludzkie przeznaczenie.

Dziwna rzecz, zaiste — daleko łatwiej przekonać się, jakim sposobem człowiek otrzymał w dzieciństwie od zwierzęcia prawdę, niż jakim sposobem i od kogo otrzymał zdolność kłamstwa. Zwierz drapieżny umie przyczać się w zasadzce, lecz nie umie w niej złagodzić swego oblicza, przysłonić powiek, zmienić głosu, rozpogodzić czoła, uśmiechnąć się rozwartą paszczą, zmienić się w jagnię. Umie to człowiek. Dla czego? Bo nauczył się panować nad sobą. Za pomocą tej siły, zwierzęcy instynkt podstępny staje się w człowieku poważnym kłamstwem. W nim wszystko może kłamać: twarz, głos, usta, ręka, oczy ruchy, cały wreszcie tułów. Co u zwierzęcia jest przemianą bezwiedną (*mimicry*), to w człowieku jest chwilową tylko. Umie on, przybrać głos i barwę swego łupu, udać swoją ofiarę

Chcecie poznać kłamcę? Możecie do tego dojść, obserwując niektóre z następujących znamion: oko przyćmione (chodzi bowiem o to, aby się nie zdradzić spojrzeniem), twarz blada (wszystka krew cofa się wewnątrz jak gdyby samo życie się kryło); źrenice zwrócone w strony przeciwne (sposób zmieszania spostrzegacza); brwi nachmurzone i nagle rozsunięte (jest to pierwsze usiłowanie, które natychmiast ukryć należy); zęby ściśnięte i naraz usta odchylone, (jakby dla zatrzymania i jednocześnie wyrzucenia słowa), nadewszystko zaś język szarpiący się i nagle ciskający wyrazy; często chód wężykowaty, jak gdyby dla jednoczesnego napadania i uniknięcia napadu.

Lecz cóż znaczą wszystkie te oznaki same w sobie. Muszą one układać się według rysów i objawów tego

do którego kłamca je zwraca. Pierwszym bowiem dla niego warunkiem jest naśladowanie tego, którego pragnie oszukać. Przybiera więc wyraz jego twarzy, głos, ruchy w ten sposób, aby się sam zmieniał tak często, jak się zmienia intertokulor. Ztąd pochodzi owa nieskończona różnorodność w jednym człowieku, która się wymyka wszelkiemu rozbirowi: jest on prostym z prostymi, gwałtowny z gwałtownymi, trwożliwy z trwożliwymi, słowem zaś stanowiącem grunt jego języka, jest — prawosć.

Teraz zamiast jednostki, wyobraźcie sobie klasę ludzi lub też społeczność która się uczy kłamać. Przyjrzyjcie się kombinacji przelotnych wyrazów (*expressions*) o których żaden język nie może dać pojęcia o zacierających się wzajemnie i w końcu niemających wcale żadnego wyrazu. W chwili właśnie, gdy sądzicie, żeście uchwycili kłamcę, twarz jego kryje się pod nieruchomość maski, którą porównać tylko można z nieruchomością śmierci.

Przyjrzyjcie się Judaszowi Leonarda da Vinci w *Wierzy Pańskiej*.

Rozważny geniusz Leonarda uchwycił kilka rysów, których właśnie szukamy. Jezus wyrzekł: jeden z was mnie zdradzi. Po słowach tych przestrach ogarnął wszystkich uczniów. Podnoszą się pochylają, porozumiewają, wyciągają do siebie dłonie i dzielą się na grupy. Jeden tylko pozostał, zimny, nieruchomy: to Judasz. Poznaje go po tej nieruchomości, po tem odosobnieniu, po tem czole miedzianem, zanurzonem w cieniu. Jakże pewnym jest siebie, oparłszy się łokciem silnie na stole! Inni poruszają się, gestykują, odsuwają podejrzeni, obnażają swe piersi. On obojętny jak Chrystus, gdyż ze wszyst-

kich dwunastu on jeden tylko z postawy najbardziej podobnym jest do Jezusa; zwraca się ku niemu i układa się na wzór jego. Oto człowiek, w którym wszystko kłamie, z wyjątkiem prawej ręki, ściskającej konwulsyjnie worek z pieniędzmi. Lecz ktoby mógł zwrócić uwagę na owe skurczone mięśnie, na dłoń zamkniętą, wśród tych wszystkich rąk uczciwych, które się otwierają szukają się wzajemnie, dziwią, pytają i protestują przy jasnym świetle.

Ruch Jezusa — powiedziałem — podobnym jest do ruchu Judasza. Jest wszakże różnica. Jezus wyciąga na stole dłoń swojej ręki otwartą, widzialną dla wszystkich. Judasz robi ten sam ruch, wszelako ręka jego jest odwróconą, jak ręka człowieka, ukrywającego swoją grę. Zwrócił się przez połowę do Chrystusa i rzuca na samego siebie gęsty cień; i ten to cień właśnie zdradza go, mówiąc: oto Judasz. Wszyscy inni, prócz niego promieniają od dziennego światła i blasków Chrystusowych.

---



## ROZDZIAŁ X.

### Zkąd pochodzi sprawiedliwość? Zkąd pochodzi przewaga złych w walce życiowej?

Zkąd pochodzi sprawiedliwość? Odpowiedzą nam, że jestto pojęcie, niedające się wyjaśnić wedle znanych praw natury. Nie jest bowiem pożytecznem dla jednostki być sprawiedliwym; zginęłaby ona, gdyby była rzeczywiście sprawiedliwą. Zkąd więc wziąć się mogło uczucie sprawiedliwości w człowieku przeddziejowym? gdzie otrzymał on zaród tego uczucia? Sam go sobie bowiem nie dał, a świat mu niedostarczył o niej pojęcia. I tym więc razem potęgą zaświatowa, po za przyrodą istniejąca, objawiła człowiekowi sprawiedliwość.

Przyjrzyjmy się temu bliżej. Mnie się bowiem wydaje przeciwnie, że sprawiedliwość rodzi się z miłości i że pierwszy jej nieświadomy zaród istnieje w każdym żyjącem stworzeniu. Czyż ptak, znoszący pokarm do gniazda dla swej samiczki, wysiadującej jajka, nie zapomina o sobie dla niej? czyż nie spełnia on czynu sprawiedliwości? A kura, nie jestże równie sprawiedliwą gdy rozdaje równo pokarm swym piskletom?

Czy jedno jest ofiarą drugiego? Nie. Obojgu dostaje się po równej części, jak gdyby się rządzeni odwiecznym kodeksem i jestto pierwszy instykt sprawiedli-

wego podziału. Czyż lwica nie dzieli równo pokarmu między swe szczenięta albo wilczyca nad Tybrem między Romulusa a Remusa? Kobieta przeddziejowa lub dzika, czyż nie karmi jednakowo swoich niemowląt, bez czego ród ludzkiby zginął w chwili swych narodzin? A czemuż jest to wszystko, jeżeli nie pierwszym brzaskiem sprawiedliwości w formie macierzyńskiego przywiązania, które nawet lwy poskramia? Istne to prawodawstwo pierwotne. Nie mówcie więc, że sprawiedliwość nie może się narodzić na ziemi; że potrzeba było, aby istoty nadprzyrodzone ułożyły człowieka do słuszności, tak jak obecnie człowiek układa zwierzęta domowe do polowania, do manège, do jazdy wierzchem, do noszenia ciężarów, do ciągnięcia wozów i strzeżenia trzody.

Sprawiedliwość narodziła się z miłości, miłość sama cud ten sprawiła.

Sądzicie, że sprawiedliwość jest tylko poczuciem roztropności. Nie krzywdzę, ponieważ obawiam się kary. Upewniam was, że się mylicie. Mógłbym bowiem wiele złego narobić bez najmniejszej obawy kary. Gdy zaś tego nie czynię, powoduję się zupełnie inną pomocą, niż mój własny interes. Może sympatya? Jakto, więc w takim razie czułbym się wolnym od wszelkiej sprawiedliwości, a zaród ten zkądże się bierze? Powtarzam więc, że sprawiedliwość nie jest jedynie przezorną córką roztropności; ochodzi ze sfery wyższej.

Przyjrzyjcie się sumieniu dobrego człowieka. Dla czego jestto najpiękniejszy widok na ziemi? Czy dla tego tylko, że jego sumienie pozostaje w zgodzie z prawem pisanem, z miejscowemi ustawami, z rządem, z władzą? Bynajmniej, pozostaje on w zgodzie ze wszyst-

kimi podtrzymującemi świat prawdami. „Sprawiedliwość pada z niebios“. Nic nad to słuszniejszego. Nie mówcie więc, że sama obawa kary tworzy sumienie w dobrym. Powiedzcie raczej, że to co jest porządkiem, proporcją, równowagą, równoważnikiem sił w przyrodzie, staje się w człowieku sprawiedliwością, Utrata wewnętrznej równowagi jest w nim początkiem niesprawiedliwości.

Wiem dobrze, że istnieje w naturze pewnego rodzaju bezwiedna obłuda. Każdy owad kładzie maseczkę i naśladuje swego sąsiada. Wszystkie istoty przebierają się aby wzajemnie uniknąć siebie. Przebierania się podobne, nader widoczne w innych, są to tak zwane przez angielskich naturalistów *mimicry*. Najslabsi naśladują najmocniejszych. Jest to naśladownictwo jednej istoty przez drugą, dzieło mimowolne i mimowiedne na wielkiej widowni przyrody.

Ludzie, którzy posiadają tylko pozory cnoty, posiadają też przewagę nad wyznającymi ją poważnie gdyż człowiek jest z natury komedyantem, a grający najlepiej, zyskuje wszystkie wieńce.

Dodajcie do tego, że ci, którzy naprzemian posługują się prawdą i fałszem zależnie od korzyści z wyboru pierwszej lub drugiej, mają przewagę nad tymi, którzy się posługują prawdą. Tamci mają otwarte przed sobą dwie drogi, tamci jedną.

Jestto odpowiedź na wszelkie Jobowe pytania co do pomyślności obłudnika. Posługuje on się jednocześnie występkiem i cnotą. Ma dwie siły przeciw jednej.

Rehabilitowano za naszych czasów Tyberjusza, Nerona. Lukrecyę Borgię przezwano dobrą Lukrecyą. Czemużby nie? Nie wątpię bynajmniej, że najgorszy

człowiek postępuje uczciwie, gdy to jest dla niego potrzebne, i z tą wszakże różnicą, że powraca do zbrodni, gdy mu zbrodnia potrzebna.

W obecnym stanie rzeczy kłamstwo daje człowiekowi w walce o byt znaczną przewagę nad tym, który używa tylko prawdy. Do czego więc posłuży sprawiedliwość? Tu krzyk starożytnych znowu się odzywa. Jestto pytanie, które wiek nasz stawia z daleko większą siłą niż którekolwiek inne. Zobaczmy, czy epoka nasza da nam odpowiedź, jakiej poprzednie nie dały.

---

## ROZDZIAŁ XI.

### Zkąd pochodzi zwycięstwo złych?

(*Ciąg dalszy.*)

W ósmnastym stuleciu filozofowie myśleli, że cnota jest zawsze pożyteczną.

Pytam zaś: czem się to dzieje, że są jeszcze ludzie wierni prawdzie? Odpowiecie może, że prawda dla nich jest użyteczną?

Śmieszność nad świesznościami! Do czegoż bowiem przydać się może człowiekowi uciemnienie, nędza, prześladowanie lub pogarda?

Często spotykałem ludzi niskiego sumienia, uzbrajających się maksymą, że cnota jest pożytkiem, służąca do zdruzgotania prawdziwie sumiennych. Dajcie mu pokój — powiadają oni — to uczoney, dziwak, niczego on nie potrzebuje. Sumienie mu wystarcza; sprawilibyśmy mu kłopot, zostawiwszy mu skromne jego mienie. To mówiąc, ograbiają go i obdzierają do naga. Czy uczynili to przez życzliwość, przez skrupuł, czy też przez zamięłowanie sprawiedliwości — sami się domyślicie. Usprawiedliwiają się zaś temi słowy: nie chcemy idea-

łów; na co cały świat odpowiada: nie jesteście ani idealni ani realni i bardziej oddaleni od rzeczywistości niż od ideału. Żyjecie w fałszu, to jest w nicości.

Są to charaktery upadłego świata: wszelka otwartość jest dla nich ciężarem, wszelka zacność — przeszkodą, cnota — przesadą, kłamstwo — zrecznością, występki powodzeniem, honor — niezrecznością, rzetelność — głupotą, a zasada — brednią. Unikają mnie jak zasady powiada człowiek uczciwy.

Czemu źli żyją i opychają się bogactwami? Już samo to zapytanie Hijoba wskazuje mi datę idumejskiego poematu. Na pewno powiedzieć można, że autor żył w społeczeństwie upadającym. Widać to jasno z samego już charakteru zapytania, jakie postawił. Nie w czasach narodowej pomyślności zastanawia się Hijob nad swoim problemem.

Sokratesowe pojęcia sprawiedliwości, którą on uważa jako pierwszy warunek szczęścia, należą jeszcze do społeczeństwa kwitającego, do ostatnich pięknych dni Grecji. Perykles w państwie, Sokrates w filozofii wzajemnie sobie odpowiadają, jak Machiawel Cezarowi Borgii.

Bardzo często miałem sposobność widzieć, jak zły, w walce o byt miał przewagę nad dobrym; często widziałem, jak najzaczniejszego deptano nogami, niby przeszkodę lub wyrzut. Nie wdając się w dalsze rozprawy, przekonany jestem, że cnota jest nie zawsze korzystną. Nasuwa się jednak inna kwestya: zamięlowanie prawdy szkodzi człowiekowi, mimo to człowiek pozostaje wiernym prawdzie. Oto, bez przesady nowa zagadka! Spróbujmy ją rozwiązać.

Przedewszystkiem zważcie, że najpierwszą wyższością złego jest to, że dobrzy go się obawiają: Zupełnie tak samo, jak gdyby go kochali, gdyż z obawy robią dla niego wszystko to, coby czynili z miłości.

Dalej drugą przewagą złego jest to, że zawodzi wszelkie przewidywania dobrych ludzi. W nim zło płodzi zło przez nieokreślony pociąg do złego. Dobry wciąż wpada w piekielne sidła zastawione dlań przez złego.

Czemże są kombinacje sędziów kryminalnych w porównaniu z kombinacjami zbrodniarzy? Są to proste igraszki dziecinne.

Gdy zastanawiam się nad przewagą sił człowieka przewrotnego, nad jego pomysłowością, nad potęgą kłamstwa, poruszającego wszystkie jego fibry dążące do oszustwa, nad jego wreszcie niby pewnością, że może zbudzić wiarę do tego co mu potrzebne — zaczynam lękać się i drżeć o uczciwe istoty, które ściga i trzyma już prawie w swoich szponach! Jakiż im dać opór? Jak uniknąć jego szpon i jadowitych ukąszeń, gdy same ani szpon, ani jadu nieposiadają; widzę też jak nierozwinięte istoty giną bez ratunku. Wówczas też tysiące kwestyi budzi się w moim umyśle; w obec takiego bowiem widoku, lękam się, nie o jedno tylko sumienie, nie o jednego człowieka. Obawiam się raczej o cały ród dobrych i uczciwych: po raz pierwszy zapytuję siebie, czy zostanie na ziemi ślad szczerości w jednostce i w całym rodzie ludzkim, skoro szczerość nie znajduje zachęty ani w prawach ani obyczajach.

Niezawodnem jest rzeczywiście, że pewna doza kłam-

stwa<sup>1)</sup> stanowi zasadniczą część ludzi dobrze wychowanych. Kłamstwo jest dozwolone w miłości, w wojnie i jest ono duszą polityki, nie tylko jest dozwolone ale znajduje poparcie i oklaski; jedyny to może zapał jaki jeszcze dostrzegam w porządnym ludziach.

Zastanawiając się w ten sposób nad środkami jakie nagromadziło kłamstwo, bezustannie zapytuję siebie, jakim cudem utrzymać się jeszcze mogła szczerłość w rodzie ludzkim? Postanowiwszy jednak nie rozpaczać, przypuszczam, iż istnieje jakaś siła kosmogoniczna, która podtrzymuje prawdę w człowieku. Bez wątpienia broni ją w nim wszechświat cały; w przeciwnym razie dawnoby już znikła na ziemi.

Ufny w ideę poszukuję jej przyczyn, i oto są pierwsze z nich, które mi się nasunęły. Czemużby, niezależnie od wypróbowanej użyteczności nie miał istnieć w człowieku pierwiastek wrodzonej prawdy? Ta potrzeba prawdy istniała przed nim i przeniosła się na niego.

Każda istota w wszechświecie dotrzymuje tego co obiecała. Każda jutrenka przyrzeka dzień, dzień też po niej następuje.

Przed powstaniem człowieka istniały na świecie stworzenia szczerze, które dążyły do swego celu w sposób prawy,

Rasy uważając się za wrogie, nie kryły swej nienawiści pod maską przyjaźni, Bądź co bądź wszechświat ten nie jest ani złudzeniem, ani zdradą; postę-



puje on zgodnie ze swemi prawidłami, nie głosi praw dla tego, aby ich nie słuchać. Wszystko jest szczerem w trzech królestwach przyrody. Świat zginąłby z chwilą, w którejby zaczął kłamać; istnieje jedynie dla tego, iż zgodnym jest ze swemi przyrzeczeniami. Coś z tej bezwiednej szczerości wszechświata dostało się też człowiekowi. W nim stała się ona szczerością świadomą, zacnością, sumieniem, moralnością i obowiązkiem. Tak więc tożsamo prawo równowagi, które podtrzymuje światy, podtrzymuje prawdę w człowieku.

Gwiazda dochodzi ściśle do tego punktu nieba, jaki jej wyznacza prawo. Morze dopływa do wskazanego mu brzegu, Ptak odbywa wędrówki drogami swych przodków.

Gdyby część tego wszystkiego sprzeniewierzyła się swemu mimowiednemu obowiązkowi, wszystkoby runęło. Szczerłość, jaką człowiek przy urodzeniu otrzymał, przysparza mu kłopotu; od chwili, gdy zyska świadomość o niej, czyni wszystko, aby ją wykorzystać — ale daremnie. Jestto bowiem piętno powszechnego życia, wyciśnięte na człowieku; przekazane z jednego gatunku na drugi, aż do niego. Może on piętno to zetrzeć swoim słowem, czynem, myślą — ale nie istotą. Naprzekór jemu zły pozostaje człowiekiem, jak wilk pozostaje wilkiem. Daremnie zarzuca sieci dla wygubienia prawdy; prawda trwa, pozostaje niby ukryta siła, która porusza światy i słońca; jest bowiem z tą siłą identyczna. Dziwna rzecz! Człowiek umie umrzeć za prawdę i sprawiedliwość, umiera on i nic nie może go zwyciężyć; umiera i zarazem żyje dalej w prawdzie i sprawiedliwości. W sercu swem znajduje nagroma-

dzoną potęgę wszystkich bezwiednych prawd, które wszechświat podtrzymują

Gdy jesteś szczerym, czujesz w sobie ową moc niezłomnie opierającą się wszystkim żywiolom: jestto diament, którego nie zdołają porysować wszystkie sprzyśnięte siły światów.

## ROZDZIAŁ XII.

### **Jakim sposobem rasa dobrych może się ostać?**

Mimo wszystkiego, toż samo pytanie wciąż mnie jeszcze przesładuje; zmienia tylko formę; zmienimy i my odpowiedź.

Jak wytłumaczyć sobie wedle praw rozumu i przyrody, że chociaż ludzie źli lub miernej tylko wartości moralnej mają tak widoczną przewagę w walce życiowej, dobrzy mogą jeszcze istnieć na ziemi? Zdaje się, że ci ostatni dawno już powinnyby zginąć pod bezustannemi ciosami złego i wskutek niechybnego prawie zwycięstwa ludzi drapieżnych. Rzeczywiście łotr, oszust, intrygant, zawistny, ciemiężca mają nad uczciwym przewagę podobną, jaką posiadają zwierzęta zaopatrzone w szpony, pazury, rogi, kły, jadowite pęcherzyki, nad zwierzętami pozbawionemi tejsze broni. Jakże wśród podobnych okoliczności ostać się mógł człowiek sprawiedliwy i jak mógł ród swój podtrzymać?

Wielcy naturaliści naszych czasów, tacy jak Wallace, oświadczyli, że owo ostatnie się sprawiedliwości nie da się wytłumaczyć na mocy praw naturalnych. Oto, właśnie, dowodzą oni, cud przeciwny wszelkim najdokładniejszym prawidłom i z konieczności wierzyć każący,

że do spraw ludzkich mieszają się tajemniczo istoty wyższe.

Co do mnie jestem przeciwnego zdania, sądę raczej, że aby wyjaśnić kwestyę ostania się dobrych aż do obecnej chwili, a nawet pewnego mnożenia się ich, można by przytoczyć wiele przyczyn, nie uciekając się do żadnego cudu. Przyczyny te są następujące:

Przedewszystkiem nie idzie bynajmniej zatem, aby gatunek jakiś miał uleść zatracie dla tego, że spotyka w naturze silniejszych i lepiej od siebie uzbrojonych przeciwników. Krogulce i orły ścigają od początku świata bezbronne familje wróbli i synogarlic, a jednak familje te żyją dotychczas! Tygrysy i hijeny nie wyniszczyły dotychczas antylop. Wilki nie podusiły wszystkich owiec; a mam tu na myśli nie owce domowe, ale dzikie, żyjące na puszczy Kobi, własnym siłom [pozostawione. Nie jest więc rzeczą niewytłómaczoną, że ludzie drapieżni i oszuści pożerając dobrych, nie zdołali jeszcze całej rasy tej wyniszczyć. Do przykładów powyższych dodać mogę jeszcze inne czerpane bardziej z zakresu natury ludzkiej. Zły nie zawsze porywa i nie zawsze nieomylnie. Czasami wpada on we własne sieci, prócz tego zły myśli tylko o sobie, ma tylko siebie na względzie; a więc nikt prócz niego nie korzysta ze zwycięstwa. Przeciwne zaś tryumfy sprawiedliwego mnożąc się i wzmagając wytwarzają nakoniec tradycyą sprawiedliwości, której nie zatrze żadna pojedynca porażka.

Przyjrzyjcie się prawdziwemu mędrcowi. Na cóż przydać mu się może jego mądrość? Biedny on, nagi i stratowany. Zapewne, lecz mądrość jego, czystość charakteru, świętość jego, są użytecznemi rodowi ludz-

kiemu. Bywają epoki i narody, gdy rasa dobrych słabnie i zdaje się zanikać. Dzieje się to w epokach, w których warunki bytu dobrych stały się zbyt ciężkie. Bywają znów epoki, w których rasa ta potęguje się dla powodów wprost przeciwnych. Sądzę, że rasa dobrych wzmagą się za naszych czasów. Czują oni, że powstają czynniki, których dawniej nie mieli; a których nie łatwo byłoby ich pozbawić; posiadają oni duchowy polot, którego nikt nie zwichnie: zwyczaję stowarzyszania się i wzajemnego porozumienia popędy nabyte, wzrost oświaty i środków wzajemnej pomocy. Wobec tego postępu, liczba złych z konieczności zmniejszyć się powinna w danej epoce.

Z tego wszystkiego wynika, że źli jedynie tylko w upadającym społeczeństwie mieć mogą zupełne powodzenie. Gdy społeczeństwo to upada zwycięstwo ludzi drapieżnych wraz z niem znika. Przeciwnie zaś, gdy społeczeństwo zaczyna się podnosić, dobry odzyskuje swą przewagę nad złym. Ponieważ społeczeństwa rozkwitające dążą do tego aby wyprzeć upadające społeczeństwa. Rzeczą jest tedy widoczną, że zwycięstwo złych zanika, a dobrych pozostaje wśród wzmagającego się ruchu ludzkości.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### Jak się zarysowuje nowy problemat społeczny?

Dostrzegam wyjście, przez które wydostać się można z chaosu; a odnajduję je w nowej definicyi epok wielkości i upadku.

Epoką prawdziwej wielkości narodowej nazywam epokę, w czasie której dobrzy więcej mają warunków powodzenia w życiowej walce od ludzi drapieżnych. Przeciwnie zaś czasy upadku następują wtedy gdy źli biorą przewagę nad dobrymi. Podobnie jak walce o byt między zwierzętami przewaga zostaje po stronie lepiej uzbrojonych w pazury i szpony tak też i postęp narodu lub rasy polega na tem, że człowiek najlepiej godzący się ze sprawiedliwością i prawem najwięcej posiada warunków powodzenia. Oto problemat, ujęty w najprostsze terminy, a który każdy naród powinien starać się rozwiązać. Problemat to jasny, zawiera on w sobie wszystkie inne, mieści się w planie uniwersalnej ekonomii. Wszystko co żyje i oddycha spotyka się z tym problematem, usiłując go na swój sposób rozwiązać. Jak pouczającą może być dla wielkich narodów mrówka lub pszczoła.

Przyjrzyjcie się społeczeństwu kwitnącemu, naprzykład Stanom Zjednoczonym. Dobry nie jest tam bynaj-

mniej zdruzgotany. Przeciwnie, wznosi się do zenitu, pod imieniem Waszyngton'a i Linkoln'a. Zły, nie posiadał wszystkich przywilejów za pięknych czasów Grecji i Rzymu. Czasami przy pługu znajdowano najlepszych. W ten więc sposób wyjaśniam sobie, nie uciekając się do sił nadprzyrodzonych, ową dziwną wytrwałość rodu ludzkiego w sprawiedliwości, mimo zwycięstwa złych. W gruncie rzeczy bowiem, zwycięstwa te nie zwyciężają nikogo. Jestto tylko powodzenie przelotne, czujesz, że ostatnia chwila do niego nie należy.

Za młodości mojej filozofia ułatwiała sobie pracę, przecząc wszystkiemu co uderzało w oczy. Utrzymywała ona, że zły w sobie nosi swoją karę, jak gdyby przeciwnie, zbrodniarz nie hartował się coraz bardziej wśród swych zbrodni. Uczynimy inaczej; ośmielmy się poznać przewagę podwójnej mowy oszusta. Zostawmy mu jego korzyści, zachowajmy swoje.

Z tem wszystkim jednak nie powiadam bynajmniej, że uczciwy w czasach upadku bezwarunkowo skazanym był na niedolę. Sądzę tylko, że jeśli dobry jest szczęśliwym, jest nim na przekór tryumfom złego; on tak wysoko wznosił swe serce, że nawet poraniony i skrzwawiony dominuje nad zwycięzcą.

Teologowie dowodząc, że sprawiedliwy nie powinien szukać szczęścia w tem ziemskim życiu, mimowolnie uznają to, co przed chwilą powiedziałem o przewadze lotra w walce o byt. Pragną oni aby pole bitwy dostało mu się bez walki i niepodzielnie.

Teologia to i moralność fałszywa. My pragniemy przeciwnie; chcemy o każdą piędź ziemi walczyć ze złym i pozbawić go władzy. Nie odkładajmy zwycięstwa sprawiedliwości aż do ostatecznego sądu; byłoby

to bowiem nazbyt wygodnem dla złych. Oni to raczej zginać powinni. Choćby postęp w narodach tak był powolny, jak sobie tego życzyacie, oszustwo jednak i kłamstwo nie mogą pozostać siłą panującą.

Lecz cóż to jest zło i zkad ono pochodzi? Zło często bywa powrotem ku urządzeniom dawniejszym. Człowiek dziewiętnastego wieku, który dobrowolnie staje się człowiekiem z epoki kamienia, zwierzę drapieżne, czatujące w swej zasadzce, zbrodniarz polujący na ludzi, oto zło.

Toczący spory nad słusnością kary. Gdy widzę tylu ludzi, posuwających zatwardziałość aż do szału, wierzę w cnotliwość kary. Wierzę, że nic bardziej nie psuje człowieka jak bezkarność. Człowiek, któryby miał pewność uniknięcia wszelkiej kary, zapragnąłby w obłędzie jak Kaligula zgładzić ród ludzki jednym ciosem.

Przyjrzenie się łotrom; obliczcie stopnie, któremi zstępują; stali się oni łotrami jedynie dla tego, że znajdowali się zawsze po za obrębem kary. Kroczyli z podniesioną głową, wyprzedzając sprawiedliwość. Ta chrojąc nie zdołała ich doścignąć, to też ją lekceważą. I ztąd powstaje cynizm.

Wyjąwszy pierwsze uniesienia szału, lud nigdy karać nie umiał. Od Grachów aż do Rieniego umiał tylko oddawać broń w ręce własnych wrogów, którzy go nią przygniatali. Przykłady te chociaż ciągle jednakowo powtarzane, dotąd nikogo nieoświeciły. Jestto wspaniałość zrodzona ze słabości nie zaś z siły.

Mimo to, nie sądzicie, ażeby zamiłowanie prawdy i sprawiedliwości, szkodliwe dla jednostki, miało być



korzystnem tylko dla ogółu. Nieprzypisujcie mi tej rozpaczliwej konkluzji. Zamiłowanie prawdy jest własnością, która ostatecznie będzie mogła być stosowaną nawet na korzyść osobnika. Nie należy dwu tych połów prawdy od siebie rozdzielać.

Zbadajcie podstawę wszelkiego społeczeństwa kroczącego po drodze postępu, a znajdziecie wielki czyn lub myśl wielką.

Nieposiadacie dość wiary w duszy i dlatego poniżacie tak często świat własnym swym moralnym upadkiem. Jakże nie uśmiechnąć się na widok kombinacji politycznych swobód i ustaw, śród których na szczycie państwa grupujemy wzbogaconych, uprzywilejowanych, nie troszcząc się o to, czy fortuny ich uczciwie zostały nabyte. W sztucznych tych urządzeniach nie odnajdziesz nigdy ani cząsteczki prawdy.

Niepojmuję dla czego człowiek prawy, nieużywający intryg, nigdy nie ma dostępu do różnych waszych kombinacyj. Wykluczacie go, jest bowiem dla was przeszkodą. Przeciw niemuto zwracają się wszystkie wasze projekty.

Cokolwiek rzekniecie, jednakże dusze wielkie, czyste, szlachetne, jakich nie brak jeszcze, są dla narodu, który je wydał na świat i wykarmia wielkim skarbem, bardziej użytecznym niż wszystkie tajemne fundusze, przeznaczone na utrzymanie bezpieczeństwa publicznego lub na hodowlę bydła. Są to wzory, wedle których inne się urabiają, jeśli tylko pozostaje jeszcze jakiś ratunek dla godności ludzkiej.

Dusza taka żyjąca prawem i — że użyję śmiesznego słowa — cnotą, zawiera w sobie więcej cząstek czystego złota, niż wyhaftowany i wyzłocony naród dy-

gnitarzów, prawomyślnych deputowanych, przysięgłych urzędników, nieomylnych arcybiskupów i biskupów i urzędników pierwszej klasy począwszy od 1815 roku.

Jeszcze słowo: Dla posiadającego taką duszę sprawiedliwą, stanowi ona większe szczęście, zacniejsze mienie, świętszy kapitał od majątku dającego ośmdziesiąt do stu tysięcy franków rocznej renty, nabytego w ciągu dnia na giełdzie, zrealizowanego w kanałach, w obligacjach dróg żelaznych, wniesionego do hipoteki i przypieczętowanego wielkim stemplem państwa.

---

# KSIEGA DRUGA.

## Fizjologia społeczna.

---

### ROZDZIAŁ I.

**Dla czego w jednym narodzie istnieją wrogie  
sobie umysły?**

Jakże niezmierny przedział stawia między ludźmi niezgoda przekonań? Stokroć razy bardziej samotnym i obcym czuje się pośród niektórych moich współobywateli, niż na pustyni Sahary; a przecież oddychałem tem samem powietrzem co oni, żyłem tem samem życiem. Kto wytworzył ową bezwzględną różnicę między nami, którą używanie wspólnego języka tylko spogęowało w każdym słowie?

Kto może, niech wyjaśni ową niezgodę uczuć, pragnień i nadziei. Nie wypływa to bynajmniej z tradycyi przodków, ani z wychowania, ani z odmienności krwi. Z czego więc powstała owa różnica między nami? Czujemy jak różnica ta za każdym odde-

chem się potęguje. Jestże to nienawiść? Lecz czemużby nienawiść? Strzegę się jej, niemniej przeto różnica między nami wzrasta.

Gdy umysł jałowuje, każda bujna myśl wydaje mu się szaleństwem. Może to nas dzieli? Jestżeto różnica między umysłem zlodowaciałym a umysłem upornie rozmyślającym? Może to różnica między życiem a śmiercią? Być może.

Lecz nie. Śmierć bowiem rodzi życie, różnica rodzi rozstrój. Jakim sposobem w jednym i tym samym narodzie mogą powstawać umysły tak dalece z natury przeciw sobie uzbrojone?

Zkąd się wzięły owe temperamenty wrogich sobie braci?

Może w każdym z nas zmartwychwstaje pierwotna nasza historia i odzywa się we wszystkich naszych nerwach? Może jesteśmy tylko odgłosem minionych nienawiści? Czyżby grób ich nie zdusił? Czy stare żelazne broje średniowieczne zgrzytają w duszy naszej? Czy to przeciągłe, bezwiedne krzyki Burgundów i Armaniaków, ligistów, rojalistów, stronników Frondy i Mazariniego, feliantynów i żyrondistów? Jeśli tak jest w istocie, to czemuż należą do tego a nie innego obozu?

Nie chcę pokrywać się względami atawizmu. Żyję chwilę tylko i chcę aby chwila ta była moją wyłącznie; aby życie moje zaczynało się odemnie.

O nie, jam nie pożyczył od umarłych ani moich uczuć miłości, ani nienawiści. Nie przyjmuję takich niezależnych od mojej woli legatów innych stuleci. Ja

sam odpowiadam za to czem jestem, sam bowiem stwarzam sobie dzień każdy. Nie przypisujcie mi właściwości Latynów, Gallów, Allobrogów, lub też Franków. Nie czuję się bynajmniej niewolnikiem innych czasów.

---

## ROZDZIAŁ II.

### O dziedziczności. — Nowe wytwory społeczne.

Uspodobienia jakie naród otrzymuje po swoich przodkach w skutek nieustającej dziedziczności, są tak głęboko weń wszczepione, że zdają się być niepokonane. Gdyby tak istotnie było, dzieje byłyby tylko ciąglem powtarzaniem się. Dlaczegoż się jednak odnawiają? Oto dla tego, że na gruncie dawnych zwyczajów wytwarza się nowy duch, nowe właściwości, które potęgując się z każdym pokoleniem stają się nareszcie jakby drugą naturą.

Katolicyzm był w średnich wiekach dziedziczną podstawą Francuzów. Można było wówczas mniemać, że temperament ich stał się niezmiennym, że w przyszłości żadna w nich nie znajdzie zmiana.

A jednak pod wpływem epoki Odrodzenia, Reformacyi, Filozofii powstają i wzrastają nieznanne dotychczas instynkta. Dziś instynkta te się zakorzeniły tak, że spostrzegamy dwie walczące ze sobą Francye: dawną i nową; a ta ostatnia okazuje zupełną żywotność, której brak tamtej.

Najważniejszą rzeczą jest odróżnianie istotnego dzie-

dzictwa od naśladowanego. To ostatnie bowiem, gra ważną rolę w tem, co przedstawiają jako tradycyę po przodkach otrzymaną. O ile zjawiska dziedziczności są trwałe, o tyle naśladownictwo przemijającym.

Gdyby reakcyja francuzka była rzeczywiście zjawiskiem dziedzicznym, nie mogłaby być nigdy liberalną; objawiałaby ona tenże sam charakter w każdym wypadku, w każdym państwowym ustroju. Jeżeli zaś zauważycie ludzi, którzy przeżywszy pierwsze czterdzieści lat w duchu nowoczesnym, z chwilą dojścia do władzy chwycili się reakcyi, wtedy śmiało można powiedzieć, że w zmianie tej organiczna dziedziczność nie brała żadnego udziału.

Gdy widzę, jak tak zwana przez reakcyę zbieraniina z bogaciwszy się wraca do ducha starego porządku rzeczy, upatruję w fakcie tym objaw naśladownictwa, nie zaś dziedziczności.

Dorobkowicz, którego spotykam, naśladuje wielkiego pana, nie dlatego, że jego przodkowie byli wielkimi panami i że mózg ów instynkt otrzymał dziedzicznie, ale dlatego jedynie, że lubi naśladować kontrasty tego, co mu przodkowie przekazali. Jestto walka wrodzonego organizmu z naśladownictwem. Organizm stwarza dziecię ludu a naśladownictwo tworzy zeń dorobkowicza. Ztąd owa niestałość we wszystkim i brak charakteru, zmiana pojęć, zmiana poglądów, zamiarów i tradycyi w ciągu dnia jednego. Żadna rodzina nie przechowuje swego temperamentu. Ojciec był jansenistą, syn został jezuitą. Jakaś rodzina była liberalną, nazajutrz staje się absolutystyczną. Sądzą iż przerobią się na szlachtę rodową, naśladując przez chwilę

szlacheckie przesady. Wówczas też toczy się w człowieku walka między tą naturą, którą od przodków otrzymał a tą, którą w sobie podrobić usiłuje. Ale czy fałszywe pozory mogą wydać coś trwałego? Tu tradycją nazywamy wyparcie się swych plebejuszowskich przodków.

---



### ROZDZIAŁ III.

**Przewroty w typach fizyologicznych są przyczynami politycznych i społecznych przewrotów.**

Gdyby ustrój fizyologiczny, przekazywany przez przodków nie ulegał zmianom wskutek wygasania ras, skrzyżowania rodzin i nowych właściwości nabytych; wówczas nie mielibyśmy rewolucyi 1789 r. Tak wielkie zmiany pojęć nie pomieściłyby się w głowach ludzkich, gdyby głowy te pozostały tem, czem były w dwunastym stuleciu. Lecz pod osłoną starych zapożyczonych nazwisk powstały zupełnie nowe rodziny, które przyniosły ze sobą krew nową.

Pewna rzecz bałamuciła przez długi czas dziejopisów; wszędzie gdzie tylko napotykali stare nazwiska, sądzili, mianowicie, że mają przed sobą potomków dawnych rodzin, którym przypisywali temperament zmyślonych przodków. Nic bardziej nie kaleczy dziejów. Od czasu jak się dowiedzieliśmy z nauk przyrodniczych, że istnienie rodów<sup>1)</sup> historycznych jest bardzo ograni-

---

<sup>1)</sup> Szybkie wygasanie arystokracji i warstw społecznych zamkniętych w sobie, było faktem powszechnie znanym w starożytno-

czonem i nieprzeciągającym się dłużej nad dwa lub trzy wieki, że nazwiska nikną z konieczności — od tego czasu nie wolno dać się oszukiwać pozorami, przy pomocy których tytuły i nazwiska starają się uwiecznić. Porzućmy więc tę historię widziadeł i przejdźmy do rzeczywistości.

Nie szukajcie wśród społeczeństw nowożytnych rodów (*gentes*) i rodzin starożytnego Rzymu. Te ostatnie mogły się utrwać dzięki zakazowi zawierania związków małżeńskich z plebejuszami. W małżeństwie nowożytnym, gdzie Justynian zaślubia Teodorę, arystokracya miecza arystokrację palestry, magnat zbogaconą mieszczańkę, otóż w takich warunkach, nie może być mowy o fizyologicznem przekazywaniu szlacheckiego i możnowładczego typu. Wszystko to znikło w formach dziedziczości i konstytucyi fizycznej bardziej jeszcze niż w prawie pisanem. Codziennie spotykam typy plebejskie w świecie arystokratycznym, typy patrycyuszowskie w plebejskim a nawet w proletaryacie.

Jakże szybko znikają nazwiska i rodziny żyjące jedynie między sobą! W Sparcie, za panowania Kleomenesa, pozostało zaledwie pięciuset Lacedemonczyków zdolnych do noszenia broni<sup>1)</sup>

We Francyi w pierwszej połowie IX wieku, znikła

---

ści: Benoiston de Chateauneuf, cytowany przez A. de Candolle, *Histoire des savants*, str. 387. Patrz *Memoires de l'Academie des sciences morales et politiques*, tom V, str. 753.

<sup>1)</sup> „Znano już nietrwiałą egzystencję rodzin książęcych w Anglii.“ Patrz A. de Candolle: *Histoires des sciences et des savants*, str. 388.

krzew teutońska <sup>1)</sup>. Rodziny germańskich zwycięzców przetrwały tylko trzy wieki. Nie było też wówczas szlachectwa polegającego na różnicy krwi; pozostali tylko gallo-romanowie. Owo szybkie wygasanie zwyciężkich barbarzyńców i pierwsze skrzyżowanie ras uwydatniła rewolucya, która wprowadziła Kapetyngów na miejsce Karlovingów.

Tyle co do dziejów Francji.

W Anglii, w Izbie lordów na czterystu dwudziestu siedmiu członków, czterdziestu jeden tylko sięga po za-wiek siedemnasty <sup>2)</sup>. Wszyscy inni należą do ludzi nowych, którzy zajęli miejsca starych wygasłych rodzin. Jeśli tak się dzieje z arystokracją angielską, jeśli ona zdołała się utrzymać tylko w dziesiątej swej części, to cóż dopiero mówić o francuzkiej arystokracji.

To nam tłumaczy jedną z niejasności. Rodziny będąc tak nowe, nie posiadają żadnej fizyologicznej pod stawy w czasach feodalnych. Najdawniejsze z nich należą do epoki niedawnej, gdy zarówno arystokracja jak i mieszczaństwo legło u stóp absolutnego władcy. Rodziny te nie mają w fizycznej swej konstytucyi ani jednego włókna należącego do czasów dawniejszych; zrodzone w ostatnich chwilach dawnego ustroju, u stóp swego pana, w królewskiej służbie, odziedziczyły tylko skłonność do służalczości i posłuszeństwa. Jestto właśnie fizyologiczny temperament, jaki uzyskały za panowania ostatnich królów.

---

<sup>1)</sup> Ot. Müller, *Die Dorer*, t. II str. 195.

<sup>2)</sup> De Maistre, *Du Pape*, str. VII.

<sup>3)</sup> Galton, *Hereditary Genius*.

Rodziny te, pragnąc obecnie przewodzić w roli klas wyższych, przekonały się, że są zmuszone rozpocząć walkę z własnym swym temperamentem. Z pochodzenia nawykły one do biernego posłuszeństwa, jakże więc mogą przewodzić? Na czołach ich nie widnieje bynajmniej dziedziczne znamię rozkazodawcze, ale raczej piętno biernego posłuszeństwa.

Dlatego niepodobienstwem jest zmusić świat społeczny do poddania się ich władzy, która mu się wy-daje prózną zachcianką. Gdyby wskrzesiły swych przodków, ci powiedzieliby im: bądźcie, jak my byliśmy posłuszni. Nie przy pomocy takichto fizycznych i duchowych tradycyi gruntuje się władza klasy lub rasy. Nauki przyrodnicze nie dążą w swych wnioskach do demokracji, do ludzkości złożonej ze wszystkich nowych właściwości ciała i ducha.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### Upadek klasy społecznej.

Zaparcie się instynktów fizjologicznych, odziedziczonych po przodkach, jest dowodem upadku klasy społecznej. Mieszczaństwo i nowa szlachta są poprostu ludem i niczem innem być nie mogą. Po za tem, zbywa im na jakimkolwiek charakterze; reszta jest tylko zmysleniem i deklamacją.

„Kto nie przypomina rodziców swoich — powiada Arystoteles — jest pewnego rodzaju potworem; natura bowiem oddała się w nim od swego gatunku: jestto pierwszy stopień wiodący do upadku“,

Zastosujcie to prawo do klas społecznych, które zapierają się własnych ojców, a rozjaśni wam się tajemnica upadku dorobkowiecowskich rodzin.

Znana zasada wielu historyków, że Rewolucya 89 roku była walką Francuzów z Gallami — jest bezwzględnie fałszywą, Fizjologia dowodzi wprost przeciwnie. Szlachta francuzka 89 roku nie miała w sobie nic z typu zaborczych Franków. Wróciła ona raczej do wyrodzonego typu gallo-romanów. Dowodem jej lekkomyślność, zrzeczność i poddańczość wobec Rzymu.

Francuzkie rasy średniowiecznych koni, owe *fleurs de*

*coursiers* (kwiat biegunów) już dziś nigdzie nieistnieją, a tem mniej rasy ludzkie z feodalnych czasów.

Prawdą więc jest, że szlachta, straciwszy w 89 roku swą władzę skutkiem praw, zniosła ją sama niszcząc się fizyologicznie przez finansowe małżeństwa. Nie tylko bowiem rewolucya polityczna ustanowiła w społeczeństwie równość wobec prawa, ale przede-wszystkiem równość fizyologiczna wytworzyła społeczną. Dlatego to właśnie równości tej nic zniszczyć nie zdoła. Na to potrzebaby odtworzyć typ fizyologiczny, który nie istnieje.

Powstanie rewolucyi 89 roku ułatwiło tożsamość ustroju fizycznego wszystkich klas. Gdyby klasy wyższe posiadały szersze mózgi od klas niższych, jak w XII wieku, równość w obec prawa nie mogłaby się nigdy stać dogmatem nowej społeczności. Rewolucja potwierdziła tylko to, co już przedtem napisanem było w fizycznej konstytucyi francuzkiego narodu. Jednem słowem, zrównanie fizyologiczne sprowadziło polityczną i społeczną równość.

Zapytacie, jakim sposobem upadek pewnej klasy ludzi może nastąpić nieodwołalnie? Odpowiem na to, że dzieje się to wtedy gdy same organa myślenia zmieniają się lub zmniejszą. Lecz jak się dokonywa owa zmiana? Zobaczmy.

Nie ulega wątpliwości, że przez gimnastykę myśli, potężnieją jej organa; mózg karmiący się prawdami, rośnie; przeciwnie zaś, wskutek bezczynności, słabnie. Wyobraźcie sobie pewną klasę ludzi, których bezpośrednio interes pobudza do odtrącania wszelkiej prawdy; klasa ta czepiać się będzie tylko martwych idei, wytworzy sobie atmosferę sofizmatów, która mózgowi

nie dostarczy żadnego żywego posiłku. Gdy głowy tej klasy się wypróżnią, ona próżnię tę zupełni czczemi słowami, w które sama wierzyć nie będzie; stanie się niezdolną do czego innego, prócz do deklamacyi.

Niebezpiecznem jest jednak igrać w ten sposób ze swym rozumem. Jak długo, według waszego mniemania pewna klasa ludzi może gwałcić bezkarnie wszystkie prawa ducha, nie zniszczywszy w sobie jego organu? Zanikanie tego organu jest szybsze niżeli przypuszczacie.

Znam ludzi, którzy od pół wieku przeszło nie nabyli ani jednej idei, ani jednego nowego pojęcia. Czyż podobna, aby ich zdolności pojmowania nie zamarły w tej myślowej bezczynności? Może zresztą niesłusznie obwiniamy zamiary tych ludzi? Sam organ myślenia w nich zdrętwiał. Sąto istoty kopalne, skamieniałe, które mówią i ruszają się bezmyślnie, odpowiem zaraz na czem polega ten upadek? Proces rozwoju złego jest taki: Naprzód przez namiętny upór nie chcemy, a potem przez nieudolność niemożemy widzieć prawdy. Sfałszowawszy w tajemnicy własnego sumienia rozum, dochodzimy do sfałszowania samego jego organu; przez małżeństwa zaś między rodzinami nasiąkłymi nienawiścią do światła, organiczne to usposobienie przechodzi na dzieci, ustala się w nich i zakorzenia. Upadek więc ducha staje się upadkiem jego organu. W ten sposób marnieje ród ludzki.

Podobny los spotkał Byzancyum. Nawyknięcia do sofistyki przechodząc z ojca na syna, niewątpliwie zepsuły lub uszczupliły ich masę mózgową. Gdzieindziej starałem się wykazać, że przed i po upadku państwa

bizantyńskiego zdolność mózgowa nie była jednaką<sup>1)</sup>. Duch, który zbudował sobie siedlisko w mózgu ludzkim, wyradzając się zmniejsza go. Alboż w wychudłych i wązkich głowach bizantyńskich medalionów nie widzimy trawiącej pracy sofizmatów i błędów? Wprawdzie w tych zmalanych obliczach i zaciśniętych czołach coś złożyć trzeba na karb ręki, która je wyrzeźbiła; niepodobna jednak niedostrzedz w nich skutków dziedzicznego wpływu ducha bizantyńskiego.

W średnich wiekach, gdy dzielność mózgowa jeszcze bardziej osłabła, ludzkie twarze posągów nacechowały wynędznienie i martwota, czego niepodobna tłumaczyć jedynie niezręcznością barbarzyńskiej sztuki. Czaszki z XII wieku znajduwane dziś na cmentarzach, zwięzieniem swych konturów wyjaśniają nam zwięzienie twarzy w rzeźbach, w kościołach gotyckich. Ludzkość powstrzymując się od myślenia przez tysiąc lat uszczupliła do najwyższego stopnia mózgową masę.

Tak więc stosownie do epok rozumu lub umysłowego uśpienia, typ fizyologiczny wzbogaca się lub ubożeje. Rozwój lub ściśnienie się mózgu odpowiadają okresom wielkości lub upadku zarówno warstw społecznych naszego czasu. Doszły one bowiem właśnie do tego krańca, na którym ustrój fizyczny chwieje się między odrodzeniem a nieodwołalnym upadkiem.

Często zapytuję siebie, jaki może być stały wpływ kłamstwa na ustrój nasz fizyczny. Niema ludzkiego mózgu, któryby przeszedłszy z ojca na syna zdołał oprzeć się ustawicznemu działaniu sztuki kłamania.

---

<sup>1)</sup> Patrz: *La Création*.



Wpływ ten jest daleko gorszy od wpływu alkoholu i opium.

W upadku jakiejś klasy społecznej, z punktu widzenia fizycznego, pierwszymi znamionami wyradzania się są: wzrok przygasły, którego gniew nawet ożywić nie może; brak wyrazu twarzy; oblicze nie tyle nieczułe, ile mało ożywione i wreszcie łysina przedwczesna. Najbardziej jednak wyradzanie się fizyczne występuje w organie głosu. Przysłuchajcie się temu krzykliwemu rozdartemu głosowi, który prawie nie ma w sobie nic ludzkiego. Jeden stopień dalej, a będzie to dźwięk antropoida.

Z duchownego punktu widzenia przedewszystkiem ginie połot myśli. Wyższe klasy w swym upadku przybierają wiele cech ludów nieoświeconych: nie mogą np. odczuć szlachetności, miłosierdzia i łagodności. Jestżeto skutek tego, co naturaliści nazywają powrotem do typu epoki kamienia?

Ustanowimy prawa odwetu, powiadają te klasy. Gdyby Australczycy mówili o prawach nie mówiliby inaczej. Tak więc pod cywilizowaną maską ukazuje się nagle barbarzyńiec.

Jaki jest środek na to wyradzanie się duchowe? Wychowanie. Lecz właśnie każda upadająca klasa odpycha je ze wstrętem.

Głowa gubi narody. Klasy wyższe daleko wcześniej chylą się ku upadkowi niż ogół. Ten ostatni może się jeszcze utrzymać w swej masie, kiedy ze sfer arystokratycznych pozostały już tylko cienie. Rozkład bowiem i śmierć rozpoczyna się zawsze od góry;

w narodzie zaś od klas wyższych, w tych zaś od szlachetnych pierwiastków natury ludzkiej.

Gdy arystokracja długo panuje, przeszkadza ona narodzeniu się i rozwojowi ludu; podobnie jak wielkie rozłożyste drzewa niedozwalają u stóp swych rozrastać się małym. Gdy drzewo pada, wszystko dokoła niego zamiera. Gdy arystokracja rzymska upadła, nie było ludu któryby zajął jej miejsce. Pozostał jej tylko Cezar.

Zbawieniem Francji było to, że rządy możnowładstwa były krótkie i często przerywane. Jako potęga polityczna datuje się ono dopiero od wieku. Nie miało ono więc czasu okryć narodu swym cieniem i zagarnąć dla siebie światła. Dziś już zapóźno, aby naród ów wykorzeńić.

Tu właśnie spoczywa błąd współczesnego cezaryzmu. Nie spostrzega on różnicy czasów, nie widzi, że stanowisko jego zajęte i że utworzył się naród nowy, zamiast gminu starego cezara.

W pisarskim zawodzie moim miewałem chwile, którychby mi mogli filozofowie pozazdrościć. Były to chwile obserwacji w codziennem doświadczeniu, na podstawie jakiego prawa dokonywa się w pewnej grupie ludzi stopniowe zanikanie ducha. Jakaś żywotna idea, która zdawała się być powszechnie przyjętą, pewnego dnia gaśnie w ich umyśle, a zarazem gaśnie cały krąg pojęć, które zwykle z nią się kojarzyły. Wyobraźcie sobie wielką klawiaturę; naprzód odpowiada ona wszelkim wymaganiom harmonii, ale pewnego dnia milknie jeden z klawiszów, potem całe oktawy, tak że niepodobna stworzyć akordu. Nareszcie pozostaje jedna tylko uparta struna, krzykliwa, zużyta i fałszywa, która

nie pobudza do drgania innych; nareszcie i ta milknie. W ten sposób tworzy się cisza, umysłowa śmierć, ruina klasy społecznej lub całego narodu.

Wziąwszy stosunek odwrotny, łatwo pojąć, jak umysł ludzki, ograniczony z początku do jednej podstawowej struny, pobudza do drgania inne, jednorodne. W ten sposób, przez bezwiedne kojarzenia się, staje on się całkowitą klawiaturą. Każde bowiem pojęcie, rozwijając się, budzi mnóstwo innych. Tak powstaje zgoda, sympatya, wielkość ducha i okres pomysłności.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Zanikanie typu i rasy w arystokracji. — Bogaci spadkobiercy. — Zmiana nazwisk.

W kwestiach dotyczących arystokracji zauważyć właśnie można, jak dalece politycy lekceważą najelementarniejsze pojęcia fizjologii i prawa naturalnego porządku. Arystokracja pada ofiarą chciwości złota? Jakto?

Zaślubia bogatych dorobkowiczów. Bardzo dobrze, ale ona sądzi, że przytem zachowuje dawny typ szlachecko-rycerski. Natura zawsze odzyskuje swoje prawa. W tych więc mieszczanach utworzonych przez samą chciwość, ginie zarówno typ arystokratyczny jak i plebejuszowski. Płodem bowiem jej jest mieszaniec, który nie należy ani do silnych rodzajów ludu, ani do eleganckiej nowoczesnej szlachty.

Najbłędniwszem jest mniemanie, jakoby ojciec stanowił tylko rasę. Bardzo często spotykamy ludzi zrodzonych z matki plebejuszki, którzy uważają się za patryjuszów. Niema nic we Francji powszechniejszego, jak ta fizjologiczna niedorzeczność. Syn zrodzony z mieszanej pary, sądzi, iż nosi w sobie tylko typ ojca. Mniema, że dość zaprzeć się pochodzenia swego po

kądzieli, aby być potomkiem krwi książęcej. „Nieznam przodków mojej matki“, rzekł jeden z nich do mnie.

Czyż dość zaprzeć się pochodzenia swego z jednej lub drugiej strony, aby zatrzeć w sobie jej rysy, temperament i naturę? Bynajmniej; pochodzenie, którego się zapieramy istnieje; mięsza się ono z myślami i czynami codziennego naszego życia. Ztąd też się biorą pokolenia, które zapierając się swej połowy, dźwigają w sobie własne swoje rozprzęczenie; nie należą one ani do arystokracji ani do ludu. Są one podobne do owych koni, których zaginęła rasowość a z którymi niewiadomo co począć? Są to ludzie z poszarpanemi umysłami, którzy nie mogąc odzyskać w sobie jedności, stanowią raczej wcieloną sprzeczność. Brak im poczucia ciągłości, a jeszcze bardziej tradycji; pozostaje w nich jedynie pretensjonalność jako nieodzowne następstwo owych braków, przesada i przebiegłość, które stają się w nich sztuką i następnie drugą ich naturą.

Pani de Grignan wyjaśniła już w swoim czasie tajemnicę owej mieszaniny; chcąc bowiem usprawiedliwić ożenienie swego syna z mieszczanką rzekła: „Dobry grunt trzeba nawozić“. Zdawało jej się, że przez to utrzymała nietkniętym typ Grignanów; jak gdyby matka i przodkowie matki nie mieli żadnego znaczenia w ustroju potomków. To nam tłumaczy, dlaczego sfera, którą dawniej nazywano wyższym światem, straciła zupełnie charakter.

Starożytni, którzy mieli jasne pojęcie o dziedziczności szlachectwa i arystokracji jednakową przywiązywali wagę zarówno do pochodzenia matki jak i ojca. U Etrusków nazwisko obywatela składało się z dwóch połączonych imion rodziców. My nazwisko matki gdy

ta pochodzi z ludu pomijamy. Dlatego chroma nasza rzekoma arystokracja; przedewszystkiem bowiem brak jej rasowości.

Zrujnowani panicze ratują się przez małżeński związeki z bogatemi dziedziczkami. I jaki tego rezultat? Dziwny zaiste. Bogate dziedziczki są bezpłodne. Chętnie idą za mąż, ale mają najslabsze prawdopodobienstwo zostawienia potomków<sup>1)</sup>. Dowodem tego Anglia. Parowie angielscy, których rodziny szybko wygasły, zaślubiali właśnie bogate spadkobierczynie. Dziwny zatem objaw wyjaśniają nam nauki przyrodzone. Owe dziewice zyskały bogactwa przez to, że straciły wczesnie siostry i braci, po których wzięły spadek, co przekonywa, że posiadają krew wątłą i noszą w sobie zarody niepłodności lub nasiona przedwczesnej śmierci.

Ztąd wynika, że ludność wzrasta tylko dzięki małsom narodu. Jestto skutek słabej płodności w rodzinach bogatych i zamożnych. Ztąd znów wniosek drugi że tak zwana szlachta wyszła z łona ludu. Oddawna już nie byłoby najmniejszego śladu potomków starego rycerstwa, gdyby to co nazywamy tem imieniem nie narodziło się z ludu.

Gdyby zmartwychwstał książę Saint-Simon, czy dużo naliczyłby obecnie prawowitych nazwisk rodowych? Sądzymy, że zaledwie jedno na sto. Wielcy byłiby dla niego tem, co nazywał chudeuszami lub nicponiami.

W obec klass, które się uważają za wyższe, lud

---

<sup>1)</sup> Tak więc nowe rodziny parów prawdopodobnie wygasną w pierwszym lub drugim pokoleniu. A. de Candolle, *Histoire des savant*, str. 388. Galton, *Hereditary Genius*, 1869 r.

pozwała sobie imponować pozorną starożytnością. Słyszając stare nazwisko, sądzi iż ma przed sobą starożytne rody. Jakżeby szybko zmienił swe sądy, gdyby mógł wiedzieć, ile między temi starożytnymi warstwami społecznymi jest nowych, ile ich istnieje od wczoraj, i jakim owa mniemana starożytność jest złudzeniem. Przeniknijcie sztuczne osłony, a ujrzycie naród nie wczorajszy ale nawet dzisiejszy.

Często przyglądałem się tym przemianom. Włościanin ma dwóch synów. Jednego z nich wychowuje na księdza proboszcza swojej wioski, który natychmiast z tej mistycznej wysokości uczuwa pogardę dla swego pochodzenia. Jestto bowiem jeden z filarów klas wyższych! Drugiego syna posyła jeszcze w kaftanie do szkoły. Ten znowu pełen owej wyższości zna i poważa jedynie wielkich. Swoich się wypiera. I oto znów otwiera się dlań wejście do sfery przewodniczącej a wkrótce i do arystokracji. Umył sobie ręce, ma przyjaciół! Co za elegancja — wołają — jaka delikatność cery! Co za skończony typ dawnego magnata.

Balzak tworzy często w swych powieściach urojoną fizyologię. Ilekroć razy spotyka nazwisko szlacheckie zachwyca się zawsze czystością rysów osoby i przezroczystością jej cery. Czyste to złudzenie! Należałoby raczej robić wprost przeciwne spostrzeżenie: pod rzekomo wielkiem imieniem widzieć twarz pospolitą, pod nazwiskiem państwa d'Escarbagnac oblicze, krew i przykry falset Turcareta i Frontina. Widzicie więc gdzie się kryje oryginalność i prawda.

Tak więc dzięki naukom przyrodniczym dowiadujemy się, że to co nazywamy obecnie arystokracją dziedziczną, bywa zwykle czystem złudzeniem; dowiedziono

bowiem, że rodziny historyczne nie przetrwały trzech stuleci Rodziny Franków znikły już w IX wieku. Rodziny krzyżowców z XII wieku przestały istnieć w XVI. Cóż powiedzieć o synach krzyżowców? Była to polityka ugruntowana na błędnej fizyologii. Ani w jednym ani w drugim obozie nie znajdziesz mózgowych cech krzyżowca.

Na mocy tego szybkiego wygasania starożytnych rodzin, przyznać łatwo, że reakcja nie jest bynajmniej tradycją przodków. W żyłach nowoczesnych reakcyjnistów nie płynie krew krzyżowców; jestto raczej krew plebejska.

Gdyby reakcja była objawem atawizmu (powrotu usposobień przodków), odnalezionoby w niej właściwości ras starożytnych. Lecz właściwości tych odnaleźć nie można. Wszystkie te temperamenty, które się okryły arystokratyczną zasłoną, są temperamentami plebejskimi. Szlachcic przepadł, miejsce jego zajął renegat plebejski, który zarazem przyjął jego tytuły. Jakimże jest dziś temperament wielkich tłumów? Oto skłonność do wybuchów, do deklamacyi i wrzawy — słowem cechy tłumu. A gdzież natomiast znaleźć możemy, chłód, rozwagę, wstrzeźliwość i panowanie nad sobą — po stronie ludu. To też prawdą jest, że fizyologiczna dziedziczność niema żadnego znaczenia w odróżnianiu klas. Najwyższe między nimi dowolnie zmieniają temperament bo zatracili temperament przodków.

Wraz z rodzinami giną ich nazwiska w czasie dość krótkim. Potrzeba nowych nazwisk, aby zastąpić niemi dawne. Lecz z kąd się biorą nowe? Dziwne odkrycie! Przedewszystkiem pochodzą one od znajdków, którzy nie mając nazwisk familijnych, przybierają fantazyjne.



Tak więc biedne te istoty, bez rodziców, bez wiadomego pochodzenia, są owem źródłem, w którym się wytwarzają w znacznej części nowe nazwiska, nieprzyminające przeszłości. To wytwarzanie się wynagradza nieodwołalne zagasanie dawnych inion rodowych<sup>1)</sup>.

Istnieje jeszcze inne źródło nowych nazwisk, niewyczerpane jak próżność z którego wypływa. Proces ten powtarzał się w moich oczach po tysiąc razy.

Jakiś człowiek porzuca rolę i zaraz zmienia nazwisko. W miejsce nazwiska uczciwych swych rodziców wyrobników, wieśniaków, kramarzy, przybiera nazwę od młyna, który nabył, lub wioski w której się urodził. W ten sposób powstaje potomek krzyżowców, który nazajutrz ozdobi się herbem. Czyż to nie szeroka podstawa dla arystokracji dziejowej, dla tych których jedynie nazywają wielkimi panami.

Jestto rasa bez przodków niepochodząca ani z ludu ani z mieszczaństwa, ani z miasta ani z dworu; widziadło raczej niż rzeczywistość, proch który nie znał życia, rasa która umarła zanim na świat przybyła. Czy na tymto prochu, Ateńczycy, zamierzacie oprzeć oligarchię Eupatrydów?

Czyż nic nie wyleczy z manii zmieniania nazwisk, fabrykowania sobie zmyślonych, którym nigdy nie zbraknie szlacheckiego szychu?

Przeżyć całe życie pod fałszywem nazwiskiem uszła-

---

<sup>1)</sup> „Nazwiska rodowe rekrutują się zwykle: 1) z nazwisk znajdów i. t. d.“ A. de Candolle, *Histoire de sciences et des savants*, str. 386—389.

chconego mieszczanina, przykleić to kłamstwo do swej twarzy, wyźłobić je we własnem swem ciele, nosić na sobie ten trąd aż do śmierci i zawlec się z maską do grobu — pojmujecie, jaka wytwarza się ztąd dwulicowość i zepsucie w jednostkach i rodzinach? Przyczyna ta działając dniem i nocą, wytworzyć nareszcie musi ludzi-kłamców.

Nigdy nie zapomnę, gdy razu jednego zwiedzając galery w Tulonie, spostrzegłem w więziennej odzieży słynnego hrabiego de Sainte-Hélène. Okazale on zaiste wyglądał w zielonej czapce i galerniczej kapocie. Nazywał się właściwie Cognard a był służącym hrabiego de Sainte-Hélène. Zabiwszy swego pana, skradł jego tytuły i bardzo zręcznie odgrywał rolę hrabiego. Niez szczęściem jednak, pośród swej wielkości poznany został przez dozorcę wieziennego i wtrącony na galery. Widziałem go przykutego łańcuchem do jednego z towarzyszy, jak z wysokości estrady zdawał się jeszcze rozkazywać.

— Czy to pan jesteś — zapytałem go — hrabia de Sainte-Hélène.

— Tak jest — odrzekł — zawsze zachwycony tem, że ma do czynienia z uczciwymi ludźmi.

Potem chciał mówić, ale towarzysz pociągnął go za sobą z wielkim szczękiem kajdan i łańcuchów.

Spółceństwo złożone z plebejuszów zapierających się plebejuszostwa, nazywam dorobkowiczowskiem. Spółceństwo takie świątby zdziwiło swemi sprzecznościami; byłoby dlań plagą przez swoją bezpłodność. Zapierając się bowiem swego pochodzenia, pozbawiłoby się zarazem racji bytu. Nie mając przeszłości niemiałoby terażniejszości. Każda istota na ziemi musi mieć przed-

ków. Społeczeństwo, o którym mówimy, nie mając odwagi przyznać się do swoich, usadowiłoby się po za wszelkimi warunkami życia; bez rodziców i antenatów, nie miałyby nawet znikomej żywotności. Wszystko byłoby w niem fałszywe: wymowa — deklamacją, dowcip—wybrykiem; maniere — przesadą, a sztuka — kantyczkami. Zrodzone w próżni, w próżniby zamarło do odtwarzania się nie zdolne. Niema bowiem takiej potworności, któraby nie mogła zrodzić się w społeczeństwach tego rodzaju, a przedewszystkiem zatartby się narodowy temperament, niby cień przesuwający się po ziemi.

Dokąd zawieśliście mię z przewiązanemi oczami śród nocy? Co to za kraina, do której przybyliśmy? Co za ludzie? do jakiego należą narodu? Nierozumiem ich języka? Daremnie usiłuję pojąć znaczenie ich rozwiązłych krzyków. Wczoraj jeszcze byłem we Francyi, a dziś budzę się w kraju mi nieznanym, należącym zapewne do antypodów. Na litość, powiedźcie, jak się kraj ten nazywa? Pod jaką szerokością geografowie go umieścili? Przenieśliście mnie nietylko na łono obcego świata, ale i do czasów mi obcych, które znikły przed tysiącem lat.

Chyba senne widziadła mnie przesładują? Spoglądam, słucham, patrzę, przysłuchuję się, chwytam rękami, wołam i zmuszony 'jestem wyrzec: O nie, to chyba nie sen, to nie widziadła. Jestże to możliwem? Tak jest, niestety!

Słuchając tej nieznaney mowy, zdaje mi się, że różniam następne słowa, które wracają i odbijają się echem. Ustąpcie młodemu! Hasło starości jest hasłem

posepnem dla wszystkich. Dla młodych znaczy ono, że młodzi zaledwie lat kilka poświęciwszy myśleniu, pragnieniu, działalności i walce, po pierwszych wysiłkach strudzeni cofają się z pola życiowego boju; droga bowiem nie może być długą dla tych, którzy jej kres sami przybliżają.

Dla starych hasło owo znaczy: bezwładność, rozkoszowanie się tak zwanem *far niente*, zniechęcenie do samych siebie, zapomnienie o innych, przedwczesna śmierć.

W obu powyższych razach hasło to jest bezduszne, bo przeczy jej potędze — jak gdyby myśl nie miała żadnego znaczenia dla człowieka, jak gdyby praca umysłowa, nagromadzone wysiłki rozumu nie posiadały żadnej wagi, były czystem zerem; jak gdyby głowa i serce znikły już zupełnie a pozostała tylko pięść!

W narodzie kwitnącym, pokolenia jedne wspierają się na drugich. Jedna i taż sama potężna wola płynie z jednego stulecia w drugie. Nikt nie myśli redukować narodowego życia do rozmiarów małego życiowego strumyczka, który ulatnia się i wysycha za każdoroczną wiosną. Młodzi uczą się na starych, a starzy na młodych. Myśl rozdziwienia ich mogła powstać jedynie w przesileniu niewolnictwa.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Wyludnienie i jego przyczyny.

Ludność we Francji stopniowo się zmniejsza. Darownie doszukiwano się przyczyny tego objawu. A jednak otwórzcie oczy, uderzy ona was swą widocznością.

W Hiszpanii, we Włoszech, w Portugalii ludność zmniejszała się w miarę wzrostu katolicyzmu. Ludy owych krajów stały się w XVIII wieku ludami opatów i mnichów. Z tego wniesć można, że katolicyzm ultramontański jest obecnie religią wyludnienia.

Zastosujcie to do Francji, a przekonacie się, że znaczny wzrost klerykalizmu datuje się od ostatnich czasów Restauracyi, a przedewszystkiem od czasu przejścia liberalizmu francuzkiego na jezuityzm. Skutek począł się objawiać w następnem pokoleniu, co przypada jednocześnie z pierwszemi wskazówkami upadku ludności we Francji. Wyludnienie to rosnąć będzie w miarę wzrostu katolicyzmu papieżkiego. Popierać wzmaganie się potęgi katolickiej, jestto pracować nad fizycznym zniszczeniem Francji,

Dla czegóż jednak katolicyzm stał się przyczyną wy-

ludnienia. Są powody potemu widoczne, istnienie kasty bez rodziny i potomstwa. Są jeszcze inne bardziej ukryte względy, o których wielokrotnie już wspominałem <sup>1)</sup> jak skarłowacenie ducha, ubytek sił żywotnych, fizycznych i moralnych, faryzeizm, fałsz i obłuda w samej zasadzie życia.

Spojrzenie na cyfry od r. 1866 do 1872 — urzędowe dokumenty wykazują spadek ludności, wynoszący około czterechset tysięcy mieszkańców, niezależnie od miliona sześciuset tysięcy ludzi, których nam (francuzom) wydarł zabór.

Ludność Włoch, Hiszpanii podnosi się w miarę usuwania się państwa z pod wpływu księży. Ludność zaś Francji spadła w miarę wzrostu owego wpływu. Wyprowadźcie stąd wnioski. Wszędzie jezuityzm wyruszył źródło życia; czas już o tem się przekonać i zapobiedz temu.

Zagadnień tych nie można rozbierać u nas z zupełną swobodą; niech więc pomogą nam ludy, którym wolno mówić.

Monteskjusz mógł bezkarnie wyrzec przed wiekiem następujące słowa:

„Ludzie często przyglądali się upadkowi, nie odczuwając przyczyn rozstroju. Dwoma wielkimi w tym względzie przykładami są kraje spustoszone przez despotyzm lub też przez wygórowaną przewagę duchownych nad świeckimi.“

---

<sup>1)</sup> Patrz w zbiorowym wydaniu dzieł moich: *Jezuici, Ultramontanizm, Chrystyanizm i Rewolucya Francuzka.*

Chodzi przede wszystkim o Francję, a u nas prawie że nie wolno wyrzec słowa prawdy w tym przedmiocie. Dozwolonem mi jest zaledwie ogólnie tę sprawę przedstawić. Otóż powiadam, że ród mniesz y zmniejsza ludność. Wskazówka dla tych, którzy chcą pa-trzeć i słuchać<sup>1)</sup>.

Wytłómaczcie mi, dlaczego ludność gaskońska od-dziela się od reszty francuzkiego narodu, czemu co rok tak licznie przenosi się do Południowej Ameryki? Są-to przecież najdawniejsi posiadacze francuzkiej gleby, dawniejsi niż Celtowie i Gallowie. Sąto najstarsze ko-rzenie francuzkiego gruntu. Czemuż więc nas porzu-cają? Słysząc nawet przepowiednię, że gaskończykowie przestaną wśród nas istnieć.

Czyż Francya już nie przyciąga najdawniejszych swych mieszkańców? Czy wszystko czynimy w po-trzebie, aby ich zatrzymać? Czyżby do emigracyi za-chęca łątwość zamorskiej podróży i rozległe stepy pampasów, jak gdyby brakło pastwisk w Pirenejach? A może trzeba niepodległości? Bardzo być może. Dopóki byli nieznan, żyli swobodnie i nie myśleli o wy-chodźtwie. Dziś ich odkryto, co według nich zna-czy, że zostali pobici. Karność praw przeraziła ich. Unikając więc zależności od surowej cywilizacyi, prze-bywają ocean, poszukując puszczy.

---

<sup>1)</sup> „Duchowieństwo. Wyłączne jego przywileje wyludniają pań-stwo, a wyludnienie to bardzo trudno zapełnić.“ Montesquieu, *Esprit des lois*.

Tak więc prawie jednocześnie wyrwano z drzewa naszego dwa konary: konar germański na północy przez Alzację i iberyjski na południu przez Basków. W ten sposób stary pień Francji wstrząśnięty został aż do korzenia.

---



# KSIEGA TRZECIA.

## Nowy kierunek w naukach politycznych.

---

### ROZDZIAŁ I.

#### Jak utrzymać równowagę moralną wśród zawichrzeń społecznych.

Śród świata w którym wszystko oddycha nienawiścią, strzeż się nienawiści.

— Lecz ona tłoczy mi się do serca. A tylko lękam się, ażeby jej zbyt nie ujawniać.

— Pomyśl, że to twoi rodacy.

— Są to antypody wobec wszystkiego w co wierzę i co kocham. Zdaje mi się, że jestem od nich oddzielony całą grubością planety.

Uzbrój się w cierpliwość; wkrótce wszyscy będziecie popiołem.

— Lecz nie jednym; wichry nas nie zmieszają.

— Więc prawdą jest, że człowiek przez zarazę nienawiści, stanie się znowu *homo lupus*?

— Pragnę odnaleźć własną mą istotę i odzyskać moc nad sobą wśród tego sofistycznego zaduchu.

— Zapomnij o tych ludziach.

— Lecz uszy moje są ich pełne.

— Zamknij uszy; pomnij, że istnieją jeszcze schronienia dla rozumu, że w głębi lasów odnajdziesz prawdę.

— Wspomnienie o nich i tam mię ścigać będzie.

— Czujemy się obrażeni jedynie przez tych, których kochamy. Czy obraża cię to, że Mingrele lub Afganowie inaczej niż ty myślą? Zdobądź się nareszcie na obojętność.

— Na obojętność względem dobrego? Lekarstwo gorsze — od choroby.

— Cierp więc i milcz; oni bowiem się nie zmieniają, ani oni, ani ich wnukowie.

— Czyż niema środka na moją wzgardę i nienawiść?

— Nienawidź zbrodnię, ale nie zbrodniarza.

— Nie potrafię ich rozróżnić.

— Niesłusznie. Czyż niemożesz odróżnić kłamstwa od kłamcy? Trzeba to uczynić koniecznie. Trzeba postęp zaczynać od siebie. Niech ci wystarczy oburzenie, lecz nie dorzucaj do niego grozy. Pamiętaj bowiem, że u ludzi upadających zanika przedewszystkiem serce. Potem umysł staje się tak ciasnym, że nie można doń wprowadzić żadnej nowej myśli. Jestto kalectwo; poco mu złożyćć? Czy złożyłbyś wolowatym, mikrocefalom, monomanom lub zadżumionym?

— Złożyłbym, gdyby zapragnęli być moimi mistrzami.

— Pomnij, że sam dobrowolnie zakreszasz granicę twemu umysłowi, przypuszczając, że inni podobni są do

ciebie, że powinni mieć tożsamo pragnienie prawdy i sprawiedliwości. Podajesz im napój, którego nie pożądamy. Woła to, co ty uważasz za truciznę? Wytrać z rąk ich puhar, lecz nie zniżaj się do nienawidzenia ich.

Przedewszystkiem zachowaj cząstkę twej istoty i nie dozwól przedostać się do niej wrzaskom. Gdy zamieszkujemy siedzibę zadżumioną, staramy się odnaleźć kącik, do którego nie wolno zbliżać się grabarzom.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Reakcyonista francuzki i niemiecki.

Obserwując zachowawcę niemieckiego wydaje nam się na pozór jakbyśmy mieli do czynienia z francuzkim reakcyonistą. Nienawidzi on ludu, proletaryatu t. j. potępia stan czwarty jak plagę, wyszydza powszechne głosowanie, bogatym przyznaje głos jeden, rzemieślnikom dziesiątą część głosu, szlachcie i wyższemu mieszczaństwu przyznaje zwierzchnictwo, a monarchię przedstawia jako zbawienie. Dotąd przyklaskujecie mu; widzicie bowiem w nim swego sprzymierzeńca, własny swój obraz; gotowicie mu rękę przez Ren podać. Nie spieszcie się jednak. Ciekawy jestem, co sądzicie o innych zasadach zachowawcy, któremu przed chwilą przyklasnęliście?

Przysłuchajcie się jego pytaniom, na które on wam da również odpowiedź.

- Czy jesteście jeszcze chrześcianami<sup>1)</sup>
- Nie, chrześcianami już nie jesteśmy.
- Czy mamy jeszcze religię?

---

<sup>1)</sup> Strauss „*Der Alte und der neue Glaube*“, 1872.

— Tak i nie, zależnie od tego, co rozumiecie przez religię. Rozstaliśmy się już ze starym religijnym systemem chrześcijaństwa.

— Skoro nie wierzymy już w stary kościół, to czy nie należałoby sobie utworzyć innego?

— Nie zaiste. Ponieważ stary kościół nie może już nas w błąd wprowadzić, niemamy więc żadnej potrzeby tworzyć sobie innego.

— Czy jesteśmy spirytualistami?

— Niechcemy bynajmniej owego fałszywego spirytualizmu, który sadowił człowieka po za obrębem natury.

— Więc wedle was kult nie jest rzeczą konieczną, wedle was, reakcyonistów w polityce?

Skoro zrzekamy się wszelkiego kościoła, to cóżbyśmy z kultem poczęli?

— Wszelako dla ugruntowania reakcyi religia jest niezbędną?

— Religia jestto słabostka przydatna w dzieciństwie ludów. Niezliczeni nasi wirtuozi dewocyi wyglądają dziś bardzo świecko w porównaniu z wirtuozami wieków średnich. Religijne terytoryum duszy ludzkiej przypomina obecne terytoryum czerwonoskórnych, którzy z każdym rokiem coraz dalej wypierani są przez białych.

— Lecz wy, co sprzeciwicie się wzrostowi ludu, wierzycie zapewne w piekło?

— Ależ brak miejsca na piekło, od chwili gdy geologia wykazała nam namacalnie podziemne warstwy globu.

— Czy przynajmniej wierzycie w Boga?

— Porozumiejmy się. Bóg bez świata lub przed jego powstaniem jest czystą fantazyą. Idea wyższa jest ideą wszechświata. Wymagamy dla wszechświata

tej samej czci, jaką człowiek pobożny starej daty miał dla Boga.

Powtarzamy więc, i któżby uwierzył, że poglądy te są poglądami zachowawczego monarchysty? Na tem właśnie punkcie dostrzegamy różnicę między reakcyonistą francuzkim a niemieckim. Francuz, poddający się reakcyi poddaje jej się zupełnie, z całą duszą, wyobraźnią i rozumem. Porywają go w trybowe koła, gdzie żadna cząstka jego istoty nie pozostaje ocaloną.

Reakcyonista niemiecki oddaje tylko najmniejszą cząstkę swej istoty, tylko polityczną, zewnętrzną, zachowując sobie wszystko, co należy do dziedziny ducha. Jego wolna wola pozostaje nietkniętą, nienaruszoną. A nawet jego potrzeba filozoficznej niepodległości wzmaga się w miarę ustępstw, jakie uczynił dla stronnictwa wstecznego.

Reakcyonista francuzki nie czuje żadnego pociągu do umysłowej swobody, nie zatrzymuje on w odwodzie żadnej cząstki swej istoty. Zmuszony wyprzeć się wszystkiego co przyjął i głosił, doznaje pewnej bojaźni, że musi pokutować za swoje ciągle wypieranie się. To też strach stanowi rdzeń jego istoty. W tej bezmiernej próżni, wszystkie widma go niepokoją. Bez myśli, i jutra, nie jest pewny, czy głowy nie stracił.

Wy, którzy go spotykacie, dodajcie mu otuchy.

U ludzi upadających spostrzegamy pewien objaw, któregoby wyobraźnia nigdy nie odgadła: mianowicie zanikanie dobrych instynktów. Na wstępie człowiek podobny czuje zadowolenie; w miarę zaś jak się w złem pograża, zadowolenie to wzrasta; wartość

jego we własnych oczach się podwaja. I on więc  
umie fałszować swoje słowa, czołgać się i zdradzać  
z wdziękiem, a ile mu zarozumiałość każe wierzyć  
w swe zdolności, które potrafią umiejętnie stosować!  
Przy pierwszej stanowczej podłości woła do siebie:  
*Anch'io son pittore!*

## ROZDZIAŁ III.

### **Czem właściwie jest duch bizantyński? — Jak ginie narodowość?**

Jedyną z najważniejszych naszych spraw czasów, nad którą, dotąd nikt się bliżej nie zastanowił i która nie weszła w zakres współczesnych kombinacji, jest sprawa odrodzenia narodu francuzkiego. Naród pogrążony w przepaści usiłuje z niej się wydostać, wszyscy zaś, którzy posiadają jakąś siłę, używają jej na to, aby go napowrót w tę przepaść strącić. Widowisku temu codziennie się przyglądam.

Wszystko co zachodzi w świecie urzędowym: rozprawy myśl maskujące, manewry, wykręty zastawiające sidła, sztuka wywyższania się, wszystko to jest dalszym ciągiem upadku, który się rozpoczął wraz z drugim cesarstwem. Owe dwadzieścia lat niewoli ciągną się dalej w tym samym duchu, który je przecierpiał bez oporu: jestto proces bezustannego upadku, niemożność pojmowania czego innego nad fałsz i próżnię. Gdyby naród francuzki nie posiadał innych pierwiastków, nienależałby zaprawdę do liczby narodów.

Wszelako pod owemi ludzkiemi prochami, na samym spodzie, zdala od tej martwej społeczności, naród z każdym dniem rosnący, rwie się do światła. Wi-



działem go — jakżeby miał o tem wątpić? Jest on przeciwieństwem owego świata mumii, który jedynie pozór życia zachował.

Tak więc z jednej strony duch upadku, głosuje najspokojniej za śmiercią społeczną—z drugiej duch odrodzenia. Ten ostatni niema prawie nigdy sposobności przemówić; podejrzewamy go skoro się ukaże, jakkolwiek składa wszędzie dowody swej siły. Oto dwa duchy, które jak śmierć i życie walczą ze sobą w organizacyi ludzkiej.

Ilekcroć wolność pojawiała się we Francyi, zawsze była potępianą niby herezyą lub zbrodnią.

W XIII wieku, wolność pojawiła się wraz z Albigensami; przezwano ją herezyą a heretyków wymęczono na torturach. Następnie wolność przezwala się Reformacyą. Ludzie tradycyi nazwawszy ją herezyą, wytępiali ją ku końcowi XVII wieku. W XVIII wieku wolność przybiera szaty filozofii i ośmiela się wystąpić bez maski w polityce 1789 roku. Znow herezya? Reakcyą przesładuje ją i wykorzenia, jak zbrodnię. Za naszych czasów wolność znow się pojawia. Ciż sami ludzie przeszłości przezywają ją radykalizmem, i pod tem hasłem wojennem na jej unicestwienie się sprzysięgają. Mamyż cierpieć te nowe pustoszenia herezyi, zapytują?

Co właściwie nazywamy duchem bizantyńskim?

Rząd mniszcy widział w oddali światło przemienienia na górze Tabor, a niespostrzegął, że państwo jego zagrożone jest wewnątrz i zewnątrz, że stolica w oblężeniu, że lud rozpacza na rynkach publicznych... Oto jest duch bizantyński. Polega on na widzeniu

tego czego rzeczywiście niema, a co być nie może i na omijaniu rzeczywistości.

Za naszych czasów ci, co pod rzecząpospolitą francuzką, uparcie przeczą jej istnieniu i wszędzie widzą tylko swój Tabor rojalistowski, ci powrócili do ducha bizantyńskiego. Prawią nam oni o subtelnej świetle monarchii fantastycznych, a zaprzeczają rzeczywistości, która ich otacza.

Dobrowolne zaślepienie i bezustannie opaczne pojmowanie rzeczy — oto podstawa ducha bizantyńskiego. Unicestwia on pojęcie ojczyzny; bo jakże ją odczuć, jeśli się obcuje wyłącznie z mniszemi widziadłami.

Wszystkie zasoby intelligencji są tam użyte do zaprowadzenia zmiany w sobie samym: do nieodeczuwania tego co się czuje i niepojmowania tego, co się pojmuje. Wśród tej kalekiej pracy cóż się dzieje z Francją? Znika jak wszelka rzeczywistość. Dla francuzkiego bizantyńczyka nic nie istnieje, prócz jego własnej wizyi: legitymizmu, orleanizmu lub bonapartyzmu. „Oto prawda“ powiadają. Polega ona na niebycie. Rzeczpospolita natomiast, która istnieje, którą się widzi, dotyka, to złudzenie... Wadą jej to, że istnieje. Gdy choroba taka ogarnia całą społeczność, niebezpieczeństwo jest wielkie; a gdyby się rozrosła, śmierćby niechybnie pociągnęła za sobą. Wierzyć w to tylko, czego niema, podobać sobie jedynie w widziadłach, szanować tylko cienie, zaprzeczać oczywistości, ubóstwiać fałsz; oto praca bizantyńskiego ducha. Pojmujecież dokąd prowadzą podobne skłonności?

Jeśli mię cokolwiek przeraża, to owa próżnia pojęć, jaką sprowadza podobny stan duchowy. Krasomówcy, jeden po drugim przemawiają pewni siebie; obracają

się na jednym miejscu nie posuwając się ani kroku naprzód, niezawadzając nigdy o myśl żadną. Jestto wirujący taniec derwiszów, który trwa aż do wyczerpania sił żywotnych.

Zkąd się wzięła ta straszna jałowość u ludzi, których natura tak hojnie udarowała; czemu wymowa ich suchszą jest od pustyni, czemu tyle słów zręcznych nie zdoła rzucić żadnego szczęśliwego posiewu w umysły narodu?.. Oto dlatego, że ludzie ci żyją poza obre-  
bem rzeczywistości.

Każą przemawiać ceniom mającym nikłe cieniów głosy: blade widma z pól elizejskich napróżno się siłą, wydają tylko jakiś dźwięk piskliwy, który nie dochodzi uszu żyjących.

Pytacie, dlaczego język francuzki traci swą popularność w świecie? Odpowiedź na to łatwa. Powaga języka tego zmniejsza się w miarę wzrostu deklamacyi reakcyj-  
nistów francuzkich. Próżnia, pustka, cikliwość jezuicka w połączeniu z niedorzeczną retoryką, nienawiść do prawdy, obawa tego wszystkiego co ma związek z inteligencją, przestrah wobec myśli, wszystko to czyż może świat zainteresować?

Rzeczywistość i prawda są jedynemi dźwigniami człowieka, jedynym pokarmem życia narodowego; gdy systematycznie usuwamy się od rzeczywistości, w przepaść niechybnie zsunąć musimy.

Zaprzeczenie egzystencji Rzeczypospolitej może potrwać chwilę, jako zabawny spór wobec dotykanej rzeczywistości i słonecznego światła. Zgoda, że jest to, jak na pierwszą próbę retoryczną, wcale dowcipnie; lecz jeśli ten krotochwilny spór trwa ciągle, to szyb-

ko się on wyczerpie. Pozostanie z niego jedynie szkolna deklamacja, z której trudno osiągnąć jakikolwiek efekt krasomówczy, a cóż dopiero rzeczywisty pożytek dla tego co przemawia i dla narodu, który go słucha. Wszystko co wydaćby mogło zamienione w zwyczaj deklamacji absurdu, uspiłoby naród do tego stopnia, że nie byłby w stanie się ocknąć.

Pojmuję ja teraz dlaczego przy szmerze tego rodzaju wymowy bizantyńczycy zasnęli snem wiecznym, dlaczego przybycie barbarzyńców, zgiełk i napad zbrojnych obudzić ich nie zdołały.

Nieraz widziałem, jak monarchie zatykały chorągwie swe na trybunie. W zgiełku tym daremnie szukałem Francji. Każda z owych monarchii unosiła z walki tej ze spokojem i dumą szmat sztandaru.

Pewnego rodzaju zdolność frazeologiczna, nigdy zdaniem mojem nie zaginie u Gallo-romanów; lecz frazeologia ta nie zawiera w sobie ani jednego żywotnego atomu. Stare stronnictwa przeżywają próchno starego grobowego drzewa.

Znałem subtelności doktrynerskie wywołane najazdami w roku 1814 i 1815. Zapytywałem siebie, jaką nową subtelność porodzi najście z 1870 r. Odkryłem ją nareszcie: po ułanach nastąpili sofisci.

Należy — powiadają — w imię tolerancji ścierpieć trzy monarchie i jedną rzeczpospolitą w państwie.

Czy nie widzimy, że państwo ostać się może przy kilku religiach, gdy żadna z nich nie rości sobie preteńsy do tytułu państwa? Zapewne. Lecz trzy monarchie i jedna rzeczpospolita, z których każda pragnie być państwem, byłoby objawem rozprężenia inteligencji ludzkiej? Tak jest niestety? Każde słowo tych

ludzi prowadzi do podobnego wniosku. Ale ja, cóż za winilem, że mnie skazano na słuchanie i zbijanie podobnych niedorzeczności?

Najpiękniejszą rękojmią trwałości dla danego rządu, powiadają dalej — jestto być zawisłym od łaski, nie ustalać się w umysłach ogółu, być pismem kresłonym na piasku, mieć wartość nikłego cienia; pewnym tedy zakładem nieustannego trwania jest — niepewność jutra. Piękna to rękojnia trwałości — pozbawionej dnia jutrzejszego.

I to się zowie mądrością. Tak zaprawdę, jestto mądrość intelligencyi nie należących do siebie umysłów, zduszonych w ręku nieprzyjaciela.

O wy, którzy należycie jeszcze do siebie, którzy nie przemawiacie, ani nie myślicie na zlecenie pana, opuśćcie tę krainę mroków, uwolnijcie przynajmniej nasze umysły. Nie dozwólcie im zostać dobrowolnymi niewolnikami, nie dozwólcie, aby intelligencya nasza zmarniała tak jak intelligencya tych, którzy wpadli w niewolę, Zwróćcie nam światło, zdrowy rozsądek i wszystko to czego nas chcą pozbawić.

Nie nazywajcie wykupnem terytoryalnem stanowczego ustąpienia naszych prowincyi najeźdźcom. Czyż wolni jesteśmy dlatego, że niemamy już Strasburga, Metz, Alzacyi i Lotaryngii? Znajdźcie, proszę, inne słowo, któreby w sposób mniej rażący zaprzeczało wprost oczywistości. Czyż i wspomnienia chcą nas pozbawić? Tumie Strasburgski, co w dali przebijasz widnokrąg, widzę cię ztąd, pisząc te słowa... Ja ciebie nigdy nie zapomnę!

Człowieka, w którym gaśnie duch narodowy, poznacie po tem, że staje się głuchym na rozpaczliwe

lamenta swego narodu. Naród daremnie woła: litości! litości! Człowiek taki odpowiada w swej duszy: niema litości!... I zamienia się w jakąś istotę kamienną.

Błahe jego myśli zasłaniają mu całą sumę idei, któremi się kieruje ogół obywateli. Nienawidzi on ludu, który staje się dla niego zagadką, bo czyż potrzebnym jest lud wtedy, gdzie niema narodu? Wszystko co nazywamy duchem publicznym, narodowym, wydaje mu się nierządem, zgubą niebezpieczną i spiskiem, któryby należało niezwłocznie zniweczyć.

Zamiast „Francya“ używa wyrazu: „kraj tutejszy“. W miarę jak się od niej odrywa, strofuje ją, a pragnąłby ją ukarać, niby najeźdźca i obcy zdobywca. Rady jego są rozkazami, rozkazy niczem innym jak nienawiścią. Przemawia jak cudzoziemiec i oburza się, że go nie słuchają. Rozprawiając, uderza w powietrze zaciśniętą pięścią, jak gdyby bicz w rękę trzymał.

Ilekróć płochość i deklamacya łączą się z duchem rutynicznym i trupiemi ideami, powstaje wtedy widowisko najbardziej ze wszystkich odpychające. Zbyt ono przypomina taniec umarłych.

Dotychczas odsuwałem od siebie myśl połączenia i wymówienia tych dwóch wyrazów: nieszczęśliwa Francya! Słowa te, obecnie wyrwywają mi się mimowoli.

Czyż nie znajdzie się nareszcie człowiek, któryby wyniesiony do steru władzy, ulitował się nad tym nieszczęsnym narodem? A przecież naród ten posiada tyle dobrej woli, tyle cierpliwości i dobrej wiary! Czyż to nikogo nie wzruszy! Z drugiej strony widzimy w nim tyle zatwardziałości, zaślepienia, tyle widoków osobistych!

Zaiste, od czasu nieszczęść swoich, naród okazał przymioty ludu godnego wolności. I czegoż mu brakuje?... Tego, czego mu zawsze brakowało — rządu, któryby go mógł pojąć.

Upadająca narodowość, to rzeka, która wysycha i opuszcza swe brzegi, obnażając cielska potworów, jakie kryły się w głębinach wód.

## ROZDZIAŁ IV.

### Modlitwa Faryzeusza.

Codziennie dochodzą mych uszu modlitwy ewangelicznego Faryzeusza:

Boże mój dziękuję Ci, iż nie jestem jak ów grzesznik niepoprawny, który sto razy na dzień grzeszy. Dzięki Ci, żeś mi dał duszę skromną, zacną, umiarkowaną; zdolną do zajmowania wszelkich urzędów, zdobywania wszelkich zaszczytów, których niepotrzebuję się dosługiwać żadnym czynem ani żadną myślą.

Dziękuję Ci Boże, żeś mię obdarzył roztropnemi, jedynie czysto osobistemi myślami [o zysku lub ambicyi, które nie mają nic wspólnego z myślami filozoficznemi i bezinteresownemi wolnomyślnego człowieka.

Dzięki Ci Boże, żeś mię od lat dziecięcych nauczył, aby wszystko skarbić dla siebie, dla siebie jedynie, abym nie był jak ów człowiek niebezpieczny, któryby pragnął, abyś rozdzielał Twe dary między wszystkie stworzenia a nawet między nowe warstwy społeczne. Dziękuję Ci, iż uczyniłeś serce moje ciasnem, przeznaczonem do podobania się Tobie. Codziennie pracuję nad tem, aby coraz bardziej malało.



Dziękuję Ci Boże, iż nie jestem jako ów utopista zatwardziały, który ośmiela się jeszcze prawić o poświęceniu dla sprawy ludu i ludzkości. Myślę o tem tylko jakby używać, gromadzić, zbierać skarby i radować się w Panu. Amen.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Szkoła historyczna i filozoficzna.

Szkoła historyczna zajęła w wieku naszym ważne stanowisko; władza jej stała się o tyle rozleglejszą, o ile oparła się na samym duchu naszej epoki, na poczuciu historyi.

Szkoła ta nauczała, że wszystkie wysiłki narodu będą daremne jeśli się nie oprą na tradycjach przeszłości. Aby mózgi być wolnym dzisiaj, powiadają, należałoby być nim wczoraj. Nic się nie nabywa silną wolą, a tem mniej przy pomocy rewolucyi. Z tego wniesć wypada, że naród, który był niewolniczym w przeszłości, musi nim koniecznie pozostać na zawsze.

Wykorzeniano tym sposobem w zarodku wszelkie dążności nieopierające się na przeszłych danych. Na tem polegał ów wielki spór między szkołą historyczną a filozoficzną w Niemczech i we Francyi.

Któż koniec waśni tej położy? Historyk niezdolał przekonać filozofa, a filozof historyka.

Francya nie mogła przekonać Niemców, ani Niemcy Francyi. Któż więc zakończy dyskusyę? Najbezsronniejsza z nauk — historia naturalna.

Wykazała ona, że w królestwie zwierzęcem może się pewne uzdolnienie wytworzyć w danej jednostce, przez nią udzielić gatunkowi, a przez gatunek rodzajowi, który tą drogą nabywa władzy a nawet organu, nieposiadanego przez pierwszych jego przodków. W ten sposób wyjaśnia się rozwój uniwersalnego życia.

Jeśli podobny objaw zauważono w królestwie zwierzęcem, to cóż dopiero pomyśleć o rodzie ludzkim? — Nie mówcie mi więc, że naród jakiś skazanym jest na wieczną niewolę, dlatego, iż przodkowie jego nie byli wolnymi; że nie może on 'przyjąć danej instytucji, dlatego, iż niema o niej wzmianki w starych archiwach, że dla podobnych przyczyn nie może nabyć żadnej nowej skłonności ducha, zmienić formy praw swoich, rządu, życia publicznego i religii.

To zupełnie tak, jakby powiedziano, że myśliwy nie może zostać pasterzem, pasterz rolnikiem, rolnik kupcem, co najoczywściej przeczyłoby doświadczeniu codziennemu.

Nawet ptak zmienia budowę swego gniazdka stosownie do okoliczności. Włókna roślinne i włosień porzuca dla nitek i bawełny. Skowronek zmienił w Ameryce swe zwyczaje; w ciągu trzech wieków zmienił on i materiały budowlane i samo budownictwo. Czyżby tylko sam człowiek nie mógł nie odmienić w materiałach tradycyi i w dziejowym swem gnieździe!

Sprowadzona do ram erudycyi historia zamknęła ludzkość w zakłętym kole rozpaczy, wiedza przyrodnicza skruszyła to koło i odkryła znów szerszy widok dla rodu ludzkiego.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Plutokracja i rząd bogatych.

Za czasów Monteskiusza nie było plutokratycznego rządu, dlatego też o nich nie wspomina. Skorzystajmy z tego, co inne czasy nam przekazały i określimy bliżej ów system.

Rząd taki jest w ciągłym niepokoju, gdyż nie jest nigdy pewnym dnia jutrzejszego, a obawa czyni go okrutnym a uspokaja go bezustanne ściąganie uzdy.

Jakżeby rząd podobny nie miał się obawiać? Posiada on temperament skąpca drżącego o swoje skarby. Wszędzie widzi złodziejów porywających mu zdo-  
bycz. Krzyczy bezustannie, że złodzieje zakradają się z tej lub owej strony, że godzą na jego własność, religię i rodzinę. Pragnąłby przyaresztować świat cały, więzi nawet samego siebie.

Rząd plutokratyczny nie opiera się na urodzeniu, na opinii, lub na ludzie, lecz jedynie na pieniądzu; ponieważ zaś pieniądz z natury swej jest rzeczą niestałą, więc rząd ów czuje, że grunt im się wszędzie z pod

nóg usuwa. Panowanie takie to rozpacz brudnego skąpca.

Napróżnobyście go zachęcali, aby się przywiązał do pierwotnej swej zasady. Jestto bowiem jedyny rząd pozbawiony wszelkich zasad. Żadna represya mu nie wystarcza i nie uspokaja go. Buduje coraz to nowe prawa, coraz to nowe ustanawia kary, niby skąpiec pomnażający rygle; wszystko to jednak czyni go bardziej tylko bezsilnym i nędznym.

Rząd monarchiczny lub arystokratyczny posiada przeszłość i wierzy w jutro. Plutokracya niema wcale przeszłości, podejrzywa terażniejszość, a złorzeczy przyszłości.

Monarchia i arystokracya miewają swój dzień radosnych reprezentacyi, w którym pragną stać się popularnemi. Plutokracya nie uśmiecha się do nikogo: milczy lub grozi. Urodzona z ludu, nienawidzi go; krzywdzi, mniemając, że się w ten sposób od niego odróżnia, jest ona surowa, zaślepiona, nieubłagana. Plutokracya umie wywołać nienawiść, lecz niezdolna budzić obawy.

Plutokracya z natury swej zwała wszelkie podatki na masy. Nędza ludzka nie budzi w niej nieupodobania, z niej bowiem ona żyje; dorobkowiec sądzi, że potęga jego wzrasta na ruinie wszystkich.

Charakter plutokracji różni się tem jeszcze od innych systematów rządowych, że jest bezwzględnie niezmiennym we wszystkich epokach historyi.

Arystokracje, demokracje, monarchie zmieniają się. Plutokracya tylko zawsze i wszędzie podobną jest do siebie. W starożytności i w czasach nowożytnych ma

ona tosamo oblicze, ten sam kształt, tosamo hasło: Więcej niż przed dwoma tysiącami lat maskowała się także fałszywym porządkiem moralnym.

Kto czytał historję reakcyi plutokracji w Tucydyesie, ten poznał dzieje tejże reakcyi we wszystkich czasach i narodach. Ponieważ tłem charakteru plutokracji jest najbardziej jałowa namiętność, mianowicie skąpstwo, dlatego też jestto typ najmniej zmiennego rządu; a jego dzieje powtarzają się w sposób jednostajny.

Przez jakież to zasłepienie chciano zaliczyć Tucydyesa do stronników oligarchii pienieźnej? Wszakże on przeciwnie, wydał jej formułę. On odsłonił jej ducha, jej nieprawość tak gruntownie, że swym następcom nic już prawie do wyrzeczenia nie pozostawił. On to pierwszy oskarżył (i z jaką ironią!) fałszywy porządek moralny<sup>1)</sup> którym się osłania cała plutokracja.

Tucydyes opisał cały biały teroryzm w Atenach. A obraz ten przypominający opis jego zarazy jest wizerunkiem wszystkich białych teroryzminów Francyi i całego świata.

Tucydyes zdemaskował spisek wszystkich starożytnych i nowożytnych reakcyonistów; ich zaciekłość w tępieniu starej wolności narodowej, szaloną ich nienawiść do ludu, z którego pochodzą; opisał zebrania publiczne gromadzone przez nich pod groźbą sztyletów;

---

<sup>1)</sup> Τὴν ὕπο τῶν Ἀθηναίων ὀπινίον εὐνομίαν. Tucyd., VII, 64.

porozumiewanie się z wojskami cudzoziemskimi; Koblencyą w Pireusie, złotą młodzież Dyrektoryatu, w ateńskiej radzie czterystu.

Tucydides wyświecił plany plutokracji, która wołała raczej wydać ojczyznę w ręce wroga, niż poddać się wspólnemu prawu i sprawiedliwości powszechnej. Tucydides wykazał, że fortyfikacje, jakie w Pireusie wzniesli plutokraci — dla wstrzymania niby napadu zewnętrznych nieprzyjaciół, zwrócone były w istocie przeciw własnemu ich krajowi. Wskazał on drzwiczki, furtki wałowe, tajemne wyjścia, które plutokracja przygotowała dla wroga, aby go wpuścić na rynek przeciw własnym współobywatelom.

Odwieczne sprzysiężenie się oligarchii zawsze jest jednakie, bez względu na imiona przywódców — Pizandra lub Pichegru; bez względu na teatr działania: w Grecyi lub Francyi, w Atenach lub Paryżu. Potrzebaby mieć styl Tucydidesa, aby na niewielu kartach pomieścić obraz tej mieszaniny zdrady i szaleństwa, rzekomego porządku moralnego i zbrodni związków ludzi *z acnych*<sup>1)</sup> i nożowych pchnięć na ateńskiej Agorze. Obraz ten, który zastosować można do wszystkich czasów, nakreślił Tucydides przed dwoma tysiącami lat. Odczytajcie go a ja od siebie dodam jedno słowo:

Ze wszystkich form rządów plutokratyczna forma trwa najkrócej. Ugruntowana na pieniądzech posia-

---

<sup>1)</sup> Τοῦτ' ἐστὶ κατὰ τὸν Τυκυδίδη, βιβλ. VIII, 48.

da ich niestałość. Dlatego też plutokraci Aten oraz reszty świata, zwątpiwszy o ustaleniu fortuny, poszukują wszędzie pana mogącego w ich imieniu zachować powagę, do utrzymania której sami nie czują się zdolni.

---



## ROZDZIAŁ VII.

### O prawie atawizmu w dziejach Francji. — Czy istnieją jeszcze dusze niewolnicze.

Najważniejszym i najbardziej, jak się zdaje, płodnym w skutki faktem w dziejach dawnej Francji jest ustanowienie komin. Zapelnia ono cały wiek XII i XIII. Zaledwo wielki ten przyplyw rosnąc, dosięgnął swych granic, odparła go siła przeciwna, monarchia. Królewskość w ciągu XV, XVI i XVII wieku dążyła do odzyskania łupów, jakie zdobył naród w epokach dawniejszych.

W początkach XVIII wieku stłumiono swobody nabyte przez rewolucje gminne. Należało je odzyskać przy pomocy rewolucji 89 r.

Uwydatnia się w ten sposób prawo, rządzące narodem francuzkim. W przeszłości zauważyć można pewien rytm, według którego porusza się rydwan dziejowej Francji. Zrazu postęp, zdobyty narodową energią; wkrótce postęp ten zostaje zwalczony, stłumiony stopniowo przez rząd; ztąd wywiązuje się konieczność nowej rewolucji dla odzyskania tego co odjęto—i posunięcia naprzód granicy swobody.

Wedle takiego to rytmu rozsnuwała się starożytna historia Francji. Zobaczmy, czy prawo to powtarza

się i w nowej Francji. Od roku 1789 do końca wieku, w ciągu lat kilku odzyskano to co monarchia zabrała i [posunięto się aż do granic widnokregu ludów nowoczesnych.

Od 1800 do 1830 r. spostrzegamy pozór wolności; wkrótce i to widmo nawet zostaje zniesione. W r. 1830 następuje rewolucya, w celu odzyskania strat poniesionych.

Nazajutrz nowe prawo zrazu podawane w wątpliwość i złudzenie, zostaje zwalonem.

1848 r. znów rewolucya, mająca na celu odzyskanie utraconych praw, czyli rzeczpospolitą. Wkrótce znów potem występuje reakcya, cofanie się, restauracya władzy bizantyńskiej wraz z drugim cesarstwem — słowem despotyzm.

4 września 1870 roku znów rewolucya — pochod postępowy w duchu prawa nowego — rzeczpospolita.

Po kilku miesiącach zjawia się reakcya, liga wszystkich reakcyi despotycznych, cezaryzm, średnie wieki, dawny porządek.

Z tego wszystkiego wnieść łatwo, że rytm dziejów dawnej Francji, zmierza do utrwalenia się w dziejach Francji nowej. Naród ten czyni jeden krok naprzód, poczem o krok jeden cofa się, aż dochodzi do równowagi przez ruch nieprzewidziany, przez akt mimowolny, czyli przez rewolucyą.

Jeśli prawdą jest, że wszelkie życie ma swój rytm, posiada go także i Francya; jestto rytm starodawny, tradycyjny, którego uniknąć nie może; pochod falowy, charakteryzujący raczej dzieciństwo, niż starość.

Akcya, reakcya, rewolucya. Jak tu wyjść z tego rytmu o trzech tempach, w którym każde ciągnie za sobą konieczne swe następstwo?

W miarę tego jak przeszłość się oddala, magnetyczna jego siła słabnie w stosunku do odległości. Przyjdzie czas, gdy zupełnie czuć nie będziemy owego magnesu przeszłości. Przeznaczeniem reakcyi zużyć się: pozostanie tylko akcyą bezustanna i cierpliwa, nie będzie już bowiem zwalczoną.

W Anglii, toryzm i wigizm, coraz bliższe siebie, zdradzają już zaledwo ostatni ruch państwowego wadła.

Proszę zauważyć, że we Francyi każda następna rewolucya natrafia na mniejsze przeszkody od poprzedniej. Fale z każdą epoką uderzają o siebie z mniejszą gwałtownością. Rewolucya 1830 r. mniejszy znalazła opór od rewolucyi 1789 r. Roku 1830 walka trwała trzy dni; 1848 jeden ranek. 4 września walki nie było wcale. Z tego wniesić łatwo, że jeśli nastąpią nowe rewolucye, znajdą one niezawodnie mniejszy od poprzednich opór, aż nareszcie ruch rewolucyjny, coraz to mniejsze znajdując przeczenie, rozplynie się równowadze społecznej, w wewnętrznym, prawidłowym, nieświadomym niemal biciu arteryi, służącym za znak życiowych pulsacyi w doskonałym organizmie. Zaprawdę, nie dorzecznem wydaje się obecnie sądzić, że tak wrogie stronnictwa pojednaćby się mogły i dojść do wzajemnej równowagi. Nigdy umysły ludzkie nie były tak oddalone jedne od drugich; nietylko że walczą ze sobą, ale przeczą sobie wzajemnie. Jakżeby się więc one mogły zlać w jedno. Czyż sam zresztą katolicyzm nie wystarczy do utrzymania ich w ciągłym rozdziale?

Tak, bezwątpienia, jeśli brać będziemy pod rozwagę jedynie namiętności bieżące. Lecz jeśli sięgniemy okiem po za chwilę obecną w przyszłość, czyż nie możemy

przypuszczać, że nawet wrogie stronnictwa, nie przestając się nienawidzić, będą kiedyś zmuszone do siebie się zbliżyć? Będą się jeszcze nienawidzić, lecz obaczą się z bliska.

Obecnie wszystko je dzieli; przyjdzie czas może, gdy mieć będą kilka wyrazów wspólnych w swym słowniku. Walka jeszcze nie ustanie; ale zwyczaj wzajemnego spotykania się przypomni im, że stanowią części jednego narodu.

Obecnie wrogie stronnictwa znajdują się na dwu przeciwnych krańcach spraw ludzkich. Kto wie, czy to, co spotykamy w naturze, nie urzeczywistni się w ich wzajemnym stosunku: to jest, czy wahadło, które się porusza od strony prawej ku lewej, od dawnego porządku ku nowemu, od starej Francyi ku nowej, nie będzie zmuszone, naprzekór wstrętom, zmniejszać stopniowo swe oscylacye i spocząć nareszcie we wspólnym środku ciężkości?

„Nie, powiadają, jest przepaść między nami“. Przepaść! Nie przesadzajmy zbyt: czas ją wypełni, a potomność przekroczy.

Niebrak jeszcze zapewne na świecie dusz niewolniczych. Wyemancypować je, byłoby daremnym wysiłkiem; one nie chcą być wolnemi. Dusze te znajdują się na wszystkich szczeblach społecznych: na dole w środku, a nadewszystko u góry.

— Powiadacie, że dusze owe niechcą wolności dla innych. Pojmują one jedynie konieczność służenia. Podobny stan umysłów wydałby się dziwnym i zupełnie niepojętym, gdybyśmy zapomnieli o dwunastu lub piętnastu wiekach dworackiego służalstwa, które je dziedziczną koleją z ojca na syna w kabłąk zginało, tak

że nie mogą się one już wyprostować i w pionowym utrzymać położeniu.

Dusze niskie płodzą najczęściej również niskie dusze, nic nad to pewniejszego. Jakże więc uniknąć owego piekielnego koła, aby nie wpaść w krańcową rozpacz?

Krzewienie się dusz niskich może być przerwane drogą małżeństw zawieranych między przedstawicielami różnych warstw społecznych. Lecz pierwsza ta odpowiedź wywołuje drugą, która przewodniczy całej tej księdze. Chodzi o to, czy można przerobić charakter? Sprobujmy zbadać tę kwestyę.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### O sztuce przetwarzania charakterów.

Ludzie tak wielkiego umysłu jak np. Labruyère pędzili życie na opisywaniu charakterów ludzkich, nieokreślając jednak nigdy co to właściwie jest charakter?

Co do mnie ograniczę się tu na zaznaczeniu, że charakter jestto grunt naturalny odziedziczony przez jednostkę po przodkach.

Każdy człowiek ma swój odrębny charakter wyróżniający go od swego gatunku w ogóle, podobnie jak gatunek różni się od rodzaju.

Czy mniemacie, że gatunek nie może się zmienić w niczem. W takim razie sądzić by tak wypadało i o jednostce: z czego znów wynika, że wszelki charakter jest niezmienny, tak iż nareszcie dojdziemy do wniosku, że daremnym byłoby trudem chcieć wydoskonalic to co się nam dostało przy urodzeniu.

Jeżeli zaś przypuszczacie przeciwnie, że gatunek może się rozłożyć na pewne odmiany, w takim razie jest ważny powód do sądzenia, że charakter również ulega różnym modyfikacyom i zmianom?

Chcieć wprost odwrócić istotę charakteru jestto chcieć walczyć daremnie z naturą; nic nad to prawdziwszego. Niechby się kto pokusił zmienić dąb na drzewo

oliwne, lub drzewo figowe na sosnę; byłoby to samo co chcieć wyjść z granic gatunku. Przyjrzyjmy się jednak ludziom zblizka, a przekonamy się, że każdy charakter ludzki ma swoje odmiany, podobnie jak je ma każdy gatunek. Tu właśnie spostrzegamy nowe światło rozjaśniające nam zasadnicze kwestye narodowego i prywatnego wychowania.

Rousseau przedstawił metodę ogólną, którą zastosował do wszystkich ludzi, to jest do człowieka abstrakcyjnego. Byłoby zaiste rzeczą ciekawą, gdyby był autor Emila okazał jaki system odpowiadający każdemu z osobna charakterowi; gdyż niemożliwem jest stosować jedną i tę samą metodę zarówno do wszystkich.

Pozostaje więc ustanowić klasyfikacyę odmian każdego charakteru, mogących się jedna na drugą przekształcać. Gatunek gwałtownych zawarłby w sobie charakter popędliwy, energiczny, rezolutny, bohaterski; gatunek cierpliwych — charakter myślący, zręczny, przezorny. Lekkomysłność znów graniczy z okrucieństwem.

Oto co spostrzegamy na wielkiej drabinie charakterowych odcieni wśród każdego narodu. Przyglądając się narodowi danemu w różnych momentach, wydaje nam się, iż mamy do czynienia z różnemi narodami. Czyż to dowodzi, że naród zmienił swą pierwotną postać? Bynajmniej, przeszedł on tylko do innej odmiany zasadniczego swego charakteru.

Hiszpanie byli narodem awanturnicznym i beczynnym skąpym i wspaniałym, kochającym i okrutnym, a nadewszystko fanatycznym. Dlaczego? Bo przeszli przez wszystkie odmiany zasadniczego swego charakteru, to jest namiętności. Byli okrutni, gdy szło o re-

ligię, przenieśli bowiem zazdrość miłości ludzkiej do zakresu miłości bożej.

Przyglądając się cierpliwości i wytrwałości niemców mówiliście, że marzą. Dziś, gdy stali się zatwardziali, mściwi, uzbrojeni w młot Thora, gdy nasycają z upodobaniem swą zemstę, zapytajcie się: jestże to ten sam naród?

Włosi przeszli przez rozmaite odmiany talentów, doświadczenia, nigdy nie zbici z tropu, zawsze byli panami siebie nawet w ogniu poezyi i sztuki.

Najbardziej wielopostaciowymi byli francuzi: zawsze zmienni i zawsze ci sami: od klanu galskiego do dzisiejszej koteryi — między wolnością a niewolnictwem, niezdolni do długotrwałej nienawiści, gdyż nigdy nie przypuszczali, że można ich samych nienawidzieć; chcieli sławy i gwałtowni aż do oczerniania samych siebie; chwalczy cudzoziemczyzny; najwięksi nowatorowie pod słońcem i najwięksi rutyniści, entuzyści i sceptycy. Co tu ludów w tym jednym narodzie, często nawet w granicach jednego i tego samego czasu!

Też same przemiany, jakie zachodzą w narodach, spełniać się mogą i w jednostkach; cała nauka życia składa się z tych dwu rodzajów doświadczenia.

Każdy człowiek, wraz z właściwą sobie naturą, otrzymał pewną skłonność do odmian, które się na dany charakter składają! Przywiążcie się do najlepszej z nich, a zrobicie z niej rys przerażający. / 10

Nie zmieniając bynajmniej gatunku, można dzikie drzewo przeistoczyć w dobre drzewo owocowe. Czemużby charakter posępny nie miał się stać poważnym, umysł ruchliwy — rozległym?



Z tego wyprowadzam rzetelne prawidło wykonania. Polega ono na tem, aby z charakteru wysnuć najlepszą jego odmianę.

Łatwo dobre wychowanie od złego odróżnić. Jest system wychowawczy, który nie uwzględniając różnic charakterów, chełpi się tem, iż wszystkie zdoła skruszyć. Potrafi więc zniszczyć wolę! Przekonalibyśmy się, czy jestto właściwe rozwiązanie jakiego szukamy.

W ubiegłym stuleciu ludzie wychowani przez jezuitów, występowali później z największą zaciętością przeciw jezuitom. Za naszych czasów przeciwnie: ludzie zgiąwszy się raz pod tą dyscypliną, nie podnoszą już głowy. Czyżby się sprężyna zepsuła?

Niema wątpliwości że charaktery się kruszą. W takim razie woła schodzi do znaczenia zachcianki. Każdy czyn śmiały wyda się wtedy szaleństwem. W chwilach nieprzewidzianych budzi się jawny temperament, lecz tylko przypadkiem i niespodzianie; poczem znów siła woli przygasa. Wszelki, w celu odrodzenia wysiłek, wydaje się nienawistnym. Śród tej ruiny dawnego człowieka, intelligencya może się jeszcze ostać, pod warunkiem jednak iż wnioskować tylko będzie za bezwładnością, nadającą miano roztropności i umiarkowania.

Przeróbcie charaktery!... Ale czy można naprawiać to, co zostało w człowieku złamanem? Dlaczegożby nie? Wszak umiecie doskonale hartować żelazo, z którego robią stal wytrwałą pośród zgiełku wojennego, śród starcia zbroi; gdy się stal zetrze, to i wtedy jeszcze można ją zahartować. Czemużby

więc nie było sztuki hartowania ludzi naszego wieku. Wszak widzieliśmy jak u Niemców i Włochów od lat pięćdziesięciu hartuje się nanowo jednostka w poczuciu swej rasy.

A więc sztuka podobna istnieje rzeczywiście. Skoro można w proch zetrzeć charaktery, to można je także i przetopić. Lecz ze wszystkich sztuk, przyznać należy, że ta ostatnia jest najtrudniejszą. Przyczynę zaś tego znacie równie dobrze jak ja. Wiadomo, że łatwiej jest kierować maszyną niż ludźmi.

Powiadacie, że żaden człowiek nie może się rozstać ze swym charakterem. Zgoda. Ale gdy dodajecie, że każdy charakter jest niewzruszony podobnie jak każdy przedmiot w naturze, to przypuszczacie, że wszystko jest niezmiennie, i mylicie się też najzupełniej.

Co do mnie widziałem tylu gwałtownych, którzy się umiarkowali, tylu umiarkowanych, którzy rozszaleli, tylu zuchwałych, którzy się stali trwoźnymi, tylu pysznych, którzy spokornieli, tylu pokornych, rozzuchwalonych następnie, że niepodobna mi wierzyć w niezmiennosć charakteru, jeśli tylko istotna jego podstawa nie była zerem.

Nie sądźcie, że charakter człowieka jest owym niepodzielnym geometrycznym punktem. Nie jest to również matematyczna figura, trójkąt lub kwadrat zawsze podobny do siebie. Jestto raczej figura żyjąca; jestto geometrya wyższa, żywa, mająca na każde zagadnienie kilka rozwiązań. Każdy człowiek zamyka w sobie wielu ludzi; niechaj wybierze z nich tego, którym być chce — na tem polega jego wolność.

Charakter nabyty, nie jestto charakter wytworzony zapomocą sztucznych, maksym. Jestto siła spoczywająca w was samych, na samem dnie waszej istoty, często maskowanej temperamentem lub niskimi skłonnościami. To też nienależy zatrzymywać się przy tej pierwszej pokrywie: sięgnijcie głębiej, a odkryjecie siebie samych.

O nie, odpowiecie mi na to. Rozum, modły, błagania, przykład, doświadczenie w niczem nie zmienia mego sposobu życia i działania. Jestem tem czem jestem. Nie mogę i niechęć być czem innym. Charakter mój jest moją koniecznością.

— A więc zwierzęta, rośliny mogą przejść z pnia prostszego do lepszego, podnieść się do doskonalszej formy, niewychodząc z granic swego gatunku. Można dzikie ziele zamienić w czystą pszenicę, a dzikie wino w uprawne. Czyż więc wy tylko nie moglibyście się udoskonalić? Wy jedynie mielibyście pozostać przy pierwotnej surowej postaci w jakiej ujrzełiście się przypadkiem i mówić: takiin jest mój charakter, nie moge się z nim rozstać!

Gdybyście kiedykolwiek napotkali dziką pszenicę (*triticum*) nigdybyście pewno nie przypuszczali, że można z niej mieć zboże. Rzeklibyście wówczas: ziele to jest jałowe, przydać się ono może jedynie na paszę dla wołów i koni; taki jest jego charakter, niepróbójmy go nawet zmienić. Toż samo powiedzielibyście o dzikim winie. Jałowa to roslina, wykorzenie ją trzeba, gdy nic z niej zrobić nie można. Tę właśnie metodę jałowości stosujecie do ludzkiego charakteru. Nie chcecie sięgnąć

głębiej w samych sobie po za pierwszą powłokę, aby wydobyć ztamtąd czystą pszenicę.

Czynicie więc z człowieka istotę najbardziej niewolniczą. Stwarzacie sobie nieistniejącą fatalność. Błędna to historia naturalna, błędna mora!ność i błędna filozofia.

Poznajmy raz na zawsze, powiedział pewien Niemiec<sup>1)</sup>, nasze siły i nasze słabości i zgodźmy się na nie.

Nie, nie zrzeknę się przywileju prawej woli, nie porzestaną na tem, aby być istotą ułamkową, której brak jeszcze najlepszej cząstki.

To czem byłem, nie jest bynajmniej tego miarą czem być mogę, codziennie bowiem nabywam sił, których przedtem nie miałem. Nie spocznię gnuśnie na tem, com zdzia!ał. Pracować będę nad rozwojem pierwiastku nieskończoności; który jest we mnie, jak zarówno w całej naturze.

Powiadacie, że najlepszy środek prowadzący do oszczędzenia sobie zawodów, jest nie ryzykować nic w walce życiowej. Co do mnie, czuję przeciwnie, że niezadowolenie z samego siebie zaczę!oby się z chwilą, w którejbym przesta! pomnażać przesz!e doświadczenia nowemi. To co nazywacie roztropnością, ja nazywam kwietyzmem, bezczynnością, ucieczką z placu życia. Owad przez ciąg całego swego życia uzupełnia swą istotę. Nieprzestając być owadem, wysnuwa z sie-

---

<sup>1)</sup> Schoppenhauer, wyd. 4.

bie coraz to nową odmianę charakterów. Nabywa nóg, oczu, skrzydełek, których przedtem nie posiadał. Tka on przędzę, wysnuwając ze swego wnętrza długą nić nieskończoną. Nie chcę więc śród współzawodnictwa istot, stanąć niżej owadu.

---

# KSIEGA CZWARTA.

## Duch wieku objawiający się w historii.

---

### ROZDZIAŁ I.

#### Czem się różnimy od ludzi zeszłego wieku? — Upadek wiary w lud pierwotny.

Jednym z punktów, który uważamy za najbardziej odróżniający nas od ludzi ośmnastego wieku jest pojęcie, jakie wyrobiliśmy sobie o ludach dzikich. Filozofowie ubiegłego wieku, znając ludy te jedynie z niedokładnych opowieści, określali życie ich jako pełne dziewiczości i szczęśliwości. Bardzo niewiele więc brakowało, aby przypuścić, że w zaraniu człowieczego rodu lud był wzorowy, oświetlony wszvstkiemi jasnościami pierwotnego objawienia. Promienie tej błogosławionej społeczności miały się jakoby rozproszyć stopniowo; świat nowoczesny przedstawiałby w takim razie fazę wyrodzenia i upadku po świetlanej epoce, na którą złożyła się legenda o Edenie i złoty wiek poganizmu.

Widzenia te upadły nareszcie. Ukazał się nam dziki już nie w obłoku tajemniczym, ale w przedłużonym obcowaniu pośród naszych urządzeń europejskich. Cóż więc wtedy zobaczono? Człowieka rozpustnego <sup>1)</sup>, brak rodziny, miłości, małżeństwo, jako jedno z postaci niewolnictwa i religię dziecięcą; słowem ród ludzki taki, jakim mógł być w pierwszych fazach swego życia, w epoce kamienia.

Upadła tedy wiara w jakiś lud pierwotny, któryby otrzymał dary jedyne, któryby prawem starszeństwa uzyskał rozum z nieba płynący, język prawie boski, nadprzyrodzone światło, przymierze święte, wiedzę nieskończoną i czerpaną z niebiańskiego źródła.

Na miejscu tych przywidzeń, ukazała się, rzeczywistość, człowiek nagi, mający sobie wszystko zdobyć własną siłą. Uwolniliśmy się od sennych widziadeł. Wszła na widnokrąg prawda — przyjmijmy ją. Więcej ona warta od fałszywych blasków, przez które sami filozofowie połapali się dobrowolnie. Radosny to objaw naszego stulecia, widzieć jak spadają zasłony, mieć śmiałość oglądać prawdę bez masek, rozdzierać kłamstwo; oto rozkosze dla których żyć ~~nie~~ warto.

W czasie młodości mojej, przeważna liczba uczonych żyła jeszcze na owym gruncie złudzeń, na rozumie ludu pierwotnego <sup>2)</sup>. Myśl ich pogrążoną była w ciemności. Widziałem jak rozpraszały się te wyobrażenia pod wpływem jasności ducha wieku. Pożegnajmy więc wi-

---

1) John Lubbock, *Początki cywilizacji*.

2) Między innymi Schelling, Szlegelowie, Kreuzer, Balanche i bardzo wielu innych.

działła, których nigdy uchwycić nie mogłem i od których sama poezja się odwraca. Pokój tym ceniom. Zdążajmy naprzód. *Guarda e passa.*

Wiemy obecnie, że religia dzikich polega głównie na adoracji złych duchów, bo pocóżby mieli czcić duchy dobre? Wszak tych się obawiać nie trzeba; dlatego też zaniedbują je i zapominają o nich. Natomiast wedle ich przekonania należy modlić się i czcić tylko istoty wstrętne, jadowite i drapieżne. Główną przyczyną tego dla której dzicy tworzą sobie złych bogów jest, że w walce o byt widzą zwycięstwo najgorszego nad dobrem. Przed zym tedy człowiekiem lub zwierzęciem padać trzeba na kolana.

Religia ta jest nietylko religią dzikich: pozostałości jej napotykałem często i u ludów cywilizowanych.

Rzuca ona przedewszystkiem światło na najodleglejszą przeszłość. Nim człowiek zaopatrzył się w broń, cóż mógł począć ze zwierzętami, które samowładnie panowały na ziemi? Prawie nic. Aby rozbroić zwierzęta czynił człowiek to samo, co dziś czynią dzicy wobec mocy szkodliwych. Oto utworzył sobie drapieżne bogi o łbach wilczych, niedźwiedzich, lwich, gorylich. Sądził, że podobnem pochlebstwem ułaskawi zwierzęta. Niemogąc zwyciężyć, nie śmiejąc napadać — czcił je.

Plemiona afrykańskie wnoszą dziś świątynie węzom; sądzą one, że w ten sposób pozyskają sobie łaski gadzin. Taką była zasada czci religijnej poświęconych zwierząt w starożytności.

Krokodyle karmione przez kapłanów w Memfis i w Tebach były poręczycielami sojuszu rodu krokodylowego z ludem egipskim. Bogowie o lwich paszczę-



kach gwarantowały znów przyjaźń lwiego gatunku. Wobec tych bożyszcz dochodzi nas woń owych czasów, gdy wielkie drapieżne zwierzęta były panami świata. Człowiek uciekał lub się korzył, a jaskinia niedźwiedzia była pierwszą jego świątynią.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Nowe objaśnienia religii starożytnych za pomocą nowych metod historyi naturalnej.

Nie sądźcie bynajmniej, że religie starożytne są jedynie wytworem igraszek językowych. Nie wszyscy bogowie są poetycznymi przenośniami. Wiele nowoczesnych nauk utorowało nam w tym względzie zupełnie nieznanne drogi; odnawia się też, jak sądzę, w pewnej części historia wierzeń greckich.

Dopóki nie odniesiemy formacji mitologii do pierwotnego stanu ducha ludzkiego, dopóty nie będziemy mieli krytyki rodowodu religii starożytnych. Postaram się wykazać, że jest niemożliwem nieuznawać odtąd pewnego wpływu przewrotów geologicznych na formacje starożytnych kultów i bohaterów legendowych. Oto przykłady.

W Partenonie ateńskim wszędzie widzimy walkę Minerwy z Neptunem. I cóż ona oznacza? Dlaczego Pallas-Atene odnosi zwycięstwo nad bogiem mórz? Żadne wam objaśnienie w tym względzie niewystarczy, dopóki nie zerwiecie z pospolitemi metodami badania. Najcuźniejsi nawet nie wiedzą, co ma znaczyć „stary ta-

jemniczy spór Minierwy z Neptunem o posiadanie ziemi attyckiej.“

Czem mogą być owe prawa rozszczone przez syna Neptunowego do ojcowskich własności? Dziwnym procesem, z którego wypływają wojny i tragedye — zagadką bez wyjścia.

W tych ciemnościach, śród których krytyka się gubi radzą się nowszych odkryć geologicznych — i wszystko się wyjaśnia. Przekonano się w istocie rozkopując ziemię atycką, że powstała ona z ułożonych naprzemian warstw morskich i warstw wody słodkiej, które w znacznych przerwach następowały po sobie kolejno <sup>1)</sup>. Z tego widać, iż morze i ziemia walczyły z sobą o miejsce, które kiedyś miało stać się ateńskim terytoryum. Każda z epok tej walki pozostawiła ślady w uścielaniu się pokładów morskich i lądowych skamieniałości. Morze uderzało falami swemi nietylko w jeden punkt wybrzeża; zalewało ono wielokrotnie świętą ziemię, to posuwając, to cofając się, nim ustąpiło łupu współzawodniczącej z niem sile.

Przetłómaczmy te dzieje epoki trzeciorzędowej na język mitologiczny, a będziemy mieć przed sobą walkę Pallady-Ateny z Neptunem-Pozejdonem, czyli ziemię jużto sterczącą zwycięzko, już porwaną i zalaną przez fale; konglomeraty, wyłomy, kostny mół czerwony, formacje mioceniczne ziemi, to znów pokrywane przez pokłady morskich ostryg i pliocenicznych muszli; aż na koniec granice zostały nakreślone. Atyka występuje

---

<sup>1)</sup> Albert Gaudry, „Zwierzęta kopalne i Geologia Atyki“  
2 vol. 1867.

z oceanu, pokój zawarty zostaje między współzawodniczącymi bóstwami, a Partenon poświęca ich sojusz. Obok świątyni Minerwy wzniesiono świątynię Neptuna i uspokojone bóstwa podają sobie ręce po nad horyzontem; między nimi zaś wzniesiono wspólny ołtarz poświęcony zapomnieniu. Tak więc Partenon ów cud peryklesowego stulecia, istniał jako przedstawiciel jednej z pamiątek trzeciorzędowej epoki. Fidyasz mimowiednie uwieńczył erę geologiczną.

Zachodzi pytanie, jakim sposobem pamięć owych rewolucji globu, mimo tak niezmiernie odległego czasu przeniosła się do rasy greckiej pod postacią owych dwu bóstw morskiego i lądowego? Czy istniał już człowiek podczas formacji atyckiego terytorium? Widocznie istniał. Byłże on świadkiem owej epoki gdy morze i ziemia walczyły ze sobą o ów kawał ziemi, który miał się stać niegdyś światem ateńskim? Kwestya ta również nie zdaje się wątpliwą. Musiał więc człowiek własnymi oczami widzieć i zauważyć ostatnie najścia lądu na świat morski. W przeciwnym bowiem razie, z kądzęby mu myśl przyszła zrobić z pojęcia tego legendę i uczynić je zasadniczym żywiołem swego kultu?

Do jakiejże jednak epoki odnieść wypada owe morskie i lądowe formacje? Zauważyłem już, że w tym względzie zwierzęta kopalne nie zostawiają żadnej wątpliwości. Formacje owe odnieść należy do epoki trzeciorzędowej. Nie jestże to dowodem najjaśniejszym, że człowiek żył już podówczas, a przynajmniej ku końcowi tej geologicznej epoki, skoro uwiecznił pamięć owej epoki w religii i w świątyniach Akropolu? Zmuszony był człowiek chwycić się najpodnioslejszej swej sztuki, aby utrwalić najodleglejsze wspomnienia. Tak więc

Minerwa i Neptun sięgają początkiem swym epoki trzeciorzędowej miocenicznej fauny.

Oto jeden moment w którym greckie religie pogrążają się głęboko w geologicznych przewrotach, a zapetrzając się z tego punktu, jakież nowe widoki otwierają się na dzieje narodowych religii. Stajemy tu wobec świata trzeciorzędowego i to nie już na mocy odłamków siekiery, rękojeści, krzemiennych pługów, lub kościanej gracy, ale przez nieśmiertelne dowody istności bogów. Pallas-Atenę uzbrojono w ową lincę, którą widziano z przylądka Sunium, panującą nad horyzontem, jak pokrywa tarczą swoją terytoryum miocenicznej epoki, zdobytej na Neptunie w czasach geologicznych. Mit ów dowodzi, że człowiek był świadkiem tych rewolucyi, skoro przyjmuje je wobec swych bogów.

Dokąd to zdążają owe procesye w czasie wielkich świąt Pallady, owe fidyaszowe dziewice, noszące koszyki pełne ziemskich owoców? Oto zdążają one sławić pamięć formacyi ziemi atyckiej, znosząc Minerwie w ofierze pierwszy owoc — ona je bowiem na świat wydała. Nie tylko opiekuje się Minerwa ziemią, ale wyciągnęła ją z przepaści.

Dwadzieścia figur przedstawia w płaskorzeźbie walkę Minerwy — w prawej ręce ukazuje ona światu skrzydlate zwycięstwo.

Tak więc starożytne religie zawierają w swej osnowie prehistoczną pamięć i odgłosy geologicznych epok aż do końca epoki pliocenicznej. To co dzisiejsi geologowie nazywają podnoszeniem się i zapadaniem ziemi, to religie nazywały walką Neptuna z Junoną o myceńskie terytoryum, z Palladą o terytoryum trezeńskie, a z Apolinem o korynckie.

W ciągu nieokreślonej odległości czasu człowiek przypatrywał się jak ziemia naprzemian podnosi się i opada; był świadkiem pojawienia się płaszczyn napół jeszcze pogrążonych w wodzie; cofał się człowiek przed najściem fal — wracał gdy fale się cofały. Wszystko to wypisane zostało niestartem i zgłoskami podczas świętych walk boga morskiego z lądową boginią, która pierwsza zasadziła oliwne drzewko pokoju.

Zachodzi pytanie przez jakie przemiany przechodziły owe bóstwa zanim zjawiły się w mózgu ludzkim? Zapewne zmieniały one kształty swoje tak często jak zwierzęta w świecie kopalnym. Pallas trzeciorzędowa o swojej głowie różniła się zapewne od klasycznej Pallady Homera podobnie jak hiparyon trzeciorzędowej o palcowatych nogach różnił się od olimpijskiego bieguna.

Poprzestaję tym razem na wykazaniu, że nieurobiona jeszcze idea owego bóstwa istniała w duchu przedhistorycznego człowieka; był to embryon tego, czem się bóstwo to stać miało następnie: to jest najwyższym ideałem Fidyasza i Peryklesa.

Z tego wszystkiego jedno wydaje mi się pewnem. Człowiek trzecio- i czwartorzędowy myślał rzeczywiście, że istniało bóstwo, które popychało naprzód fale i bóstwo inne, które je odtrącało i podnosiło ziemię. Nie należy dopatrywać się w tem żadnej metafory ani igraszki słów. Z jednej strony mamy berło Neptuna, z drugiej włócznię Minerwy. Oto wojna święta, która wieki toczyła się wobec człowieka, dla którego wizya owa była rzeczywistością.

Tak więc początków i przyczyn wielu misteryj greckich, podobnie jak innych ludów doszukiwać się

należy w czasach, gdy powstała geologia, która często objaśniała rzeczy niewyjaśnione. Myśl ta winna być wzięta pod uwagę przez nową naukę religii.

Mówilem dotychczas o bogach — przejdźmy obecnie do bohaterów.

### ROZDZIAŁ III.

#### Dzieje czwartorzędowego człowieka. — Dzieje legendowych potworów. — Chronologia w dziejach religii.

Za naszych czasów odkryto kości przeddziejowego człowieka. Lecz gdzież się podziały jego dzieje i wrażenia? Powiadacie, że byłoby rzeczą niemożliwą odnaleźć z nich choćby ślady. Przeciwnie, dzieje te istnieją i to w świetnych zarysach, należy tylko umieć je odczytać. Istnieją zaś one w historii legendowych bohaterów, w dziejach Herkulesów, Tezeuszów i Perseuszów.

Przyjrzyjcie się, a zobaczycie, że dziejom ludzkim przybędzie odrazu wiele epok, po którychby można dojść do pierwszych świtów natury ludzkiej.

Świat starożytny nie czekał Cuviera, aby wedle jego sposobu objaśnić kopalne kości wielkich ssących zwierząt trzeciorzędowej epoki, które tu i owdzie ukazywały się na powierzchni ziemi. W żadnym może kraju przypadek nie dostarczył tyle co w Grecyi<sup>1)</sup> sposobności do tego rodzaju odkryć. Małe rzeczki greckie jak np. Pikermi, wysychały w lesie, odsłaniając ludz-

---

<sup>1)</sup> Patrz Alberta Gaudry *Zwierzęta kopalne i geologią atycką Atlas.*



kiemu oku olbrzymie kości kopalne deinsterów i mastodontów, pochodzących z czasów prehistorycznych.

Nawet bywały w Grecji miejsca, gdzie kości owe wystawiano na widok publiczny; zaś starożytni już zauważyli o ile większemi były rozmiary tych szczątków od ludzkich kości. Był to pierwszy przedmiot podziwu i czci ludzkiej.

Zapytacie może do jakich istot należały te koście? Na zapytanie to odpowiedzieć może wyobraźnia grecka, tworząca legendy o bohaterach o węzowych stopach, legendy o Tytanach, Minotaurach, Cyklopach i Lestrygonach; są to ostatnie echa organicznego świata trzeciorzędowej epoki greckiego geniuszu. Znajdźcie tu fragment z dziejów epoki kamiennej.

Każdy z owych kopalnych szczątków, który obecnie stanowi materiał naukowy, stanowił niegdyś legendowy epizod. W ten też sposób sformowało się owo obszerne państwo potworów i chimier będących częścią składową greckich religii i kryjących po za swą fikcyjną zasłoną ślady niezatartej zapomnianej przeszłości.

Dzisiejsi włościanie francuzcy uważają zwoje amonitu za wielkiego tajemniczego węża zwanego Żywą (*la Vive*), który miał na głowie dyament a ukrywał się w fosach zamku. W Grecji każdy amonit skręcony dokoła siebie, stawał się smokiem, stróżem skarbu.

Czemże to były owe koście palettera lub owego *elephas primigenius*, które odkrył joński rolnik pod pługiem swoim? Były to, powiada Pauzaniaż, koście giganta Geryona strzegącego stada Słońca, lub też koście Hillusa syna Ziemi. Gdy odnaleziono kręgi mastadonta nad brzegami Eubei, zasięgano rad Pytyi delfickiej. Pytya w kręgach tych rozpoznała szczątki Pelopsa, sy-

na Tantalą. Idąc tym śladem, spostrzedz można występujących na świat półbogów.

Nieprawdopodobna płodność potworów fermentujących na dnie religii greckich, nasuwa mniemanie, iż musiała tam być w początkach potworna fauna. A w kwestyi tej najnowsze odkrycia i wykopaliska w miocenicznym pokładach ziemi usuwają wszelką wątpliwość. Rzeczywistość w tym względzie conajmniej równą była zmyśleniu. Należałoby, aby kto podjął naukowo dzieje potworów legendowych, a możnaby zaiste w dziejach tych odnaleźć historią idealną człowieka z trzecio- i czwartorzędowej epoki.

W innych krajach Europy milczą dzieje o człowieku z przedhistorycznej epoki — natomiast w Grecyi dzieje te były głośnie. Każda miejscowość ma swego potwora olbrzyma lub tytana; były to płody wyobraźni a przedewszystkiem płody strachu pierwszych naszych przodków. Studjując Greków z tego stanowiska a usłyszycie jak w ciągu tych długich wieków, które uważano jako próżne i milczące, ozwały się nagle liczne głosy z przedpotopowego świata. Trytony ludzkim głosem rozedmą swoje policzki, głosząc dzieje bezimiennych czasów, poprzedzających epokę kamienną. Wnet wygastę jamy wielkich zaginionych ssących zwierząt poczęłyby świstać, wrzeszczyć, mrużyć i ryczeć w głębi greckich tradycji. Tworzą one bowiem najdawniejszy pokład tych tradycji.

Oto w jaki sposób rzeczywistość zmieszawszy się ze zmyśleniem płodzi potwory. Wielkie zwierzęta z epoki trzeciorzędowej jak słonie, nosorożce, girafy, żbiki nie mogłyby żyć w Afryce ani w Grecyi

gdyby nie pozostawały w komunikacji z lądem, który je łączył z Azyą i Afryką; gdyż goła naga ziemia ateńska nie mogłaby karcić gigantycznych przeżuwaczy i gruboskórnych zwierząt Pentilikonu.

Obecność tych zwierząt dowodzi, że ląd stały rozprzestrzeniał się za nimi aż do azyatyckich obszarów, z kąd też pochodziły owe zwierzęta, które giną z chwilą, gdy komunikacja zostaje przerwana, wskutek wylewu Archipelagu. Jakim zaś sposobem olbrzymi diroter lub mastadont mógłby znaleźć pożywienie na stromych urwiskach Hymetu, gdzie pokarm znaleźć mogą tylko pszczoły i świerszcze? To też olbrzymia ta fauna znikła, lecz zanim to nastąpiło, człowiek mógł przyrzuć się ostatnim ich potomkom, czyto zdążając ich śladem do Grecyi, czy też przenosząc z Azyi dawne wspomnienia fauny podzwrotnikowej.

Nie tylko koście kopalne pozostawiły ślad swój w legendach religijnych; zauważyć tu można więcej życia realnego. Niema wątpliwości, że człowiek widział własnymi oczami gatunki zwierzęce, dziś już nie istniejące. Żył on współcześnie z niektórymi uorganizowanymi kolosami pierwotnych czasów, przechodząc od stulecia do stulecia wspomnienie strachu, który się wznosił z postępem czasu. Ponieważ przestraszyć w miarę odległości przyczyniał się do tego, aby wszystko uczynić potwornem i bezkształtnem, nie należy się dziwić, że olbrzymie potwory epoki trzeciorzędowej stały się wskutek rosnącej tradycyi potworniejszemi niż były w rzeczywistości.

Człowiek, który napotkał pierwszego przodka psa, amfijona, sądził iż pies ten miał trzy głowy; zrobił też z niego Cerbera, psa piekieł o spiżowym głó-

sie. Człowiek też przypiął skrzydła hiparyonom, a nogami węzów zaopatrzył wielkie zwierzęta przeżuujące gruboskórne, ukryte wśród wysokiej pierwotnej roślinności. Oto jest geneza potworów, które zrodził przestrich. Oto np. małpy pentylikańskie można rozpoznać w satyrach, nosorożców w jednorożcach, antylopy w kozicy Amaltei, syrenoidy w syrenach, *felis spaelus* w lwie nemejskim, mastodonta w minotaurze i całą faunę z epoki miocenicznej w Gorgonach, Cyklopach, Lostrygonach i Boreaszu o stopach gadzinowych, błędzącego po ostatnich krańcach greckiego świata.

Możeby kto pragnął odnaleźć świadka żyjącego, nieśmiertelnego wieków przedhistorycznych? Otóż świadek taki istnieje. Należy tylko umieć go odszukać. Jest nim Herkules idejski, tyryjski, teбайдzki i asyryjski; znajduje się on bowiem wszędzie; w nim właśnie ukazuje się człowiek przedhistoryczny, którego szukamy.

Zdarłszy z Herkulesa kostjum, którym go okryły epoki następne, spostrzeżemy jego dwanaście prac, jego walki z lwem nemejskim, z dzikiem erymantejskim, z hydrą lernejską, z psem piekielnym, z minotaurom maratońskim, z Geryonem o trzech głowach. I cóż nareszcie oznacza ta walka zażarta? Na zapytanie to, żaden wniosek wyciągnięty z symbolów nie odpowiada memu przekonaniu. Zagadka pozostaje zagadką.

Gdy jednak do kwestyi tej zastosuję dane zdobyte niedawno przez nauki przyrodzone, wówczas zagadka sama się przez się rozwiąże.

Cóż więc mają znaczyć owe codzienne walki z potworami? Jestto streszczenie dziejów przedhisto-

rycznych, gdy człowiek pomagał naturze, aby się uwolnić mogła od wszelkich drapieżnych zwierząt ssących bądź trzecio- bądź czwartorzędowej epoki.

Przyjrzyjmy się bohaterom. Oto wychodzi on ze swej kawerny; głowa jego pokryta skórą lwiej paszczeni, w dłoni dzierży maczugę (nie zdołał bowiem jeszcze do tej chwili wynaleźć łuku i strzały). Człowiek to zwracał się do wielkich kotów żyjących w jaskiniach, do wielkich niedźwiedzi, do nosorożców dwurożnych, do zwierząt ryjowatych, do dinoterów i mastodontów, które mu nie dozwalały wyjść z jego grotu.

Przez długi czas bohater uciekał przed nimi; aż narreszcie poraz pierwszy ośmielił się na nie uderzyć. Przygniata też je swemi ramionami, rozbija swą maczugą. Kolano swe oparł na jeleniu w gigantycznych lasach. Walczył on jako król epoki trzeciorzędowej z macherodonem pentylikońskim; z różnemi gatunkami psów mających kształty sztyletowych ostrzy. Tak więc człowiek uwalnia świat od tych potworów. Podbiwszy je, czyni on ziemię mieszkalną — osusza jej bagna, usuwa gadziny, pali szarańczę, asenizuje brzegi; i oto co nazwał oczyszczaniem stajni Augiasza. Jestto epoka uniwersalna, którą zauważyć można wszędzie, odbijającą się w każdym czynie przedhistorycznego bohatera. Nie chodzi tu już o samowolne przypuszczenia. Jestto obraz pierwszej fazy rodu ludzkiego wobec natury wrogiej i jeszcze nieposkromionej.

Szukaliśmy tego, który pierwszy przyniósł ludziom siekiery kamienne. I odnaleźliśmy go właśnie. Oto cała epoka zagubiona w historii, odnajduje się pełna rzeczywistości. Oto pierwotna faza ludzkiego ducha

czasów umieściłby bez krytyki, w jednej epoce, nawodne mieszkania, familie galijskie, glosatorów średniowiecznych, klasyków Ludwika XIV, encyklopedystów XVII wieku, metafizyków i pozytywistów wieku bieżącego? Z tego wszystkiego utworzyłby się potwór któryby się nie mógł pamiętać w umyśle żadnego człowieka. Byłby to bowiem erudycyjny sen, mogący jedynie sny wytwarzać. Szukalibyście wyjścia z tej próżni, szukalibyście stałego punktu, aby się zorientować we własnej historii.

I ja również poszukuję światła dla dziejów religii. Pogromca drapieżnych zwierząt i wygasłych gatunków, oto wedle mnie pierwszy Herkules. Odpowiada on epoce pewnej ludzkiego ducha.

Jestto pierwszy stopień w drabinie życia ludzkości. Później znów cywilizacja budzi się i rośnie. Noszący maczugę w czwartorzędowej epoce postępuje wraz z cywilizacją. Dębowa lub oliwna jego maczuga zmienioną zostaje na spiżową. Bohater ów poczyna oblegać miasta, podbijać Epir i Pylos, przewodzi emigracyom doryjczyków. Dalej wznosi się aż do gwiazd; i oto mamy boga słonecznego. Na koniec w epoce filozoficznej zostaje metafizycznym bóstwem stoików.

W całym tym procesie, pogromca drapieżnych zwierząt pozostaje pierwotnym pierwiastkiem przeistoczonych legend. Herkules z czwartorzędowej epoki, jest pierwszym przodkiem wszystkich Herkulesów, którzy po sobie następują, przechodząc z jednej rasy do drugiej bez zmiany nazwiska. Dzieje półboga podobnie jak dzieje ludzkie posiadają swą chronologią.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### **Nowy duch w historyi prawa i własności.—Jak ugruntowaną i uszanowaną została własność.**

Wiek XVIII rzucił następujące pytanie: na jakiej zasadzie oparł się człowiek, wyrzekłszy poraz pierwszy: to jest moje?

Zapytanie to sięga do początków prawa własności. Rousseau i współcześni odpowiedzieli na to pytanie, czyniąc przypuszczenie, że istniała dobrowolna umowa między pierwszymi ludźmi. Przypuszczenie to wstrząsnęło światem.

Poczęto wszędzie doszukiwać się owej pierwotnej umowy, lecz nie znaleziono najmniejszego śladu w tej kwestyj. Wówczas uczeni prawnicy wystąpili z tą kwestyą bardziej jeszcze utrudniając jej wyjaśnienie. Dowodzili oni, że skoro nie znajdujemy żadnej umowy w początkach prawa własności, jakie więc ludy mogły prawo to uszanować? Wśród niedokładnych jeszcze warunków, któż mógł przeszkodzić ludziom, gdy się rzucali na tych, którzy przypisywali sobie własność pewnych rzeczy?

Taki jest stan owej kwestyj, którą juryści <sup>1)</sup> uważają

---

<sup>1)</sup> Henryk Sumner Maine, przełożył Courcelle-Seneuil, *Dawne prawo* p. 230 — 241.

za nierozwiązalną. Mają oni słusność ze stanowiska swej specjalnej wiedzy; lecz ja gdzieindziej szukam punktu oparcia i oto co znajduję:

Odpowiedź na kwestyę zadaną przez prawników nie mieści się w kodeksach, lecz w dziejach religii. Dajcie więc za wygraną teorii a przyjrzyjcie się rzeczywistości.

W najdawniejszych początkach ludzkich społeczeństw, w czasach Księgi Wedy, gdzie zauważyć można prawo własności? Na czym się ono opiera? Nie chodzi tu o prawo pierwszego posiadacza, ani o tego, który pierwszy uprawił kawał ziemi.

Oto całe to prawo spoczywa na hojności bogów. Indra lub Agni lub Waruna, posiada wszystkie dobra na ziemi. Ustępuje je tym, którym mu się podoba, a ustępuje w nagrodę poświęceń. Obdarzywszy ich temi dobrami, czyni ich stróżami dóbr tych; będąc właścicielem wielkiej trzody, rozdaje ją swoim przyjaciołom.

Z takiego to tytułu weszli ludzie owi w posiadanie; któżby ośmielił się pozbawić ich tej posiadłości. Byłoby to samo, co chcieć pozbawić posiadłości boga o złotej ręce.

Tak więc własność była nagrodą za modły i ofiary: „Ty, który jesteś bogatym <sup>1)</sup>, daj nam krowy, konie, owce, tryki, byki i złota.“

„Ty któryś panem bogactw, daj nam dobra, któremi szafujesz, pług złoty.“

„Zawieź nas do żyznych pastwisk.“

„Wszak bogactwa te, dierzysz w dłoni twej.“

---

<sup>1)</sup> Księgi Wedy.



Człowiek chciwy ziemskich dóbr czyni ofiary a ofiary te płaci trzodą. To co posiada, otrzymał w nagrodę całopalenia. Było to prawie w epoce patryarchalnej u jednego z ludów pasterskich.

Któż był pierwszym właścicielem ziemi w początkach istnienia greckiego i rzymskiego społeczeństwa? Nie był nim ani jakiś człowiek ani też rodzina, ale raczej bóg miejscowy.

*Jupiter latialis* był właścicielem Lacyum, Pallas-Atene Atyki, Junona-Argo była właścicielką Argolidy, Apollo Herakles posiadał ziemię dorycką. Oto pierwsza forma prawa własności u Greków i Rzymian; w ten sposób więc ludzie zaczęli mieć pojęcie o własności.

Pójdźmy dalej. Owi narodowi bogowie, bezsprzeczni właściciele publicznej własności, mieli synów, potomków i wreszcie rodzinę ludzką, których obdarowywali prawem terytoryalnym i dawali im upoważnienia. Jest to druga forma prawa własności a nawet prawa międzynarodowego.. To co należało do bogów, przeszło na głowę rodziny; przekaz ten nie mógł być wątpliwym dla tych, którzy wierzą w boskość swej rasy. Jest to widocznem w sposobie, jakim rasy starożytne zawładali ziemią, którą naszli.

Weźmy naprzykład pod uwagę najścia heraklidów. Są to synowie, lub synowcowie Herkulesa. Gdziekolwiek się zwrócili heraklidowie, wszędzie żądali posiadania ziemi jako dziedzictwa pierwotnego swego przodka. W ten też sposób stali się właścicielami Polopenezu, pewnej liczby wysp, Azyi Mniejszej i Sycylii. Herkules był panem pól gór i lasów. Jesteśmy synami Herkulesa, przychodzimy, aby przejąć jego dziedzictwo i zająć miejsce i stanowisko.

Prawo to jest jasne, posiada ono całą moc prawną. Oto w jaki sposób ugruntowała się własność.

Obliczcie następstwa tego boskiego nadania. Bóg nadający jakąś rzecz ludzkiemu potomstwu swemu, jest to tworzącą się boską feudalnością.

Zapytacie może, jakim sposobem posiadanie własności ziemskiej mogło być uszanowane? Czyż nie widzicie, że bóg zasiadł na progu domu w charakterze bóstwa lub penata. Stawał się on stróżem rzeczy przyznanej, Jowiszem domowym, czuwającym u wejścia i oddalającym rabusiów. A któżby śmiał go wyganiać? Najzuchwalszy bowiem widzi gotowy piorun w dłoni gromowładnego Jowisza; a protekcya ta więcej znaczy od kodeksu karnego.

Kolonie zakładano najczęściej za wolą wyroczeni. Bóg dorycki Apollo posyła lud swój dokąd mu się podoba, wyznaczając mu dom i terytoryum. A któżby śmiał oprzeć się woli delfickiego boga, jego złotemu łukowi? Tak więc człowiek pierwotny szanował własność drugiego, gdyż szanował boga ludu, do którego sam należał, plemiennego boga, który nadał owo prawo zbawienia. To poczucie szacunku przypomina średnie wieki, gdy silny obawiał się ograbiać wasala swego z obawy przed silniejszym od siebie suzerenem. Różnica ta na tem polega, że u starożytnych obawiano się boga, u nowożytnych zaś człowieka.

---

## ROZDZIAŁ V.

### **Na czym polega różnica objęcia w posiadłość u ludów starożytnych i nowożytnych?**

Po tem co powiedzieliśmy w poprzednim rozdziale, winniśmy wykazać na czym polega różnica objęcia w posiadanie u starożytnych i nowożytnych ludów.

Barbarowie w IV i V wieku a następnie Normandowie nachodząc Zachód, nie mieli pojęcia o zrobieniu tego co zrobili naprzykład heraklidowie. Nie byli to już poganie, a zaledwie ich można uważać za chrześcian. Nie mogła im nawet przyjść do głowy myśl uważania siebie za spadkobierców swego boga. Nie uczynili oni bowiem swych bogów pogańskich, Odina i Thora, szymi pierwszymi posiadaczami Neustryi, Austrazyi i Burgundyi. Nie podawali się oni za prawych spadkobierców wspomnianych bogów. Tak jest, owo objęcie w posiadanie mogli oni ustanowić jedynie na podstawie przemocy; na tem polega właśnie owa różnica, która pragnę wykazać.

Za czasów boskiej lenności w Grecyi starożytnej, człowiek zależnym był jedynie od boga a nie od człowieka. Naczelnik rodziny nie mógł uchodzić za sługę Jowisza, Minerwy, Junony, zachowując wolność przynależną mu z urodzenia. Tak więc człowiek wolny wcho-

dził z podniesioną głową w świat prywatny i publiczny. Rodziny greckie otrzymując prawa własności na jednokiej podstawie od narodowego boga, równego wszystkim innym, nie mogły mieć pojęcia o porządkowaniu jedni drugim w owym łańcuchu ogólnego służalstwa, które nazywamy feudalnością średnich wieków.

Z tej wrodzonej równości choćby jednego boga narodowego wypływały swobodne prawa Aten i Rzymu.

Przeciwnie zaś w barbarzyńskiej feudalności średnich wieków, prawo własności pochodziło ze źródła niższego. Prawo to nie kryło się w obłokach, ale było raczej owocem nagiej przemocy. Tak więc człowiek nowoczesny wchodzi w życie publiczne niskimi drzwiczkami. Jestto jedna z przyczyn, dla których człowiekowi owemu trudno podnieść głowę.

Ileż to ludzi sądzących, iż są szlachetnego rodu, zrodziło się w poddaństwie, w niem powstałi i w niem umiera w XIX wieku, tak jak w stuleciu XII! Kto zaś ludzi tych chce uwolnić, uważanym jest za ich wroga. Ojciec ich był lennikiem innego; oni również z kolei pragną być wasalami. Żadne odmienne w tym względzie pojęcie nie może się przedostać do ich umysłu. Ludzie rzucają się w lewo i w prawo — nie stawiajcie im przeszkód. Biegną aby poszukać sobie pana.

Nikt nie wyjaśnił dotychczas, w jaki sposób urobiła się pierwotnie owa tęgość dusz starożytnych, którą podziwiamy; była to mieszanina półboga i człowieka. Sądzę że istotną wyjaśnił przyczynę owej tęgości.

Gdy skutek coraz bardziej wzmagającego się światła, ludzie przestali uważać się za synów lub spadkobierców boga, jednakże przez nawyknienie przemawiano w jego imieniu. Własność wypływająca ze święte-

go źródła nadawała posiadaczowi niewzruszone bezpieczeństwo. Obecnie rzecz dziwna, pozostajemy w ciągłej obawie aby własności tej nie stracić.

Wszystko tedy zważywszy, wyznać trzeba, że do niezmiernie rzadkich objawów w świecie nowożytnym a głównie w wyższych społecznych klasach, należy dumna dusza. Cudownym jakimś sposobem spłodziła dusz podobnych znaczną liczbę francuzka rewolucya.

Nie chciałbym za nic w świecie, aby pozbawiono demokrację słusznej jej dumy, stawiając jej za przykład szlachtę historyczną, której nie ma i tradycyjną elegancję obyczajów, której bardziej jeszcze dostrzedz nie możemy.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Nowe komentarze praw epoki barbarzyńskiej? — Z jakich źródeł czerpały dusze starożytne

Wolałbym zaiste być lennikiem rcztopnego Herme-  
sa lub pysznej Pallady zamiast lennikiem człowieka  
który się mianował moim panem, dla tego, że był sługą  
franka lub wandała.

Nienawiść rodu ludzkiego ścigała od jednego stule-  
cia do drugiego władzę feodalną dla tego, że źródłem  
władzy mogła być jedynie przemoc. Prawo, jakie ist-  
niało było tylko czystym pozorem. Oto dla czego mi-  
mo wszelkich postanowień w krótkim czasie na jednym  
miejscu był tylko jeden pan i poddani.

Przekonaliśmy się jak łatwo jest ustanowiwszy coś  
w prawie, mimo to wprost przeciwnie postępować  
w praktyce. Jeśli zwyczaj podobny łatwo i często prak-  
tykuje się między nami, to cóż powiedzieć o barbarzyń-  
cach? Nigdy nie należało brać zbyt poważnie ich posta-  
nowień, ilekroć razy takowe nie zgadzały się z ich inte-  
resem. Należy zasadę tę uważać za jedną z pierw-  
szych reguł przy nowem komentowaniu prawnych za-  
sad Barbarów.

Za czasów starożytnej feodalności, każdy właściciel  
dzierżył majątność swoją z łaski narodowego boga.

Wszyscy byli właścicielami z jednego i tegoż samego tytułu jako równi.

Za feodalności średniowiecznej, jedynem prawem w początkach było prawo siły i to siły nierównej; każdy poddawał się mocniejszemu. Były to czasy panowania „nierówności“ *par excellence*.

W nowszych czasach widzimy, że wszędzie występuje władza absolutna. Lennictwo zniknąwszy w prawodawstwie, zatrzymało się na dnie duszy ludzkiej.

Czyżby za naszych czasów namiętność do tytułów, do przybierania nazwisk zmyślonych miała być ostatnią formą służalstwa? Sami rozstrzygnijcie tę kwestyę.

W średnich wiekach u Anglików sprawiedliwość płynęła z królewskiego sumienia.

Starożytni znów przeciwnie, zidentyfikowali sumienie sprawiedliwego człowieka z sumieniem boskiem, nieśmiertelnem, wiecznem. Stoickie to poczucie weszło do prawa rzymskiego pod nazwą słuszności albo prawa naturalnego; był to również jeden z tych warunków, które nadały owemu prawu wielki charakter. Ród ludzki zdawał się z prawa tego czerpać, jakby z olimpijskiego źródła cywilnej sprawiedliwości.

Nie należy więc dowodzić, że system feodalny wypływa z natury ludzkiej. Był on raczej następstwem szczególnych warunków zaborów germańskich. Nic podobnego nie znajdujemy u starożytnych. W dziejach ich nie ma ani jednego momentu, w którym znaleźlibyśmy więcej niż jednego pana i poddanych.

Zupełny brak prawa w początkach wywołał liczne donacje, jakimi królowie i panowie obdarowywali duchowieństwo. Pragnęli oni odkupić niegodziwe uzurpacye i brak słuszności, przychylnością biskupów. Do

tej to przepaści wpadały często dobra publiczne. Grabiono i przyjmowano chrzest; następnie osłaniano się powagą biskupów, której nabywano, ustępując tym ostatnim część łupu. W tem właśnie znaczenie rzeczy biorąc słusznie można powiedzieć, że biskupi stworzyli Francję.

To co nazywamy rewolucją praw feodalnych, bywało często jedynie tylko igraszką przemocy i zachcianek. Dawano i odbierano rzeczy darowane. Spisywano umowy na piasku, które najmniejszy wiatr rozwiął. Nawet Monteskiusz daremnie się wysiłał, aby wynaleźć podstawowe warstwy owego ruchomego piasku.

---



## ROZDZIAŁ VII.

**W jaki sposób słuźalstwo spaczyło za naszych czasów dzieje starożytnę? — Jedna z plam naszej epoki.**

Pośród słuźalstwa najszybciej paczy się historia. Najwytrwalej zaś słuźalstwu opiera się poezya.

Cezaryzm zjawiwszy się we Francyi na lat dwadzieścia odbił się natychmiast w teoryach współczesnych historyków. Była chwila, w której zduszenie ludu wydawało się rzeczą najpiękniejszą. Ktokolwiek w przeszłości był sprawcą zamachu drugiego grudnia, czy to w Asyryi, czy w Kapadocyi, w Egipcie lub Rzymie, mógł być pewnym, że będzie sławiony przez jakiegoś erudyta nagle nawróconego na teorią prawa mocniejszego. Wprowadzono ducha drugiego grudnia do dziejów powszechnych, niby zarazę. Temu zbrodniczemu olśnieniu ulegli cudzoziemcy bardziej jeszcze niż francuzi.

Kto zaś ośmielił się zaprotestować przeciw owemu wyrokowi potępiającemu wszelką życiową swobodę, został wyklętym w imię nauki; gdyż „drugi grudnia“ uznany został jako ostateczny sąd spraw ludzkich; należało tedy zastosować przeszłość do tego najwyższego prawidła i wypełnić grudniowym duchem dzieje wszystkich wieków. Zasada owa przyjęta została przez wielu z upodobaniem, dowodzącem, że nawet umysłem filo-

zoficznym z trudnością przychodzi cofnąć się przed zbrodniczą władzą, gdy ta z bezczelnością występuje.

Poznawszy to co działo się w owej chwili bezkrólewia intelligencji i sprawiedliwości, spostrzegamy co nam pozostaje do zrobienia. Przedewszystkiem uważamy za konieczne wygnać z dziejów powszechnych owego niewolniczego i haniebnego ducha, którego popieszczenie wniesiono do całej przeszłości. Należy przywrócić godność ludzkiego ducha, w sprawach ludzkich.

Zaznaczyć wypada, że praca dokonywa się już za dni naszych. Owe wszystkie rzekome pomniki dziejowe gruntowały się na pomrokach drugiego cesarstwa, czyli w chwili omamienia która zdawała się być prawem przyszłości, owem *consumatum est* Francji i świata.

Pewnego dnia cezaryzm ów wyniósł się zabierając ze sobą systemy wszelkiego rodzaju i dzieła skreślone na piasku przez historyków. Pierwszem tedy zadaniem naszej epoki, winno być wyswobodzenie starożytnych i nowożytnych dziejów z pod wpływu owej niegodziwej zmory.

Było to zaiste rzeczą piękną szydzić z duszy ludzkiej z ubiegu czterdziestu wieków życia ludzkości. Niemniej pięknie było traktować tych, którzy nie przyklasnęli służalstwu jako Sancho-Panchów <sup>1)</sup>. Lecz także pięknie jest schwytać szydzców w sidła a śmiesznym zarazem jest widok dzieł ich rozpadających się w gruzy za pierwszym powrotem sprawiedliwości i poczucia prawa. Zechciejcie obecnie odczytać owe dzieła a przekonacie się o ile one w ciągu jednego dnia wolności, zgrzybiały i spleśniały.

---

<sup>1)</sup> Patrz, Mommsen: *Historja Rzymu*.

Niewymagam aby dzieje były krasomówczym tematem, co się u nas przez długi czas praktykowało; lecz pragnę, abyśmy niewprowadzali do obrazu ludzkiego rodu koteryjnych namiętności. Uczynić z tak długiej przeszłości dziejowej smaczny kąs dla przewodzącego stronnictwu, zredukować ludzkość do znaczenia intrygi, nadawać wszystkim wiekom jednakie piętno francuzkiej reakcyi, otóż przyznajcie, że manipulacya ta jest gorszym anachronizmem niż pisanie imienia Klodoweuza przez *C* zamiast przez *K*.

Jestże rzeczą rozumną przyodziewać całą przeszłość w kostjum dzisiejszych krewetów po wyszydzeniu fałszywej barwy nadanej dziejom XVIII wieku? Jestże prawdą, że jezuicki dwuznacznik naszych czasów był zawsze jedyną podstawą ludzkich stosunków? Powiadacie że posłuszeństwo przed prawem dowodzi ograniczoności umysłu, że rzeczą najgodniejszą pochwały jest przekręcenia prawa.

Pragnę aby to był jeden z dogmatów współczesnych nam zacnych ludzi; lecz rozciąganie tej zasady do wszystkich czasów i krajów będzie historią czy deklamacją?

Bossuet uważając naród żydowski jako wyraz dziejów powszechnych, widział na drugim krańcu chrystyanizmu świata odnowiony. Wy zaś uważając w szeregu stuleci jako ostatni wyraz „Drugiego Grudnia“ o bezustannej trwałości, stajecie się przewrotnymi, stając się zarazem igraszką przewrotności waszych władców; gdyż klasyczny model wedle którego pragniecie regulować wszystko, zgnił już i znikł nam z przed oczu.

## ROZDZIAŁ VIII.

**Sofizmata z powodu ducha niepodległości narodowej. — Usiłowania celem spaczenia dziejów. — Czy Sokrates jest przywódcą reakcyonistów? — Perykles i francuzki mąż stanu.**

Obleżenie Paryża przez prusaków 1870 r. zbudziło w niektórych historykach wspomnienie obleżenia Jerozolimy. Zobaczymy co duch reakcyi francuzkiej uczynił z ostatnich wysiłków starożytnych narodowości, pragnącej uwolnić się od wroga.

Jeden z reakcyonistów cofa się do zapadłych dziejów Wschodu i w gniewie złorzeczy ludowi, który śmiał walczyć do upadłego z obcym najazdem. Oskarża ów naród rewolucyjny, który upornie usiłował uniknąć niewoli; przemawia do niego, grozi mu i plugawi. Spojrzcie, woła on, na tych wściekłych szaleńców, jak się opierają silniejszemu! Co za zgorzenie! I tu zdwaja on swoje złorzeczenia. Niechaj się natychmiast, wykrzykuje reakcyonista, zdadzą na łaskę; niechaj oddadzą Tytusowi więź Antonia, albo ich wszystkich przez miecz przepuszczę. Tu następuje zawieszenie gniewu. Pomyśl, że blisko dwa tysiące lat upłynęło jak ludzie ci umarli — nie krzyżujmy ich nanowo. Nie karzmy ich za to, że przed

dziewiętnastoma wiekami nie posiadali przytomności umysłu i zdrowej polityki poddania Sedanu i Metz.

Inny znów uderza na Demostenesa i ciska weń pioruny. Jakto, stawiać opór Filipowi! Niemódz pojąc, że niewolnictwo w Atenach było jedną z dziejowych misji? Opierać się królowi macedońskiemu! Nie dowodziłem po sto razy, że król macedoński jest najsilniejszy i że dlatego należy przeciwnie stanąć po jego stronie od chwili zajęcia Focydy, następnie należało ułatwić mu wzięcie Eubei, opuścić wyspy, otworzyć mu Termopile, zdać mu Eretryę Oreę i Bizancją i wreszcie wszystko co zażąda? Oto polityka rozsądna, która nic nie ryzykuje i którąbym zawsze popierał. Politykę tę odtrącili ludzie nierządu; pozostaję więc sam z tą księgą, którą niby Eschil poświęcam czasowi dla nauki przyszłych ludów.

Inny znów od czasu pierwszej olimpiady widzi w greckim świecie jedną rzecz, stronnictwo wzbogacających się. Wedle nich wszystko się porządkuje. Biada tym, którzy nie posiadają kopalń srebra we Francji lub gdzieindziej.

Sądziście zapewne, że swoboda umysłu i twórczej wyobraźni miała jakieś znaczenie w cywilizacji greckiej. Wiedźcie, że cała historia grecka zamykała się w obrębie ateńskiej ulicy de Poitiers. Po zatem nie było nic. Jakże wszystko tam uproszczono. Aby ująć w ręce duszę Aten lub Sparty nie potrzeba było znać języka lub studyować pomniki. Solon, Leonidas, Sokrates lub Tucydides należy czy nie należy do bogatych? Jeżeli tak to podziwiajcie ich, jeśli nie, nie mówmy o nich. Wiedząc o tem wiecie o wszystkim. Jestto zachwycająca metoda dla skrócenia pracy histo-

rykom! Filologia zaś i krytyka staje się zbyteczną. Wielu ludzi tem się ucieszy.

Dotychczas Grecya starożytna była dla nas słońcem była moralną, spotęgowaną siłą, która podtrzymywała duszę ludzką w jej chwilach krytycznych. Najbardziej zgnębiony człowiek czerpał w Grecyi nieśmiertelną nadzieję; była to boska broń ukuta dla wszystkich wieków. Przyznajcie iż byłoby ciosem stanowczym uczynić z owej młodości rodu ludzkiego echo namiętności i współczesnych, zgrzybiałych, i jałowych. Utrwalić nasze zwątlące umysły, nasze spiski i przeciw życiu i światłu pod lśniącą tarczą Minerwy, zagasić wielkie słońce ateńskie zarażonemi wyziewami naszych kałuży, zmienić Agorę na moczary — cóż to za wspaniałe zwycięstwo dla ducha reakcyi! Nareszcie też zwolnieni będziemy od niewygodnych wspomnień starożytności greckiej, która nie dozwala światu zaskorupieć na zawsze.

Możnaby zapewnić zwycięstwo martwych umysłów gdyby się udało najmędrszego greka, Sokratesa, uczynić przywódcą reakcyonistów. Zaiste, czyniono już próby w tym kierunku. W długich, arcymądrych i nudnych historycznych dziełach przedstawiono Sokratesa jako przywódcę powszechnej reakcyi. Kilkoma żartami z mędrca nad mędrkami usiłowano przeistoczyć w nieprzyjaciela ludu, stronnika w duchu koteryi zafańców. On, który na świat przyniósł nową metodę, który zdemokratyzował filozofię, stracił bogów, przelał świat moralny i polityczny w inną formę, on miałby być reakcyonistą! On to śmiercią swoją przypieczętował nowego ducha. Na Boga, nie czyńcież takiego człowieka pierwszym przodkiem ograniczonych zachowawców.

Wśród usiłowań znaczenia wszystkiego ostała się jedna postać, mianowicie Perykles. Jednakże nie brakowało dogodnych sposobności, aby i Peryklesa uczynić agentem klas przywodzących, narzędziem i wzorem wszelkich oligarchii. Nikt jednak dotychczas tego nie uczynił. Perykles dotychczas pozostał demokratą. Tej postaci przezroczystej niby marmur pentelikoński, nie zdolali pochwyć historycy sofisci. Pochodzi to ztąd, że Perykles umiał przeistoczyć się zupełnie, stać się człowiekiem nowym, nie łącząc się w niczem z martwymi opiniami swego czasu. Żaden człowiek nie był mniej od niego człowiekiem kotery i nie trącił mniej dorobkowieństwem. Pojął Perykles w czem tkwi nowy wiek i stanął też na jego czele. Nie wyszukiwał niemożliwych kompromisów między oligarchią a demokracją.

Nie doszukujmy się tak ochotnie powag naszych między komikami greckimi. Rzemiosłem ich było rozdzierać nawet bogów. Dla nas w szale naszym reakcyjnym wszystko jest dobre. Chętnie byśmy oceniali Peryklesa wedle Eupolisa a Jowisza z głową cybulastą, byle tylko rozsiewać nasze pamflety historyczne.

Podobnie jak Sokrates odrzucił starą filozofią, Fidyasz stare rzeźbiarstwo; tak znów Perykles zerwał ze starą polityką. Aby naprawić lud, oparł się na ludzie. Nie zachwiał się on ani na chwilę, szedł prosto drogą wiodącą do przyszłości. Polityka też jego również jest piękna jak rzeźba Fidyasza, jasna jak filozofia Sokratesa. Oto dlaczego wiek w którym żył przezwano wiekiem Peryklesa, a jego samego olimpijskim.

Wskażcie mi dziś sofistę, któryby się ośmielił zedrzeć wieniec z głowy Peryklesa. Sprobójcie go uczynić reakcyonistą z 1798 lub z 1874 r. Wszystkie usiłowania wa-

sze były spóźnione. Postać ta pozostała taką jaką była w Agorze. Niedotykajcie jej.

Nie było chyba człowieka na świecie, któryby się bardziej od Peryklesa oddalał od jednostajnego typu męża stanu, jakiemu przywykliśmy się przyglądać we Francyi od początku bieżącego wieku. We Francyi mąż stanu wtedy dopiero zasługuje na to miano, gdy wypowiada wojnę swej epoce i swemu narodowi. „Francya musi postępować wedle naszej woli“ powtarzają oni jeden po drugim.

Perykles rozdzielał między ludem ziemie zdobyte, co było marzeniem Grachów. Urzędy publiczne uczynił przystępnymi dla wszystkich; uczyniwszy zarazem zyskownymi. Był to radykalizm starożytny. Perykles był też radykalnym.

Jeśli społeczeństwo francuzkie jest czemkolwiek, to chyba tylko demokracją. Mąż stanu we Francyi dokłada wszelkich usiłowań, aby społeczność tę uczynić oligarchiczną. Perykles uzbroił się instynktami i przysięgami większości. Czuł, iż pozostaje w zgodzie ze wszystkimi bogami i boginiami Aten. Ztąd wypływa jego siła, łagodność wewnętrzna, równowaga i wielkość. We Francyi mąż stanu, wypierając się pierwotnych swych pojęć, sądzi iż wzrost jego polega na oddalaniu się od masy narodu. Wszystko co przechodzi ciasne jego pojęcia uważa jako bunt zbrodniczy: „Do mnie, woła on, oto wróg!“ Okoliczność zaś jest taka, że ów wróg — to naród cały.

Przekonywam się, że od lat sześćdziesięciu, mimo wszelkich zmian panuje jeden i tenże sam system, ten sam człowiek grożący pięścią narodowi lub wyszczekujący na niego, aby ukazać wszystkim swój temperament



i swoją mierność, czasami nawet swoją karłą talię. Jest to bezustanna walka na pięście jednostki z narodem. Jednostka bywa w podobnych walkach ciągle zagniewaną, nieskromną, grożącą; naród zaś, często cierpliwym i roztropniejszym od swego gromowładnego Jowisza; lecz ostatecznie rozdrażniwszy się dnia pewnego strąca swego boga w otchłań nicości.

Czyż ujemny ów objaw pochodziłby ztąd, że władza bardzo szybko przewraca w głowie naszym Peryklesom? Wskutek zaś owego obłędu, na tyłu mężów stanu, mówiąc szczerze, zaledwie jednego naród francuzki zachował w pamięci. Oni oddalili się od niego — a następnie on od nich. Oni szukali fałszu — a znaleźli próżnię. Tak się dzieć będzie dopóki człowiek nie pocznie nareszcie szukać wielkości tam, gdzie ona rzeczywiście istnieje — nie w duchu kotyry, lecz w duchu samego narodu.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### **Posłannictwa historyczne. — Jak fałszowano historię Cezara. Pomysł nowej historii ostatnich czasów starożytności.**

Niemcy to wprowadzili w modę posłannictwa dziejowe. Dowiedli oni przynajmniej dobrego gustu, wybierając sobie misję przewodniczenia wszystkim żyjącym narodom, nam zaś w szczególności. „Jeśli jestem mistrzem swego wieku — mawiał skromnie Schelling — to wiek mój chciał tego.“

Dobrze; lecz my Francuzi jakież dziejowe posłannictwo sobie wyznaczymy? Wszystkie najlepsze udziały są już rozebrane; cóż dla nas pozostanie? Czyż tylko posłuszeństwo i niewola? Szczęśliwy lud, który zajęty czem innem, nie poznał się jeszcze z temi doktrynami.

Jeśli narody, które zostały zmiążdżone przez silniejszego, nie zasługują na żadne pożałowanie, na żadną wzmiankę, któż zechce odtąd pisać historię zwyciężonych? Wystarczy nam okrzyk zwycięzcy. Gdyby te piękne maksymy dawniej były rozpowszechnione, Augustyn Thierry oszczędziłby sobie trudu pisania historii anglo-saksonów, Fauriel prowansalczyków, Napoleon

Peyrat albingensów. *Voe victis* zastąpiłoby ich dzieła. Jeden wyraz zamiast całej historii.

Nie ufam tezom, które umysł ludzki jałowym czynią.

Nic zabawniejszego nad litość, jaką niektórzy historycy okazują dla tych, co kusili się o ocalenie resztek uczciwości i charakteru. „Godne czci przesady, powiadają oni; lecz, mój Boże, jakażto ciasnota umysłowa!“ powtarzają bez końca w nieprzeliczonych tomach.

Straszna to rzecz ogałacać starożytność z tych dusz wielkich i potężnych, jakie przywykliśmy w niej widzieć a na ich miejsce stawiać owe mirmidońskie nędzoty, niby żywcem z naszych odtworzone koteryj. Karykatura-to raczej niż historia.

Obaczcie historię rzymską w nowem jej obrobieniu <sup>1)</sup>. Czemże innem jest ona, jeśli nie Drugim Grudnia, cofniętym w daleką przeszłość i powtarzającym się ciągle przez pięć wieków istnienia rzeczypospolitej rzymskiej? Wszystko cośmy dotąd podziwiali w starożytności: talent, charakter, moc ducha, heroizm wysmiano tam i wyszydzone; i Katon został zabawnym godnym politowania szaleńcem; Brutus umysłem ograniczonym, głupowatym, Cycero rzemieślnikiem od felietonów. Po nad temi oplwanemi pokoleniami wznosi się jeden tylko człowiek, ten który je zdeptał, Cezar, mąż z nad Rubikonu, który zasłużył sobie na niezrównaną chwałę, otwierając przyszłość pretoryanom, a nakazując milczenie nudnym szmerom ludzi wolnych; oto wybraniec co obliczać umie. Dla niego to wyłącznie starożytność stworzoną została. .

---

<sup>1)</sup> Ma tu autor na myśli Mommsena.

Cezar zdeptał pod swemi stopami ducha ludzkiego; cześć Cezarowi! Cezar nakazał milczenie światu; chwala mu! Cezar nałożył na ludy pęta niewolnicze; Cezar jest jedyny, bozki!

Nie mówcie przynajmniej panowie historycy, że cezaryzm rzymski był ukoronowaną demokracją. Nic nad to fałszywszego zarówno pod względem dziejowym, jak i politycznym, Już powiedziałem, że pod ciśnieniem arystokracji rzymskiej żadna demokracja narodzić się nie mogła. Uprzywilejowany ten stan zastępował państwo; po za nim istniał już nie lud, lecz tylko cień ludu. Gdy Cezar przyjął koronę, przedstawiał jedynie Cezara. Machiavelli nazywał Cezara „obmierzłym“. Montesquieu zwykł był rozprawiać o „zbrodniach Cezara“. Za dni naszych jesteśmy zmuszeni pod pokrywką ostatnich rezultatów nauki, uznać rehabilitację występków i zbrodni, już tak do brze wyświełtonych przez Machiavellego i Monteskiusza. Doszło nawet do tego, co było nasieniem potworności, jakimi Tyberjusz, Kaligula i inni później zasłynęli.

„Osoby najwyższe piastujące dostojeństwa, powiadają, czekać musiały po całych godzinach w jego przedpo-koju“. I trzeba, abym dzisiaj po upływie ośmnastu wieków ugiął kolano przed tym pięknym sposobem decydowania o starożytności.

Chwalimy nadewszystko Cezara, że się raczył zająć wytepieniem w ciągu lat dziesięciu Gallów. Nic nad to piękniejszego w naszych oczach. Kto się dzisiaj odważa na zarzut, temu naturalnie nauka zaprzeczyć nie omieszka. Z tem wszystkim rzucę słówko na szalę.

Monarchia Cezara skazała na zagładę wszystkie na-

rodowości, żyjące dokoła morza Śródziemnego. Oto, co podziwiać winienem. Ale obaczmy, jaki był koniec. Skoro Galię unicestwiono pozostało na jej miejscu wielkie pustkowie, na które rzucili się Germanie. Nic im nie przeszkadzało posunąć się naprzód i przejść Ren. Podobież na wschodzie. Narodowości te były przedmurzami tamującymi napływ Germanów i Hunów. Gdy Rzym cesarski opasujące go dokoła ludy wolne w niwecz obrócił, znikła nagle granica między cywilizacją klasyczną a barbarzyństwem. Utworzyła się wszędzie próżnia. Barbarzyńskim nomadom pozostało tylko pomknąć zagony, aby opanować wszystko. Runęły więc tłumy zaborców z Galii, Hiszpanii i Tracji. Zobaczono wtedy, że Rzym cesarowy, zabijając siły żywe, jakimi był otoczony, zabijał samego siebie. Wielki Cezar zadrwił ze świata, ale później z niego zadrwiono. I to właśnie przeszkadza mi wysławiać go bez miary.

Wielka jest różnica między podbojami Aleksandra i Cezara. Aleksander wyruszywszy z Grecji ku Indjom, odpierał przed sobą cały ów świat barbarzyński, azyatycki. Hufce jego były zasłoną dla cywilizacji greckiej. Cezar natomiast burząc narodowość galską otwierał drogę Germanom; zrobił bowiem pustkowie na które rzucili się niebawem północni barbarzyńcy. On im cały Zachód oddał.

Błędna-to historia, błędna filozofia. Numancja (powiadają), Sagunt, a u nas Gergowia, Alizya, ostatnia zaś w Azji przedstawicielka żyjącej narodowości Jeruzolima nie powinny się były bronić przeciw najeźdźcom. Wypadało się oddać na łaskę lub niełaskę nieprzyjaciela. zaraz po pierwszym urzędowym z jego strony wezwaniu.

A jaby<sup>m</sup> się zapytał, jaki naród mógłby żyć choć przez dzień jeden, gdyby te zasady z ksią<sup>ż</sup>ek przeszły w życie? Najmniejszą niedogodnością, wynikającą z takiego podstawiania na miejsce ducha dziejów starożytnych, ducha naszych koteryj, jest to, że niepodobna już nam wtedy zrozumieć jednego dnia z żywota ludów dawnych. Żądza zachowania niepodległości narodowej była ich główną zasadą; dla naszych zaś pisarzy jestto zbrodnia nad zbrodnię. W historii są więc już tylko sami zbuntowani. Jeśli się kto poddaje bez wystrzału, to chyba jedynie „porządne mieszczaństwo“ („la bourgeoisie honnête“). Zbieg sprowadzający do kraju nieprzyjaciół i służący im za narzędzie wojenne, oto człowiek poważny, oto mąż bez zarzutu i dziecię porządku.

„Hanan starał się opóźnić wyrób oręża i sparaliżować obronę, udając, że chce być jej organizatorem. Należał on poprostu do tych, których rewolucjoniści nazywają zdrajcami“. Zkąd wynika, że człowiek oddający swój kraj na łup nieprzyjacielowi, jest tylko zdrajcą dla rewolucjonistów. Oni jedynie zachowali w swym słowniku te grube wyrazy. Czy więc dla ludzi znających się na rzeczy zdrajca i człowiek umiarkowany, nie są czasem jednoznacznikami?

Opór pojedynczych narodowości przeciw Rzymowi jest tylko łotrostwem. Dlaczego? Dla tej wielkiej (powiadają) nawskróś humanitarnej przyczyny, że Rzym słusznie dążył do unicestwienia wszystkich narodowych organizmów. Rzym sam bowiem jedynie miał prawo do życia.

Przyjemnie jest widzieć, jak te subtelności burzą się same przez się. Sumiennie rozważając kwestyę, po-

znanoby, że jeśli Rzym trwał, zawdzięczał to właściwie tej okoliczności, że go zasłaniały ludy siedzące do koła morza Śródziemnego. Barbarzyńcy bo przecie datują się oddawna. Germanowie, Sarmaci, Hunnowie, Partowie żyli już tłumnie za czasów kwitnących Rzeczypospolitej. Któż im więc przeszkadzał zbliżyć się i napadać na cywilizację zachodnią? Nikt inny, tylko narodowości osiedlone w Galii, w Hiszpanii, w Grecyi, w Macedonii i w Syryi. Gdy chciwi tryumfów rzymscy wodzowie zniesli te przedmurza, nic już nie mogło utrzymać na wodzy barbarzyństwa: przedarło ono się i zadało cios śmiertelny zachodniemu państwu.

Ironia! jedno to słowo niechaj służy za odpowiedź owej mniemanej mądrości, która wszelką rzeź uważa za bezpośrednią korzyść dla ludzkiego społeczeństwa. Czyż rzadko na granicach państwa rozsiane legiony zająć mają miejsce wytępionych narodów? Tu właśnie okazuje się zasadniczy błąd przyjętego przez Cezarów systemu obrony. Czteryście pięćdziesiąt tysięcy żołnierza, mającego zasłaniać pozbawione ludów posiadłości w Europie, Azji, Afryce, to była pozorna raczej niż rzeczywista obrona. Alaryk, Genseryk, Totila przedarli się z łatwością przez tę słabą zapórę; potrzeba było bowiem tylko wejść na terytoryum rzymskie.

Obraz owego świata pogromionego przez swe klamane zwycięstwa i nieludzkie tryumfy nad wszystkimi plemionami — byłby zaiste pięknem uwieńczeniem dziejów starożytnych. Sprawy ludzkie otrzyмоłyby w nim znaczenie, jakiego je pozbawiła ślepotą zwycięzców i łatwowierność zwyciężonych.

Po upływie osmnastu wieków możemy nakoniec wyjaśnić sobie dokładnie rozwiązanie dramatu świata

starożytnego. Wyjdźmy nadewszystko z zaklętego koła prastarych mniemań, które były aż nadto zrozumiałemi dla Rzymian-zwycięzców; ale nie są już pojmovane przez ludzi, których dwa tysiące lat doświadczenia nauczyć czegoś powinny.

Gdyby nie krępująca mię krótkość czasu, wykazałbym z przyjemnością, w jakito sposób mniemane tryumfy, którym towarzyszą przykute do rydwanu narodowości, usłały później jedynie samym pogromocom drogę do nicestwa. Kazano przed szczęśliwymi wodzami nosić trofea, gdzie błyszczwały napisy: Hiszpania ujarzmiona, Azja ujarzmiona. Należało dodać: Rzym ujarzmiony.

Przyznajmy, że Rzymianie byli sami sprawcami swej zagłady. Przestańmy nadewszystko powtarzać, że najwyższem dla nas dobrem jest właśnie to, iż zostaliśmy pobici przez Cezara. Punkt ten najmniej zasługiwałby na rozbiór. Może sądzicie, że Niemcy rozpaczają, iż wielki zdobywca nie wytepił ich, jako narodu za czasów starogermańskich? Przeciwnie, chełpią się, że uniknęli jarzma. Chwalą się za przechowanie mowy w pierwotnej czystości, bez przymieszki języka najeźdźców. Niepodobną mi też z łatwością w to uwierzyć, iżbyśmy nie mogli byli, podobnie jak nasi sąsiedzi, obejść się bez owego służebnictwa, i żeby to było najwyższem dla nas nieszczęściem, urodzić się wolnymi z przodków wolnych.

Ojcowie nasi natomiast urodzili się niewolnikami. Kto wie, czy nie jest to właśnie jedna z przyczyn dla których sami podziśdzień niewolnictwa uniknąć nie możemy.

Gdy widzę dzisiaj, ile to oszczerstw ściga tych, co bronili Francję od najazdu, gdy widzę tuż przed oczy-



ma tyle zaślepionej wściekłości, tyle jadowitych baśni o sprawach, na które kiedyś patrzałem, to doprawdy jestem zmuszony zapytać się samego siebie, czy czasem historia w owej dawno zgasłej dobie nie została już wynaturzoną przez pokrewne dzisiejszym namiętności i reakcyę. Czyż wyrzeczono ostatnie słowo o Grakchach, a choćby i o Kleonie? Czy zwycięstwo jego pod Sfakteryą w istocie tak śmiesznem było? Ileżto żywotów należałoby badać na nowo z tego punktu widzenia! Możeby ztąd powstała zupełnie nowa historia. Dodajmy jednak, że pewien szacunek dla prawdy nigdy nie zagiął u starodawnych dziejopisarzy. Owszem, stanowił on nawet w ich oczach niby postulat sztuki pisarskiej. Najpośledniejsi zachowywali wstyd, jeśli nie ze względu na sprawiedliwość to przynajmniej przez poczucie dobrego smaku.

---

## ROZDZIAŁ X.

### Czy historia jest dobrą arystokratką?

Czy historia jest, jak powiada Strauss, dobrą arystokratką? Zawsze ta sama dążność do przeniesienia naszych gniewów i nienawiści obecnych w zimną i bezstronną dziedzinę przeszłości.

Napróżno czas zamroził zgasłe pokolenia; nam się ciągle zdaje, że możemy je nawrócić do swych głupich namiętności. Chcemy wieki ubiegłe zaciągnąć pod swoje sztandary, zmusić je do przyjęcia barw i haseł naszych. Cokolwiek na niwie tej śmiesznej pracy moglibyśmy zrobić, wszystko wpłynęłoby bezpośrednio na utratę owej sławy zmysłu historycznego, który nas tyle trudu kosztował, a którego nam wielu ludzi zaprzeczyć usiłuje.

Czemuż więc historia jest tak dobrą arystokratką? To znaczy, że mała jakaś kilka przywodzi światu; stwarza umiejętności, sztuki, przemysł; wydaje mówców, poetów i mężów stanu? Czy może być bardziej nad to bijąca w oczy nedorzeczność? Czyż ma to znaczyć, że z łona ludzkości wychodzą talenty i siły wznoszące się do rządzenia duchem? W takim razie ów wylew życia powszechnego jest bezwzględny przecznikiem zwartego krążka, który się dobrą arystokratką zowie.

Zdobyliśmy dla tego wieku wielkie, obfite poznanie ludzkości. Wszystko też ku niemu zmierza. Nie pozwolimy już przekształcić w swych oczach żyjącej ludzkości w jakąś starą hrabinę d'Escarbagnac.

Ileż-to usiłowań, aby spaczyć rzeczywistość i przytłumić życie! Dają rzeczom fałszywe miano i sądzą, że je zmienili. Czy też usiłowanie zatrzymania życia rodzaju ludzkiego i oszukania przyszłości we wszystkich powtarza się epokach? Tak zawsze się kuszono o wykonanie tych rozpaczliwych zamiarów i zawsze przyszłość się ich wypierała. Po wszystkie czasy młody Herkules dusił stare węże w swej kolebce.

## ROZDZIAŁ XI.

**Jakim sposobem błędne poglądy na historję sfałszowały sąd o chwili obecnej. Dlaczego liberalizm wyparł się swobody.**

Gdy odczytujemy dzieła liberalizmu francuzkiego, trudno nam pojąć, iż tak prędko zasad swych się wyrzeka. Kilka lat wystarczyło, aby przeszedł od wolności do absolutyzmu, od filozofii do jezuityzmu. Czyżby szczeroci brakło jego autorom? Jakże mogli tak łatwo stracić przywiązanie do swych sławnych odkryć? Jak ich w dniu jednym do systemów przeciwnych nawrócić zdołano? Pragnąłbym wierzyć, iż interes namiętność, wyróżniające się położenie, bojaźń nade wszystko, kazały im idee własne uznać za czcze widma.

Tymczasem upadek moralny nie jest dostatecznym do wykładu tak bezwarunkowej negacyi tego, co sami kiedyś wiedzą nazywali. Potrzeba odszukać inny powód tego zaparcia się, i zaczynam myśleć, że liberalizm francuzki nosił w sobie samym przyczynę wszystkich swych odstępstw. Oto główna przyczyna.

Jako wiedza, rehabilitował on (liberalizm) pod imieniem rzymskiej tradycyi, cesarstwo wschodnie. Wyno-

sił pod niebiosa ducha bizantyńskiego, nie bacząc iż ten wytwarzał właściwy sobie cezaryzm. Nigdy nie chciał uznać, że monarchia francuzka była tylko przedłużeniem samowładztwa bizantyńskiego. Pojmował on historię, jako kronikę, erudycję raczej niż historię. W filozofii doszedł do fatalizmu mechanicznego. Na takiej drodze musiał się rozbić w końcu i zniknąć. Ponieważ nas porzucił, szukajmy sobie innej, stalszej podstawy.

Pozostawił nam dłonie próżne; szukajmy przedmiotu, który nam już z rąk się nie ulotni. A gdzież znajdziemy coś podobnego, jeśli nie w ściślejszym związku nauk przyrodzonych z moralnemi i dziejowemi? Poprzednicy nasi porzucili swe dzieło, zaparli się go, bo je pisali na piasku. Wyrzeźbijmy nasze na gruncie wspólnym wszystkim żyjącym istotom. Tam powinno się znaleźć *Novum organum*, którego jeszcze szukamy.

Możecie już widzieć, jak był błędny system francuzkiego doktrynerskiego liberalizmu o starożytnych dziejach Francyi. Szczęśliwy to wypadek, mówili, iż władza nieograniczona utrzymała się tak długo w dawnem królestwie. Despotyzm przygotował wolność. Oto grunt, na jakim się opierają historycy liberalni, grunt, który zbijałem wszędzie, gdzie się tylko z nim zetknął<sup>1)</sup>. Dzisiaj światło winno się wytwarzać u ślepych. Kto dzisiaj nie widzi, że ten absolutyzm sześcio-wiekowy ciąży jeszcze na Francyi żywej, oddziaływa na nią jak magnes, że ciągnie ją ku przeszłości i ka-żdemu jej krokowi przeszkadza? Jakimby sposobem

---

<sup>1)</sup> „Oeuvres completes, t. III. *Philosophie de l'Histoire de France*”.

znieść można tę siłę magnetyczną przeszłości? Najlepsze siły wyczerpują się w tej pracy.

Należy nam unikać tego ślepego popędu, wynikłego z głębi naszej historii. Ztądto się rodzą u nas potworności, gdzieindziej zgoła niewidziane, monomanie despotyzmu pod mianem roztropnej mądrości: kłamstwo niedające się wytłómaczyć, obce wszelkiemu atawizmowi. Odnaleziono sobie niby przodków, przekształcając się w duszę godną patronatu jakiegoś Montluca, czy Bâville'a.

Słowem liberalizm francuzki przyklaskiwał władzy nieograniczonej, na każdej karcie historii starego rządu; powtarzał on do przesytu, że despotyzm jest koniecznym czynnikiem instytucyj liberalnych. Taką była jego dziejowa doktryna. Od chwili, gdy przyszedł do władzy, cóż spełnił? Oto urzeczywistnił swą doktrynę, ustalając — przy pomocy wszelkich środków — władzę absolutną w ognisku i obwodzie. Nie dziwcie się więc już jego odstępstwom; on je nosił w sobie samym, w swych doktrynach o naszej historii.

Zajrzyjcie w głąb tego, co francuz nazywa silną władzą, a znajdziecie tam nieomylnie władzę bizantyjską, taką, jaka się rozlała po żyłach starej Francyi, przez podbój Cezara, przez ducha gallo-romańskiego, przez restauracyę cesarsko-karłowińską, przez prawoznawców średniowiecznych, przez starą królewskość, przez dzieła Ludwika XIV, Napoleona, restauracyę Burbonów, przez władzę osobistą konstytucyjnej monarchii.

Oto dlaczego odkrywamy ze zdumieniem, że liberalizm doktrynerski francuzów nie zawiera w sobie ani jednego atomu wolności. Zdaje mu się, że godzi sta-

rodawną królewskość francuzką z królewskością angielską. Złudzenie!... Bizantynizm nie skojarzy się z anglosaskim duchem. Wyjdźmy więc z Bizancyum. Oto cała treść usiłowań rewolucyi francuzkiej. Sądźcie z tego stanowiska o tych, co jej pozostali wiernymi, i o tych, co ją zdradzają.

Legitymizm, orleanizm, bonapartyzm, to w gruncie jedno i to samo—bizantynizm o trzech głowach. Pragnąłbym, aby historycy podjęli się trudu wykazania nam śladów tradycyi wschodnio-rzymskiego cesarstwa na każdym szczeblu dziejów monarchii francuzkiej.

Istnieje w podstawowej zasadzie bytu plemienia ła-cińskiego tradycya wspólna, która go do pierwszych przodków sprowadza, atawizm samowładczy, cesarski. Przez nią by też plemię to zagięło, gdyby zginać mogło.

Zanim rozstanę się z przedmiotem, rzucę raz jeszcze okiem na przestrzeń, którą przebiegłem.

---

## ROZDZIAŁ XII.

### **Nowa zasada do zastosowania w historii Francji i Europy wogóle.**

Nowa reguła dla historii Francji i Europy wypro-  
wadza się z krótkiego trwania i względnej stałości ro-  
dzin dziejowych. Już powiedziałem wyżej, że istnienie  
ich ograniczone jest do kilku zaledwo wieków. Nie ta  
sama krew płynęła w żyłach klas rządzących w epoce  
Merowingów, Karlowingów i Kapetyngów. Ze zmianą  
rasy, zmieniał się ich fizyologiczny ustrój. Trwałą war-  
stwą społeczeństwa jest tylko lud: z niego to wydzielają  
się ustawicznie wyższe klasy.

Zbadajcie rzeczy zblizka, a ujrzycie, że każdy z wiel-  
kich przewrotów w naszej historii nie jest niczem in-  
nem, jak przybyciem nowych ludzi ze stanowiska mie-  
szania się ras. Ile zmian społecznych, tyle fizyologicz-  
nych rewolucyj.

Włosi w średnich wiekach mieli poczucie tego dzie-  
jowego prawa, gdy określając wynikiłe na swej ziemi  
rewolucye, mawiali: w obecnej chwili nowy lud zajmuje  
miejsce starego. Przyszły historyk nie będzie mógł za-  
niedbywać tego punktu widzenia, podyktowanego przez  
samą naturę. Szlachta frankońska nie jest szlachtą  
krzyżowców, ta zaś ostatnia, szlachtą z epoki Burbo-



nów. Obieg życia w narodzie nie jest potokiem rzecz-  
nym, co do swego ujścia niesie falę porwaną u źródła.

W tym przepływie mieszają się ze sobą bałwany.  
Nie właściwemby było jednym je mianować imieniem;  
różne do tego koryta spływają, różne krzyżują się wo-  
dy. To co było na powierzchni, znikło w głęboko-  
ściach; każda piana błyszczy przez chwilę i ginie. Jest  
tylko masa, która trwa ciągle i odżywia ustawiczne ro-  
dzenie się fal.

# KSIEGA PIĄTA.

## Duch wieku w krytyce literackiej.

---

### ROZDZIAŁ I.

**Teoria wyobraźni. — Jak się tworzy dzieło sztuki. —  
Czy poezya graniczy z szaleństwem.**

Wielka krytyka ślęczy blisko 'od stulecia nad szukaniem kamienia filozoficznego, to jest zbioru pieśni skopiowanych przez Homera. Próżna i błędna pokusa. Porzucić należy tę drogę.

Ducha, którego wprowadzono do krytyki Homera, nie omieszkało też zastosować do wszystkich poematów, których twórcy są nieznanymi. Od początku bieżącego stulecia szukano pieśni ludowych, które miały posłużyć do redakcyi Iliady, Odysei, Nibelungów, poematów o Artusie i Karolu W. Złudzenie to tylko, chimery erudytom właściwe! Jeśli odkryjecie w końcu cykl pieśni Karolowych, okaże się może, iż zawierają w sobie kilka imion nieobcych i Nibelungom; zresztą wszystko tu i tam odmienne.

Bezwarunkowo błędem i bezużytecznym jest wyobrażanie sobie, że poematy pełne życia, są tylko nową redakcją starych ludowych rapsodów. Fałszywy Osyan Makfersona spłodził tego ducha mniemanej krytyki literackiej.

Wyobraźnia stwórcielka inaczej sobie postępuje. Ona nie zszywa całości z kawałków pieśni lirycznych. Może wprawdzie otrzymać drogą tradycyi samo założenie; ale nie zadawalnia się układaniem i redagowaniem: ona tworzy.

Szukajcie pieśni ludowych, któreby Dante przełożył lub skopiował; przebiegniecie niezawodnie całą wieczność i nie spotkacie się z tym cudem. Taką ideą przewodnią kierować się może erudyta, nigdy wynalazca.

Nie pojmujemy już imaginacyi, jako potęgi twórczej. Wyobrażamy sobie, że potrzebuje ona dokumentów, przekonywających dowodów, zbiorów podręcznych, lub przynajmniej— licznych ułamków pieśni, które dawniej wyśpiewano— aby się miała na czém w pochodzie swoim podpierać.

Błąd! Wszystko to tylko przeszkodzić jej może. Jestto bowiem potęga skrzydlata, która wszystko albo prawie wszystko winna samej sobie.

Czegóż jej potrzeba, aby mogła utworzyć świat? Potrzeba jej tylko często jakiegoś imienia, jakiegoś nieznacznego zawiązku, niewidzialnej komórki— ona z niej wszechświat wyprowadzi. Owe wielkie poematy, którym chcecie różnych dostarczyć podpórek— Iliada, Odysea, Prace i Dnie, Pieśń o Rolandzie, Nibelungi, Poematy o Karolu W., o Okrągłym Stole— są to dzieła natchnienia; ich piękność polega na tem, że powstały

bez wzorów, bez modeli. Im mniej naśladowa, tem bardziej są natchnione. Najbogatsze nie mają na swej drodze poprzedników. Ten wszystko przekreśla, wynaturza, kto w tych swobodnych kreacyach nie widzi nic — ponad uporządkowanie poprzednich odpisów. Poeta, gdy zostaje redaktorem, przestaje tworzyć. Nie jest już wieszczem, jest co najwyżej profesorem. Krytyka Wolfa i dzisiejszych tegoż pokroju arystarchów opiera się na błędnem pojęciu o władzy tworzenia. Umysł ludzki całą siłą wywody podobne zbija.

Nie dziwiłbym się, gdyby pierwszym atomem *Boskiej Komedyi* Dantego był w zarodku jakiś szkic Giotta, jakaś pamiątka po Beatryksie; bo z taką małą pomocą imaginacya wytwarza światy.

Wiemy, czego potrzebował Szekspir, aby stworzyć *Króla Leara*. Kilka zaledwo wierszy w kronice, i oto poemat już gotów. To samo powiedzieć można o *Hamlecie*. Z jednego słowa Plutarcha rozwija się cała tragedia — *Śmierć Cezara*.

Homer i Hezyod nie potrzebowali więcej niż Szekspir materyałów. Każdy sprawdzić może na sobie samym, że im bardziej na gotowych szczegółach mu zbywa, tem inwencya jest potężniejszą.

Przy braku osób i rzeczy ukochanych — wyobraźnia pracuje najsilniej. Obecność ich uspokaja ją i powściąga. Czegoś podobnego doświadcza i poeta. Kto z poetów zbiera skrzętnie wszystkie objaśnienia, mające związek z jego przedmiotem, ten może być pewnym, że skończy na zimnej kompozycyi.

Jeśli *Iliada* zdradza gdzie małą twórczość, to zapewne w wyliczaniu statków wodnych, to jest tam gdzie była największa obfitość materyałów.

Wyobraźnia daną jest człowiekowi na to, aby mu zastępowała rzeczywistość. Gdzie rzeczywistość jest bujną, tam zaciemnia się wyobraźnia.

Wolf mniema, że należało umieć pisać, aby układać poematy homeryczne o zapadłych czasach. Ja sądzę przeciwnie. Późne wprowadzenie pisma w użycie — oto okoliczność, która wpłynęła na rozwój imaginacji greckiej. Gdzie brak form wyraźnych, brak zakreślonych granic, tam widnokrąg otwarty wszędzie. Ponieważ owe wieki bez pisma — tak długo w Grecji trwały, dlatego siła twórcza miała czas bez przeszkody, swobodnie się rozwinąć.

W owych to czasach narodzili się bogowie, półbogowie, i powstały poematy, których inne są tylko echem.

Jeśli co Iliadzie i Odysei nadaje wyjątkowy charakter przejrzystości i swobody, to właśnie ta okoliczność, że poeta nie jest skrepowany dokumentami piśmiennymi. On tworzy świat dobrowolnie; kształtuje go jak chce; stwarza na swój obraz i podobieństwo; króluje, cieszy się wszechpotęgą na ziemi i w niebie. Rzecz zgoła niemożliwa pod jarzmem pisma.

Imaginacja ma niezmierną władzę rozszerzania: z jednego punktu żyjącego tworzy wszechświat. Wielka poezja pracuje w dziedzinie świata rzeczywistego, ona go przedłuża.

Jakże powstaje wielkie dzieło sztuki? Oto z początku ukazuje się jakiś punkt, imię, mgławki obłoczek; w drugiej chwili — części składowe, organa, charakter, postacie, czyny, epizody.

Wszelka zdrowa kreacja twórczej władzy umysłu jest skróconem powtórzeniem powstawania wszechświata.

Snuć obrazy w zakresie prawdy — znaczy rozumować. Imaginacja bierze udział w każdym odkryciu wiedzy ludzkiej. Uczony, który czego szukał, znajduje, — zaczął nieomylnie od domysłu. Spostrzega on z góry to, czego jeszcze oczy nie widzą. Imaginacja wdziera się nawet w granice nauk matematycznych; gdy źródło jej wysycha, zatrzymuje się i umiejętność w swym pochodzie. Galileusz spostrzega kołyszącą się lampę w kościele katedralnym w Pizie, i to jest początkiem przyszłych badań nad prawami wahadła. Newton widzi w swym ogrodzie jabłko spadające z drzewa i to mu służy za punkt wyjścia w jego teorii przyciągania. Pomysły poety nie potrzebują okazalszych pobudek. Jakieś imię, ruiny, gród zapomniany — oto pierwszy atom poematu, mgławcy obłoczek, który stanie się światem.

Nie wyobrażajcie sobie poety, jako szaleńca z rozczochranemi włosami, który stracił rozum. To obraz retora, nie poety. Wieszcz pracuje w duchu wszechświata: uzupełnia jego kreację, nie przecząc jej zgoła.

W głębi czuje się on spokojnym, bo jest w zgodzie z niebem i ziemią.

Nie sędę nawet, iżby poeci byli, jak sobie ich wyobrażają, tak wzruszeni w chwili tworzenia. Widziałem wielkich poetów najzupełniej spokojnych, zimnych — nawet wśród ognia najpiękniejszych pomysłów ich wyobraźni. Malując szaleństwo, byli pełni trzeźwego rozumu. Ze swej pracowni marzeń wychodzili jak dyplomaci. Gdy się jest w usposobieniu szczerze poetyckiem, najmniejsze wzruszenie wydaje wielki odgłos. Widziałem, jak harfy drżały przy bardzo nieznacznym powiewie.

Przestańcie więc powtarzać, że wielka poezya graniczy z szałem. Przeciwnie, spojrzycie tylko na wszystkich arcywieszczów świata. Jeden tylko Tasso oszalał, choć i do tego przyłożyły się głównie przesładowania, doznane od księcia Ferrary. Poeta uczy się zawczasu kroczyć ku szczytom; oswaja się z otchłaniami. On jak przewodnicy z Białej Góry (Mont-Blanc) igra z przepaścią; nie jemu w niej zginąć. Krytyka niemiecka nie uznając tych praw ducha ludzkiego, dostała zawrotu głowy <sup>1)</sup>, a zawrót ten trwa blisko od wieku. Idzie o to, aby wyjść już raz z jego objęć.

---

<sup>1)</sup> Są to słowa Bunsena. Patrz: *Gott in der Geschichte*.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Główne pytanie krytyki literackiej naszego wieku. — Poematy Homera. — Epopeja wieku brązowego.

Odczytałem dopiero *Iliadę* i *Odyseę*, wymawiając każde słowo dobitnie, wraz z jego wariantami, etymologicznymi wywodami, krytykami wreszcie, zarówno aleksandryjskimi, jak niemieckimi. Wszystko mnie umacnia w tym sądzie, jaki wyraziłem o poematach Homera w r. 1836 <sup>1)</sup>, to jest przed trzydziestu siedmiu laty. Nie, te poematy nie powstały przypadkiem, bez planu, bez głębszego pomysłu, z zachcianki jakiejś rzeczy rapsodystów, z którychby żaden nie powinien nosić odpowiedzialności za swe dzieło.

Wszystko tu zdradza geniusza twórcę, który nada ton, wynalazł formę i porodził ten cudowny plód sztuki greckiej. Nie, to nie bezimienny tłum stworzył go z niczego; lecz osoba, która żyła kiedyś życiem rzeczywistem. Ów twórca nie jest bynajmniej abstrakcją. Tę błędną ideę zostawmy amatorom paradoksów.

---

<sup>1)</sup> Patrz: *Oeuvres complètes* t. IX, str. 269. *Histoire de la Poesie*, Homère.



Cóż to więc jest Iliada? Jestto epepeja z końca wieku brązowego. Wszystko tam jest z miedzi lub spiżu— broń, narzędzia sieczne, pancerze. Ledwo gdzie znajdziecie ostry koniec strzały i topór z żelaza. Iliada niejednokrotnie mówi: że żelazo buntuje się przeciw woli człowieka, że mu kształtu odpowiedniego nadać nie można.

Co jednak skądinąd oznacza w Iliadzie wiek brązowy, to uczucia i namiętności człowieka homerowskiego. Rozpoznaj ten wiek po zaciekłości w bitwie, po owych strasznych ranach i dzikości bohaterów. Ilekroć człowiek spotyka człowieka-cudzoziemca, napada i zabija, aby posiąść jego zbroję. Obedrzyć przeciwnika z przyłbicy spiżowej, kopii i miecza spiżowego— oto cel usiłowań podczas utarczki; nic bowiem nad te przedmioty rzadszego w epoce, gdy żelazo nie zostało jeszcze przetopione z rudy.

Pierwszą rzeczą, jakiej, po broni, człowiek z wieku brązowego pożąda, jest kobieta. On musi porywać niewiasty przez podstęp i gwałt. Oto przyczyna dla której porwanie Heleny, od początku do końca, spoczywa w głębi Iliady. Helena jest przyczyną wojny Trojańskiej. Porwanie Bryzejdy Achillesowi jest dla bohatera przeszkodą do walki; gniew nieublagany, potrzeba zemsty, oto czynniki moralne, bez którychby poemat zgoła istnieć nie mógł. Iluż to zalotników uwija się około jednej Penelopy! Czyż to nie jest także zasada bytu dla ludzi z brązowego wieku?

Czy nie wszędzie toczą się tu zabiegi o kobiety, które mężowie jedni drugim porywają. Łowy takie są we zwyczaju u każdego z ludów; w głębi lasów, pod bagnistemi wioskami— wszędzie pojawia się jakiś Parys

*Sąpnie  
czady  
broń  
kobiet  
Holbr  
Pierw  
Wolw  
Równ  
Pryt  
nieuc*

co porywa Helenę, jakiś Menelaus co uzbraja się, aby ją odzyskać; Bryzejda, której posiadacza zabija jakiś Achilles, otrzymujący ją w darze od swego ludu; potem jakiś Agamemnon porywający swą zdobycz z rąk wydziercy. Każdy zamieszkały kąt ziemi ma swą wojnę Trojańską.

Z tego punktu widzenia mogę wyrzec, że przedmiot Iliady odnaleźć się da wszędzie — w dobie wieku brązowego. Wojna, której kazano trwać lat dziesięć, wypełnia całą epokę.

Na gruncie wieku spiżowego wydziela się inny duch, który zrywa bezwzględnie z pierwszym barbarzyństwem. Nic mię bardziej nie dziwi nad wyliczenie plemion greckich w drugim śpiewie. Czy objaśniacze przejęli się należycie tym przeglądem ludów helleńskich? Co za dokładność! Jaka niemal oficjalna czyistość (przedmiotowość) opisu! Każda gromada, każda okolica oznaczona jakimś rysem odrębnym, który się najzupełniej zgadza z prawdziwymi wiadomościami z dziedziny geografii i etnografii.

Czy to jest dzieło Homera, czy jakiego rapsodysty, wszyscy przyznają, że ów opis plemion greckich odnosi się do epoki dawniejszej niż Olimpiady. Czyżby autor był tylko śpiewakiem ludowym? Wiedza w księdze zawarta jest godną głowy państwa, znającej swych sąsiadów, naturalne granice pokoleń, wzajemny do siebie stosunek gromad ludowych, liczbę okrętów i mężów zbrojnych, jaką każda z nich dostarczyć może.

Porównajcie z tem to, co gdzieindziej, u innych ludów, może rościć pretensyę do miana geografii w poezyi gminnej. Fantazyje, bajki, sny potworne! Tu, przeciwnie, wszystko jest dokładne, obrachowane; dziś

jeszcze opiera się nauka na tej pierwszej wiedzy geograficznej, jaką w sobie zamyka Iliada. Gdy w r. 1790 Zgromadzenie ustawodawcze dzieliło Francję na departamenty, nie oznaczyło ich granic liniami o wiele jaśniejszemi, zgodniejszemi z naturą miejsc, rozkładem rzek i gór, niż to uczynił był Homer, dzieląc na okręgi Helladę i Azyę Mniejszą na początku swego poematu.

Tablica oficjalna, statystyka prawidłowa, kadastr na starożytnym gruncie wieku brązowego — to zjawisko arcyprzedzające.

Jakże tego można było dopiąć? Gdzie ów piewca przedhistoryczny znalazł odpowiednie informacje? Jakże mógł mieć źródła do zredagowania tego *raportu administracyjnego* o rodzącym się świecie greckim?

Nikt z aleksandryjskich i nowoczesnych krytyków nie zadał sobie tego pytania. Co do mnie, więcej daleko mię zadziwia ów Homer statystyk, niż Homer twórca, nawet wtedy, gdy na stopniach Idy sadza bogów i boginie, aby to dostojne grono przypatrywało się ostatniemu bojowi.

### ROZDZIAŁ III.

#### Homer i historia naturalna. — Jego język, słownik i fizjologia.

Za cechę charakterystyczną, która wszystkie inne w sobie zamyka, uważać należy to, że poezja w Homerze dlatego jedynie jest tak wielką, że jest rzeczywistością samą. Szczegół, o którym wiek ósmnasty i Wolter najbardziej zapominali. Nie uznawali oni owej prawdy, owej wieczystej żywotności („*l'éternel vivant*“) kryjącej się pod przezroczystą draperyą poematu. Zdawało im się, że mają tylko do czynienia z samowolnymi urojeniami. Życie a wraz z niem potężny interes, jaki te dzieła budzić mogą, wymykały im się z przed oczu. Dziś, przeciwnie, pomniki te przedstawiają się nam, jako wierny obraz rzeczy i ludzi, którego by poeta na własne oczy nie oglądał. Brał on rzeczywistość i przynosił żywcem do Iliady lub Odysei. Anatomici studyowali rany opisane przez Homera, a dokładność w podziw ich wprawiała.

Mówią, że nie poznał się na obyczajach lwów, każąc monarsze zwierząt samowtór wychodzić na łowy. Toby dowodziło, że lew znikł już podówczas z greckiego terytorium, gdzie poezja w Homerze nigdy ściślej prawdy nie zakłóca. Zkądinąd opisując łuk, powiada, że

był długi na kilka łokci i zrobiony całkowicie z rogu dzikiej kozy. Cóż to za dzika koza, której róg do takich rozmiarów dochodził? Jestto kozieł skalny; żkąd można wnioskować, że gatunek ten żył jeszcze wówczas gromadnie na wyniosłościach Olimpu. Tym sposobem poezya Homera jest, nawet w swych niedokładnościach, uzupełnieniem historii naturalnej.

Człowiek w owej dobie otwiera, zda się po raz pierwszy oczy na światło. On rzecz każdą w zachwycie, niby objawienie, ogarnia: dotyka przedmiotu każdego jakby go dopiero odkrywał, i śledzi wszystkie jego zarysy. Odczuwamy tam, niespodziankę na każdym kroku. Później człowiek przywyknie do widoku ziemi i nieba; przychodzić będzie mimo zjawisk, nie dziwiąc im się zgoła.

Poezya homerowska zamyka w sobie tę pierwszą fazę, gdzie wszystko obudza podziw: bożek, mąż zbroja wóz, naczynie — ten sposób czucia objaśnia dobrze fizjologia homerowska. Ognisko czynności umysłowych jest dla niego nie w mózgu, lecz w piersi i osierdzu. Do tej części ciała ludzkiego odnoszą się uczucia i myśli. Miłość lub nienawiść, wiedza bogów, projekty przeczucia, wszystko to wyrabia się w piersi i okolicy nadbrzuszej. Przez ten to organ ludzie z owej doby odczuwają życie i myśl własną. Głowy swej nie czują, o głowie nie mówią nigdy. Postać homerowska nie mówiłaby, jak w Goethe'm: „Głowa mi się zawraca; głowa mi pęka“.

Nie znali oni uczuć, którychby siedlisko było w głowie („*les sentiments de tete*“); wszystko u nich odnosi się do serca, do wielkiej siły sympatycznej, co dowo-

wodzi, jak niewłaściwym jest nasze godło frenologii, które bierze serce za rozum.

Sposób czucia, cechujący ludzi Homerowskich jest właściwym każdej z epok bohaterskich. Ludzie zaczęli czuć głową dopiero na krańcu swych dróg cywilizacyjnych.

Jestto jeszcze bardziej widoczne przy rozważaniu postaci niewieścich. Wenus z Milo i bezwątpienia Helena, Bryzejda, Andromacha, miały czoła małe, nie tylko dla tego, że szczególnie ten zdawał się być cechą prawdziwej piękności, lecz że życie odczuwano podówczas w regionie serca. W miarę jak mózg się rozwijał, serce traciło na energii.

Powiedzmy słówko o języku Homera. Jeśli zwrócimy uwagę tylko na budowę zdania, jest ona nader prostą, trudno sobie wyobrazić coś przezroczytszego. Zkądinąd owa prostota gimnastyki kojarzy się z niewyczerpanie bogatym słownikiem,

Najmniejszemu przedmiotowi odpowiada cała rodzina imion rozlicznych; jestto mowa techniczna kowala, kołodzieja, majtka, rolnika. Każde narzędzie, rzecz każda ma swe miano ludowe. Niczem tam nie wzgardzono, z tego co oko ogarnia i ręka dotyka; ztąd ów słownik nieporównany, w którym mowa bogów, bohaterów i rzemieślnika, są ściśle z sobą połączone. Składnia nosi znamiona rodzącego się narzecza: zupełny brak przedmiotów; tryb bezokoliczny zastępuje miejsce rozkazującego; a z tem wszystkiem uwydatnia się tam majestat języka wypływającego falami ze źródła głębszej starożytności, nieskończona wielkość i nieskończona małość skojarzone ze sobą w jednej całości wieruszowej. Przedmiot ma zazwyczaj dwa imiona, takie

w mowie bogów, inne w języku ludzkim, a narzeczem bogów nazywa bezwątpienia Homer, ów wyszły z użycia, prastary język, którym już Grecy nie mówią.

Oto co nas uderza z epoki w słowniku pierwszego rozdziału plemion aryjskich.

## ROZDZIAŁ IV.

### **Pierwszy moment poczęcia się Iliady. — Wojna bogów.**

Czy też było kiedy oblężenie Troi? W przededniu ostatnich odkryć skłaniałem się ku wnioskowi, że wojna ta nie jest niczem innym, jak odwieczną walką światła i ciemności, dnia i nocy, walką leżącą w gruncie pierwszych epepei wschodnich. Stopniowo bój ciemności ze światłem przekształciłby się pod natchnieniem greckiego geniuszu, w wojnę Trojan z Acheami. Iskrzące się zastępy dnia obległyby i rozproszyły armię nocy. Zmiana ta nastąpiłaby bezwiednie w imaginacji poety. Podanie religijne przekazałoby mu ideę bitwy zaciętej, odradzającej się z każdym nowym brzaskiem. Zaludni też on to nieokreślone pole boju wizjami bohaterów i wodzów plemienia, godzących wzajemnie na siebie. Gdzie dawni śpiewacy religijni widzieli tylko niezgodę żywiołów, promieniowanie zorzy porannej, gromy burz, tam Homer dostrzega zbroję Achillesa i Hektora, iskrzące się pod światłem słonecznym. Wszystko brzmi dla niego szcękaniem mieczów i kopij. Strzały rzucone przez boga słońca Indrę, stają się prawdziwymi strzałami, zbroszonymi krwią. Rydwany Agni i Waruny przekształcają się w wozy, których turkot rozlega się



po równinie trojańskiej. Iliada więc byłaby tylko mitologią pierwotną Aryan i Rig-Vady, sprowadzoną z wyżyn i przyobleczoną w ciało ludu helleńskiego.

Tak więc zarodkiem poematu byłoby wyobrażenie o jakiejś walce bogów; a ludzie naszych czasów traciliby tylko napróżno trud na szukaniu śladów owego długiego oblężenia, które nie miało nigdy żadnej podstawy rzeczywistej po za sferą obłoków; Troja bowiem to noc oblężona przez światło. Takim jest mniemanie podtrzymywane przez niejednego jeszcze krytyka, i jeśli badać zaczniemy z uwagą, jak tworzą się wielkie dzieła w umyśle ludzkim, do jakiego stopnia pierwszy ich zarodek jest niepochwytnym, jak on da się niekiedy sprowadzić do atomu, do pierwszej komórki duchowej, częstokroć do jednego jakiego wyrazu, to doprawdy nie będziemy uważać za niedorzeczną tej myśli, iż olbrzymia Iliada zamykała początkowo w swej pierwszej komórce organicznej — pojęcie wojny bogów w zaraniu świata greckiego.

Złudzenie poety nie zrządzi zgoła ujmy opartej na rzeczywistości tkaninie poematu. Zgromadzi on wszystkie rzeczywiste epizody z owej wojny powszechnej, jaką człowiek wydał człowiekowi pod epokę wieku brązowego. Grunt będzie iluzyjny, szczegóły prawdziwe.

Czyż nie w ten sposób w perskiej *Sachnâneh* bohaterowie mieszają się z bóstwami naturalnemi Rig-Vedy? Czyż inaczej powstały *Nibelunghi*? Poemat ten odtwarza z całą ścisłością obyczaje feudalne na tle wyobraźniowem, które przeszedłszy cały łańcuch przekształceń, ginie gdzieś w teogonii pierwotnej Germanów skandynawskich. Podobnie pomysł Homerowy miałby za źródło pierwotną mitologię plemienia aryjskiego.

Sądę, iż dostrzegam pierwszy moment pomysłu Iliady, moment, który streszcza w zarodzie wszystkie inne. Wieszczy ujrzał zrazu wojnę bogów, spoczywającą na dnie wszystkich pierwotnych tradycji Wschodu. Oto wątek, na którym narysował całe dzieło. Z początku bogowie wyzywają się i ścierają ze sobą. Później, na tym pierwszym gruncie ukazują się bohaterowie i ludzie, popchnięci i wrzuceni w wir walki przez bogów.

Idźmy za tą ideą przewodnią: już od pierwszego śpiewu — kłótnia Jowisza z Junoną, pociągnięcie za sobą waśni między ludami. Dwunastu bogów towarzyszy w milczeniu rozpoczęciu tej wojny domowej; już się podzielili na dwa obozy.

Gdy bohaterowie i ludy nużą się, a miłość pokoju zaczyna opanowywać ludzkie serca, nikt inny, tylko bogowie na nowo podżegają do walki. Składają między sobą narady, ożywiają gniew walczących, wymyślają podstępny wojenne, aby uniemożliwić pokój. Bez nich Iliada obumarłaby na samym wstępie; zatrzymałaby się w swym toku. Bóztwa są jej zasadami, jej żywiołem niezbędnym: po stronie trojańczyków: Mars, Apollo, Wenus; po stronie Greków: Pallas i Junona. Jowisz pomiędzy nimi próbuje utrzymać jakąś niejednostajną równowagę. Wielkie zatem wypadki, istne sprężyny ruchu mają swe ognisko w Olimpie albo w obłokach. Tam jest jakby dusza poematu. Spróbujcie znieść to źródło a poemat wyschnie, omdleje straci swą rację bytu.

Moglibyście więc wyprowadzić z Iliady poemat, który wypełniałaby jedynie wojna bogów.

Wulkan kułby broń, a niebianie tymczasem widzieli by przed sobą własną ich posłannicę Niezgodę.

Takim jest obszerny wątek, jaki utkał zrazu poeta

w pierwszym widzeniu swego dzieła. Jestto myśl, która podtrzymywać będzie cały budynek. Gdy tło owe raz już zostało ustalone między Olimpem a Idą, wieszcz narysuje na niem później rozliczne epizody, potyczki, zaludni je bohaterami, postaciami ludzkiemi pokryje. W taki to sposób przedstawiałem sobie długo pierwszy moment stworzenia Iliady w duchu Homera.

Niebawem dowiemy się, co z poglądu tego ocalało wobec najnowszych odkryć.

---

## ROZDZIAŁ V.

### **Czy poematy Homerskie są dziełem wielu rapsodystów?**

Kto przypuszcza, że Iliada była sposobem spadkowym kontynuowaną przez rapsodystów, przypuszcza jednocześnie, że żaden z nich nie pomyślał o owej idei naczelnej, idei twórczej poematu; gdyż żaden z epizodów nie zamyka w sobie ożywiającej całości idei organicznej.

Podług tej hipotezy — epizody spajaneby były z epizodami; ale tego wewnętrznego związku, tego ducha który je do bytu powołał, nie znalazłoby się nigdzie. Byłby to utwór mechaniczny, w którym sztuki i kawałki leżałyby jedne na drugich martwe, bez śladu wewnętrznego życia, a poemat bez życia to ciało bez duszy, rzeka bez źródła, drzewo bez nasienia. Wielkie dzieła ani w duchu ludzkim, ani w naturze w ten sposób się nie tworzą.

Nie, idea twórczyni, która całe dzieło spłodziła, nie powstawała bynajmniej stopniowo w umyśle śpiewaków. Ona wytrysła z głowy jednego jakiegoś poety. Ten, kto ją pomyślał, jest prawdziwym, jedynym Homerem. On w sobie samym nosił początek, środek i koniec, alfę i omegę poematu.

Wielka akcja, jako powiedziałem, odgrywa się w obłokach, jestto wieczna wojna, której końca niewiadać. Oto dia czego Iliada wygląda na niedokończony poemat. Opowiada ona wojnę nietylko bohaterów, ale ale i niebian.

Krytyka schodzi na stopień igraszki tam, gdzie każdy bawi się rozpraszaniem członków Homera. Ten mu odbiera Helenę inny Andromachę. Pozostawiają mu jedynie opisy bitew. Zobowiązałbym się dowieść przy pomocy tej metody, że i Boska komedia jest dziełem wielu rapsodystów. Zostawiłbym Dantemu piekło, posiadał on bowiem ducha grozy; lecz Raj, z jego legendami, mistycyzmem, teologią promienistą, któż nie widzi, rzekłbym iż Dante obcym jest temu dziełu? On tego wszystkiego nie mógł ani pojąć ani wykonać.

Wskazałbym w ten sposób, że jest co najmniej dwu, jeśli nie trzech Dantych w Iliadzie włoskiej.

Potem przeszedłbym do Don Quixote'a. Skonstatowałbym fakt, że pierwsza i druga część poematu mają nawskróś odmienny charakter; pierwsza nosi na sobie cechę lekkiego opisu przygód, druga jest poważną i prawie melancholijną, co naturalnie dałoby mi sposobność wydania na świat dwu Michałów Cervantesów, jak są gwiazdy podwójne, które odkrywa teleskop.

Na tak pięknej drodze, nie zatrzymałbym się w swym pochodzie, za przedmiot badań wziąłbym jeszcze Fausta. Co za związek, powiedziałbym, między pierwszym a drugim Faustem. Jeden nawskróś dramatyczny i realny, drugi od początku do końca symboliczny i aleksandryjski. Rzecz widoczna, że autor pierwszego nie mógł być twórcą drugiego. Jest więc oczywiście dwu Wolfgangów Goetych.

Jeśli się zaś będziecie spierać i zbijać dokonane przezemnie odkrycie, odpowiem wam rozumowaniami waszemi dowodzącemi istnienia dwu, trzech lub dwudziestu Homerów. Będziecie zwyciężeni swą własną metodą.

Lecz nie; nie śmiejmy się w obecności bogów. Wierzmy, iż prawdziwy geniusz ma wiele stron w swej lutni. Jeśli ma pieśń dla Achillesa, ma także dla Andromachy i dla Heleny. W wykopaliskach Troady znaleziono liry... siedmiostronne.

Dla czego chcecie, by prawdziwy Homer mówił tylko o wojnie. Czemu odmawiacie mu możności opiewania innych przedmiotów. Czyż w ruinach Troi znajduje się tylko broń, kościane końce strzał i miecze spiżowe? Odkrywają tam także ozdoby kobiece, naszyjniki z oprawnych w złoto pereł, naczynia złote, srebrne lub bursztynowe, słowem wszystko, co świadczy o zbytowej i bogatej cywilizacji. Dlaczego byście życzyć sobie mieli, aby poeta obcym pozostał dla wytwornych objawów starogreckiej cywilizacji? Rzućcie to błędne stanowisko. Były kontrasty w wieku bohaterskim. Poeta wszystkie je ogarnął. Nie upodobał on sobie mieczów i siekier spiżowych; dał także miejsce naczyniom ze złota i srebra, rżniętym przez rodzących się artystów, wyszłych z Cypru i Egiptu.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### **Dlaczego systemy poglądów na Homera obalały się wzajemnie. — O jedności kompozycji w przedmiocie literackim.**

Ci co przypuszczają istnienie jakiegoś legionu Homerów dla Iliady i również dla Odyssei, mówią o tem doprawdy zanadto dowolnie. Gdzież oni kiedykolwiek widzieli naturę tak hojną, tak zasobną w ludzi geniuszu. Potrzeba by na to było jednostek o równej potędze; w przeciwnym razie po średniej rapsody nastąpiłaby mierna, po miernej jeszcze gorsza. Czyż nie wiecie jak jałowem jest naśladownictwo. Czemże by był ów tłum naśladowców, stosujących się do pierwszego wzoru? Jakże by oni uniknąć mogli niezłomnego prawa, które chce, by kopia niższą była od oryginału. Zamiast rość, poemat w swym pochodzie ustawicznie by się zniżał, w miarę jak uczniowie podszywaliby się pod mistrza. Ujrzanoby nieokreśloną kolej wzniesień i upadków. Tak więc po stopniach coraz bardziej nierównego naśladownictwa dzieło upadałoby na każdym kroku, aż w końcu jak płaz by się czołgało. Czyż taki jest pochód rozwoju owych boskich poematów?

Nie czujecie, że przeciwnie, są one podtrzymywane przez jakieś natchnienie, które im nie pozwala słabnąć

i upadać? Natchnienie to, zawsze edno, jest duchem twórczym, który je począł w myśli o bogach.

Systematy krytyk Niemców nad Homerem obalają się jedne przez drugie. Jestto coś gorszego niż walka przy trupie Patrokla. Wyobraźcież sobie poemat przerabiany w długim ciągu pokoleń przez wszystkich następujących po sobie wierszopisów? Rasyna przerobionego przez Pradona, Pradona przez Chapelain'a.

Czyż mam to przyjąć za genetyczną metodę, wykładającą arcydzieła ducha ludzkiego?

Wszędzie, gdzie tylko jest różnaitość w tonie dzieła, należy, powiadają oni, przypuszczać wielość autorów<sup>1)</sup>.

Ztąd ile odcieni, tyle różnych poetów. Na ten rachunek nie będzie mi bardzo trudno dowieść, że jest dwudziestu autorów w Kornelu; zgodzicie się też łatwo na trzydziestu dla Rasyna; ale dla Woltera żądam ich dziewięćdziesięciu pięciu. I te piękne rezultaty czcić muszę pod mianem wiedzy niemieckiej!

Ostatni komentator Homera proponuje nam ogołocić Iliadę ze wszystkich dodatków, jakie mniema, iż w niej odkrył. Pozostałoby nam kilka ułamków, trzydzieści stronic, które krytyk gotów uznać za godne przechowania. On sam zrobiłby nam, stosownie do swego upodobania, odpowiedni wybór z tych fragmentów, Używalibyśmy wtedy, powiada, prawdziwej rokoszy artystycznej. Dzisiaj ludzimy się fałszywym Homerem.

Ale w jakito sposób fałsz zajął miejsce prawdy? Dodatki owe jak nas zapewniają, były już zrobione przy schyłku dziewiętnastego wieku przed Chr. Zaledwo

---

<sup>1)</sup> Th. Bergh, *Griechische Litteratur-Geschichte*, Berlin 1872.



Homer ukończył swą Iliadę, inna jakaś Iliada pojawiła się na jej miejscu. Tak więc Grecy zezwoliliby na to, aby ich pozbawiono poety w przeciągu lat niewiele i aniby zaprotestowali, ani spostrzegli braku. Rzecz mała zastąpiłaby wielką, mierna świetną, może jeszcze za życia Homera, a w każdym razie przed początkiem Olimpiad, i nikt nie uczułby różnicy, zanim by jej Niemcy nie objawili.

Homer byłby zastąpiony przez młodych amatorów, dyletantów, przez Kunstgenossen. Ci amatorzy zaćmiłoby starego wieszczą przed oczyma Grecyi. Podłożyliby swą kopię za oryginał, zburzyliby organizm Iliady i Odysei; a Grecya tymczasem, zamykając oczy i uszy, zapominając o tem co stanowiło pamięciowy jej zasób, wzięłaby ołów za złoto, kontynuatora za wynalazcę, kopię za wzór! Uwierzy w to, kto zechce.

Co do mnie, trzymam się w tym względzie zdania La Bruyere'a: „Zgubnem jest zawsze pracę cudzą dalej prowadzić.“

Nie uwierzę, iżby Grecya, owa mistrzyni we wszelkiego rodzaju sztukach pięknych, a głównie w poezyi nie zaprowadziła żadnego rozróżnienia w dziedzinie poezyi, tak iżby pierwszy lepszy wersyfikator był dla niej drugim Homerem.

Zkądną nie zaprzeczam, że są tam ustępy nierównej wartości, że np. zakończenie Odysei zdradza jakoby wyczerpanie sił, na podobieństwo wielkiej rzeki, co w piaskach ginie. Ale czyżto dowód, że zakończenie Odysei jest dziełem miernot (*les gens médiocres*), które się podszyły pod imię Homera? Nierówność natchnienia jest udziałem największych poetów. Żądać,

aby każdy z nich zostawał zawsze na jednej wysokości, jestto nieznac natury ludzkiej.

Chciałem raz zrobić pewne doświadczenie nad Homerem. Wziąłem ostatnią pieśń Odysei, którą Niemcy współcześni odrzucają, jako utwór ucznia, zgola ich badań niegodny i dałem ją poprostu do odczytania osobie obcej systemom, w których toną erudyci. Po chwili oddaje mi ona w milczeniu książkę z oczyma łez pełnymi. Oto odpowiedź natury.

Gdzież-to i kiedy wywoływane były podobne skutki przez dyletantów i fałszerzy?

Kaprys, arbitralność w przedmiocie krytyki dalej zejść już nie mogą. Blizko od wieku krytyka niemiecka nad Homerem wyczerpywała się, nie osiągnawszy żadnego celu. Czas już obrać inną drogę. Nie oddzielajcie nadewszystko poety od warunków wszelkiej poezyi.

Ci, co rozłożyli Homera na sztuki, upierać się mogli przy tych poglądach tylko o tyle, o ile nie zastanowili się nad warunkami duchowego płodzenia w człowieku.

Kawałkowanie, rozpraszenie, bynajmniej nie wskazują sposobu, w jaki tworzą się arcydzieła. Wszystkie one powstały z ześrodkowania jakiegoś świata w jednym duchu, w jednej osobie.

Powiadają, że są w Rosyi orkiestry, gdzie każdy muzykus wykonywa jedną tylko nutę. Jestto właśnie system, który zastosowano do Homera. Subtelna to zaiste, ale barbarzyńska erudycja.

Dowody, stawiane przeciw staremu Homerowi, jakim go poznaliśmy, są wszystkie natury zewnętrznej; nieznanostwo pisma główną tu odegrywa rolę. Czemże

są te motywa w porównaniu z przyczynami wewnętrznymi, wyprowadzonymi z samej natury ducha twórczego w człowieku?

Najpierwszy warunek wielkiego dzieła w ten sposób da się określić. Obszerny poemat pozwala się domyślać istnienia skupionej siły umysłowej, która się zogniskowuje w duszy poety. Jeśli ta siła, zamiast się ześrodkowywać, ulega podziałowi, wtedy się rozprasza. Gdy błyskawiczne światło nie zapłonie, cud powstać nie może. Oto idee, rozwiązujące kwestyę; są to właśnie te, o których nikt nie mówi.

Cud geniuszu poetyckiego spełnia się przez nieprzerwaną czynność od myśli do myśli, od obrazu do obrazu. Gdy w ten sposób drzewo Arani trze ciągle o drzewo, ogień nieśmiertelny roznieci się by nigdy nie zgasnąć.

Siła się nie zużywa, siła z siłą się łączy. Każda pieśń jest niby nowym popędem, porywającym pieśniarza. Fala popycha falę, poemat prze i unosi poetę. Zjawisko niemożliwe, gdyby dzieło należało do różnych autorów, nie byłoby owej ciągłości, owego nieprzerwanego następstwa w potędze twórcy.

Siła krocząc, osłabłaby stopniowo przy każdym następnym śpiewie. Lecz jak pojąć, że dzieła takie są ożywione przy końcu tem samym co na początku tchnieniem? Pochodzi to ztąd, że umysł wynalazcy, rośnie, wzbogaca się, wzmacnia przez własne swe dzieło. Przypuśćcie teraz współpracownictwo wielu rapsodystów: Siła jednego nie służy już drugiemu. Bieg życia co krok się przerywa. Będą to początki nieustanne, zawiązki które się nie rozwijają, popędy, które się nie udziela.

Jakbyście też sobie wytłómaczyli, że w ostatnich pieśniach Iliady, Odysei lub Boskiej Komedyi, ko-

niec jeśli nie wyższy, to w każdym razie równy jest początkowi.

Jeszcze raz powtarzam, pojąć tego inaczej niepodobna jak przez to, że siłą pierwsza zatraconą nie została, że od pieśni do pieśni skupiała się, zapalała w umyśle poety; że on sam z dzieła swego korzystał; że rósł przez swe dzieło, że ono go niosło, podtrzymywało aż do kresu. Istne to kiełkowanie, które corocznie dotwarza nowy krąg roślinny do pnia drzewa świętego. Byłoby to niemożliwem, gdyby nie szło o indywidualum, o człowieka, lub roślinę.

Wielkie dzieła umysłu ludzkiego dokonywają się na zasadzie tych samych praw, co dzieła natury.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### Porównanie nastroju Iliady z nastrojem Odysei. — O darze żel.

Mówią, że Iliada i Odysea nie mają nic ze sobą wspólnego; że nie należą do jednej rodziny, że nie mogą być płodem jednego autora. A ja bym się zapytał, kto przemawiać będzie pod imieniem Penelopy, Nauzyki i Arety, jeśli nie ten, co kazał się odzywać Andromasze i Helenie? Kto utworzy ów dramatyczny ustęp o zalotnikach, przesytych strzałami Ulissesa, jeśli nie ten, co opiewał walki w Iliadzie? Oba poematy, dalekie od tego, aby były sobie obcemi, spotykają się we wspólnych tonach i w jedną formę wchodzą. Nie dziwiłbym się bynajmniej, gdybym spotkał Nauzykę w Iliadzie a Helenę w Odysei. Dusze bohaterów Iliady zjawiają się znów w stanie łagodniejszym wśród Hadesu, gdzie je odszukuje Ulisses.

Iliada i Odysea, że użyjemy języka geologów, należą do jednego pokładu: ta sama epoka, te same gatunki, ten sam wiek brązowy. Bogowie tu i tam sami zaledwo znają żelazo, Topór, który Kalipso daje Ulissesowi, jest toporem spiżowym, żelazo nie wchodzi bynajmniej do budowy jego okrętu.

Znajduję także [wspólny temperament fizyologiczny w autorze Iliady i w autorze Odysei.

Jakto? U jednego i u drugiego, wielkie wzruszenia gniew, boleść, złość, radość kończą się na łzach. W Iliadzie Achilles, siedząc nad brzegiem morza, ów straszny Achilles płacze z gniewu. Diomedes płacze ze złości, że upuścił bicz. W Odysei mądry Ulisses płacze ze wzruszenia, słuchając opowieści Demodokusa. Atrydowie sami płaczą w Hadesie. Boginie także, nereidy płaczą. Konie Patroklesowe łzy leją. Już nie mówię o Andromasze, Helenie i Penelopie. Wszystkie one mają równą obfitość łez. „Jak śniegi nagromadzone, przez Eurosa na grzbietach gór, topnieją za podmuchem zefiru, a rzeki napełniają się i wylewają, tak zalane są łzami piękne lica tej, co oplakuje swego małżonka, przy niej siedzącego?

Zkądby pochodziło to niewysychające źródło łez boskich, jeśli nie z temperamentu poety? Ważny powód, który wraz z wielu innymi pozwala myśleć, iż Iliada i Odysea są członkami jednej rodziny, dziećmi jednego ojca. Nienależy bowiem sądzić, że ów dar łez, owa skłonność do narzekania<sup>1)</sup> stanowią właściwość wszystkich poetów greckich. Hezyod, Pindar, Sofokles nie znają nic podobnego. Owa obfitość łez to charakterystyczne znamię Homera. Oznacza ona jego szczególny temperament. Między wszystkimi geniuszami Grecyi poznaję go po łzach, jakie umie wywoływać z oczu ludzi wieku brązowego. Gdyby mi przyszło mieć u siebie jedną tylko książkę, wybrałbym

---

<sup>1)</sup> ἔμερος ὄπτο γόοιο. Od. XVI, 215.

Odyseę. Tam jest ludzkość cała. Nigdy niebo nie zbliżyło się tak do ziemi, nigdy bogowie nie harmonizowali bardziej z ludźmi. Poemat łzami boskimi skropiony, nad brzegiem morza Jońskiego snuty, na wybrzeżu pomorskim odczytać trzeba. Szum bałwanów miesza się z głosem poety. Jego heksametry płyną jak fale uwieńczone pianą. Oto prawdziwy komentarz do Odysei.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### **Metoda naturalistów zastosowana do kwestyi czasu, w którym żył Homer i Hezyod.**

Wprowadźcie metodę przyrodników do krytyki literackiej, a wiele pytań nierozwiązalnych rozjaśni się nagle; do takich należy kwestya epoki Homera i epoki Hezyoda.

Czy byli oni współczesnymi, jeśli zaś nie byli, który z nich bardziej starożytny?

Kwestya ta różniła dwu wielkich krytyków, takich jak Justus Lipsius i Salmasius (Saumaise); rozwiąże się ona sama przez się, skoro zastosujemy do niej nowe metody o różnicy epok odznaczonych przez używanie kamienia i metali.

W jaki sposób zauważono, że między Homerem a Hezyodem zachodzi chronologiczna różnica wieku brązowego i wieku żelaznego? Nie tylko uczucia uległy zmianie, ale i rzeczy. Bohaterowie wojny Trojańskiej są dla Hezyoda ludźmi z wieku brązowego. „Teraz — powiada mówiąc o swym czasie — jest wiek żelazny.“ A nie jest to bynajmniej poetyczne tylko wyrażenie. Oznaczono, iż żelazo zastąpiło bronz — w zbroi, w narzędziach, statkach wszelkiego rodzaju, kosach, sierpach, siekierach. Wszędzie mowa o żelazie w Pra-



cach i Dniach Hezyoda. Autor Tarczy Herkulesa, którą przypisują Hezyodowi, zawiesza miecz żelazny na ramionach Herkulesa. Tensam szczególnie wskazałby już dobę odmienną od epoki Homera, dla którego wszystkie miecze, zarówno w Iliadzie jak Odysei, są kute ze spiżu.

Byłoby aż nazbyt co mówić o wieku złotym, srebrnym, brązowym i żelaznym, jakimi je sobie wyobrażali starożytni. Ale ograniczę się na jednym tylko szczególe. Achilles w Iliadzie zalicza do rzędu bogactw i pod względem ceny stawia na równi z powabnemi o pięknej figurze kobietami—gruby kawałek szarego żelaza. Gdzieindziej obiecuje zwycięzcy, jako wielką nagrodę, tarczę z żelaza nieogładzonego.

Hezyod dla siedmiu wodzów tunetańskich i dla wojny pod Troją naznacza schyłek wieku brązowego. „Bodajby niebo zrządziło, dodaje, abym nie żył w piątym wieku, lecz albo umarł wcześniej, albo narodził się później.“

Kto wie, czy nie dlatego wiek złoty umieszczono przed innemi, że złoto pierwiej niż inne metale znane było człowiekowi? Rzeki (w owej dobie) wyrzucały cząstki złota; człowiek za czasów Saturna potrzebował się tylko schylić, aby je móżdź zbierać na brzegach Paktolu.

Złoto wyobraża najpierwszą rasę ludzką dlatego, że było najpierwszem z metali, jakie człowiek odkrył.

Zauważcie zkądinąd, jaka się dokonywa zmiana w przejściu od Homera do Hezyoda. Cóż to za ponure doświadczenie rzeczy ludzkich na miejscu szczeroty autora Iliady i Odysei. Ów poeta Askrejski to już niemal mizantrop. Cechuje go jakaś zatwardziałość przed-

wczesna; pojawiają się maksymy pesymistyczne w rodzaju następnego: „Niechaj twarz twoja nie zdradza nigdy tego, co myślisz.“

Wieki upłynęły między podobnemi uwagami a zachwytem Homerowym. Łzy szlachetne oschły, serce się wzmocniło. Wieczór żywota nadszedł: „bo człowiek prędko się starzeje w nieszczęściu.“

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Odkrycie M. Schliemanna na gruncie Troady. — O ile one zaprowadziły zmianę w krytyce nad Homerem.

Czasy nasze były świadkami dwu ważnych odkryć historycznych, z których każde zaczęło się od tego, że je wyszydzano. Jedno, Bouchera de Perthes — o człowieku z wieku kamiennego, drugie Schliemanna — o starożytnościach trojańskich. Pierwsze służy dziś za podstawę nauce, której przedmiotem jest człowiek pierwotny; druga przyobleka w ciało krytykę z czasów homerowskich.

Odkryciu Schliemanna <sup>1)</sup> nie zbywało bynajmniej na tem, co wszystkie wielkie odkrycia charakteryzuje: dała się widzieć wytrwałość pełna zapału u badacza, opozycja szyderska u archeologów z professyi; grunt wywalczany powoli drogą doświadczenia; nakoniec prawda, cierpiana jako paradoks.

Słynne wykopaliska Hissarliku w Troadzie odkryły coś nakształt geologii ludzkiej, złożonej z kilku pokładów plemion, leżących jedno nad drugim: pierwszy

---

<sup>1)</sup> *Antiquités troyennes. Rapports sur les fouilles de Troie*, par le Dr. Henri Schlieman 1874.

pokład na skale pierwotnej, wapiennej — to wiek kamienny; drugi w głębokości dwunastu do siedmiu metrów, na surowej cegle — to wiek miedziany, epoka trojańska; trzeci — Ilion drewniane, epoka narodów, co obaliwszy Troję, zajęły jej miejsce; czwarty pokład — państwo lidyjskie, sztuka helleńska, mury Lizymacha, 750 rok przed Chrystusem. Ostatni ten pokład helleński, pozostałość tysiąca sześćdziesięciu lat, ma tylko dwa metry grubości.

Gdy w ten sposób przecięta góra od szczytu aż do podstawy, odkrywa nam całe miasta piętrzące się bez przerwy jedno na drugich, od wieku kamiennego aż do epoki najświeższej, to niepodobieństwo, aby linia przekopu ziemi nie przeszła przez dobę trojańską.

Schliemann, nie można temu zaprzeczyć, odkrył ognisko wielkiej cywilizacji w Troadzie. Jeśli to nie jest Troja, przypuszczać wypada, iż w odległości dwu mil francuskich od tego miejsca znajdowało się inne wielkie cywilizacyjne ognisko. Dwie stolice sąsiadowałyby ze sobą współcześnie. Jakżeby poeta, co opiewał jedno, nie miał nic wiedzieć o drugiej? Jakżeby mogło być znane starożytności jedno tylko z tych dwu miast? Są to zarówno materyalne jak moralne niepodobieństwa.

Niedowierzajmy, jeśli się podoba, wyobraźni, uniesieniu, bezinteresownej miłości prawdy. Nic nadto lepszego. Ale niedowierzajmy także nieco i naszemu duchowi rutyny, naszej trwożliwości umysłowej.

Oto sterczą przed nami mury. Cztery miasta, piętrzące się jedno na drugim, niby Louvre Henryka II na szczycie wieżyc Filipa Augusta; więcej niż sto tysięcy przedmiotów różnego rodzaju wykopanych i od-

szukanych. Nie zamykajmy dobrowolnie oczu przed światłem. Kamienie te są świadkami wieku miedzianego. Możecież mówić, że one nie mają nic wspólnego z poematami Homera — dlatego iż miasto odgrzebane przed nim istniało? Jak gdyby nie było zadaniem epika opiewać właśnie epokę minioną! Nie zapominajcie więc, że tu idzie o poetę, i że istotą poezyi bohaterkiej jest twórcze przemienianie rzeczy ubiegłych <sup>1)</sup>.

Co ztąd wynika dla krytyki Iliady i Odysei? O ile dokonane niedawno odkrycia, odgrzebane pomniki cywilizacyi, których każdy palcem się dotknąć może, pomagają do wyjścia z labiryntu krytyki niemieckiej? Jakie światło rzucają one na tyle zawiłości, daremnie nagromadzonych?

Przypuszczam chwilowo, że nasz Homer wieku brązowego, ów, któremu przywróciłem postać indywidualną, mógł widzieć kilka szczątków, tych pierwszych Troi (de ces premières Troies). Przypuszczam, iż znalazł na powierzchni ziemi okruchy murów zwapnionych przez płomienie. Niech mi się zdaje, że jestem nim, że kroczę poprzez te Pompeje wieku miedzianego mimo murów i wieżyc, które pogrążone w stwardniałych popiołach noszą na swém czole widoczne ślady pożaru.

Jakiemi myślami mógł go natchnąć widok podobny? Jaki wpływ powinien był wywrzeć na umysł twórczy —

---

<sup>1)</sup> Schliemann robił Francyi bezinteresowną darowiznę ze swego wspaniałego zbioru, stanowiącego jedyne w świecie muzeum. Rząd francuzki odmówił. Kto zechce kiedyś temu wierzyć? Ja sam bym odmówił wiary, gdybym nie był widział własnoręcznego listu dawcy.

sam widok lub tylko echo tych ruin tajemniczych, zasobnych jeszcze w resztki cywilizacji minionych? Błądzi on po mogiłach, gdzie śpią pierwsze Troje. Wszystko doń przemawia; dźwiga on z nicości te zwaliska, odtwarza pałace, widzi okiem ducha — zaciekle boje. Im grubsze były mury, tem więcej czasu było potrzeba, aby je obalić. Dziesięć lat zaledwo starczyło do pokonania obleżonych. Oto pierwszy pomysł o obleżeniu Troi. Lecz nie same bitwy to wszystko działy. Ogień wszędzie pozostawił ślady na grodzie tajemniczym: stopił metale, zwapnił kamienie. I pożar Troi roznieca się w umyśle wieszczka.

Kto rozniecił pożar? Kto zburzył pałace? Jakie ludy? Jacy bohaterowie? Z widzenia o tych zwaliskach rodzi się Iliada i Odysea. Stos olbrzymi owych Troi, piętrzących się jedna na drugiej, płonie w poematach. Między Troją z wieku kamiennego a Troją z wieku brązowego upłynęły gromadą zapomniane stulecia. Homer wyrównał tę przerwę; swym geniuszem ją napełnił.

Złudzenie, powiecie. Ani Homer, ani żaden człowiek z jego czasu nie mógł widzieć na swe oczy starożytnej Troi, ojczyzny Hektora i Pryama. Ona była już pogrzebana pod grubą na sześć metrów warstwą popiołu i zwalonej ziemi. Tego też chcę właśnie. Homer nie widział zwalisk Troi, nie dotknął się ich własnymi rękoma. Bo zresztą na coby mu się to zdało? Wiedział przynajmniej dzięki legendom, że one drzemią pod jego stopami. Spostrzegł może jaką krawędź muru, przeszywającą bok góry. To mu wystarczało. Im mniej widział, tem więcej wynalazł.

Nie robił on rozkopów poprzez warstwy stwardniałego już popiołu drzewnego, który go oddzielał od

trojańskiego grodu. Ale w duchu swym rozkopywał tę ziemię, co wydawała odgłos pod jego krokami. Odbudowywał, czego nie mógł widzieć; odgrzebywał w myśli— wieże, mury, pałace pochowane. Powoływanie do życia zatraconych światów — to zaprawdę zdolność iście poetycka.

A kto wie, czy z pośród tylu dziś odgrzebanych przedmiotów nie podpadały niektóre pod jego oczy? Wazy, zbroje miedziane, zauszniki, naszyjniki, tarcze zębate, wyroby garncarskie, urny, szkielety z miedzianymi przyłbicami na głowie, sprzęty dyorytowe, kopie, topory używane do boju, przepaski, dyademy złote, kubki ze srebra i bursztynu, flety, liry— oto pozostałości i świadkowie wielkiej cywilizacji. Najmniejszy przedmiot, który dla nas jest tylko podniętą ciekawości, stawał się dla niego melodyjnym motywem nieśmiertelnych pieni. Poeta oprował go w ramy swych powieści. Takim sposobem wiek miedzi i spiżu odżywa się całkowicie w wierszach Homerowych.

Z owych grubych wizerunków Pallady o sowej głowie, przedstawianych tłumnie na wazach glinianych,— widzę rodzącą się Pallas-Atenę olimpijską. Ona to wyskoczyła z głowy poety. Czem są owi stoicy blaszek i pereł złoconych, owe przepaski o szerokich końcach do przyozdobienia czoła? Resztkami stroju niewieściego. Helena, Andromacha ubierają się w nie — w imaginacji boskiego piewcy— przechodzą przed nim. Tu ukazuje się krawędź tarczy miedzianej, do połowy zasypanej popiołem. Kto wie, czy ta stara zbroja lub inna jaka podobna nie była pierwszym motywem pieśni o tarczy Achillesa.

Tak więc poematy homerowskie za pierwszą pod-

stawę mają obraz lub pamiątkę zwalisk prawdziwych, rzeczywistych, nie zaś urojonych. Czyż niewiadomo, że widok ruin, a niekiedy jakiegoś ich szczątku — rozdził legendy, szkicowe poematy w umyśle ludów? Homer zebrał, przełożył na język poetyczny, stał się odgłosem tych nieokreślonych legend, któremi brzmią puste mury pierwotnych Troil. Opiewały one o Hissarliku lub Bounarbaschi, wieszcz wyprowadził z nich Iliadę lub Odyseę.

Wychodzimy z dziedziny rzeczy niepewnych, dotykamy się prawdy. Wejdźmy na grunt rzeczywistości, przez bramę Pompei i Herkulanum wieku kamiennego i miedzianego.



## ROZDZIAŁ X.

**Poeta posługuje się małemi rzeczami, aby z nich wielkie utworzyć.**

Troja odszukana za dni naszych jest mniejszą od Troi Homerowej. Jakżeby mogło być inaczej. Nie jest-że zadaniem poety powiększać miejsca i ludzi, gdy mówi nie o współczesnej sobie chwili? Czego nie widział, to do godności bóstwa podnosi. Wszelka gromada staje się narodem; cóż dopiero, gdy idzie o gród święty? Zmierzy on go nie sznurem, lecz pojęciem jakie sobie o nim wyrobi. Odbuduje go — nie z cegieł, ale z ogładzonych kamieni.

Zresztą czyż potrzebował Homer wielkiego miasta, by stworzyć wielki poemat. Jego bohaterowie mieszkają blisko siebie. Jest tylko krok od mieszkania Andromachy, Heleny w górnem mieście do bramy Scejskiej; każdy krzyk dochodzi uszu wszystkich mieszkańców. Achilles i Hektor, biegnąc, potrzykroć okrążają mury. Nie przedmioty więc są wielkie, lecz duch poety. Olbrzymia Iliada obraca się około małego Ilionu.

Doba, gdy Rzym dostarczał najwięcej legend bohaterskich, jest ta, w której był jeszcze *Roma quadrata*, wsią wielką, zamkniętą na pagórku Palatyńskim. W miarę jak się powiększał, historia tłumiała poezycę.

Ponieważ Troja została pogrzebaną, akcja musiała się rozwinąć na zewnątrz miasta. Sceny wewnętrzne rzadko maluje Iliada. Poeta wybiega coprędzej z ciasnego okręgu i odszukuje rozległy widnokrąg, gdzie rzuca swych bohaterów. Ma on gród pod swemi stopami; ale jego oczy prawie zawsze lgną do świata otaczającego, do równiny, gór o przedłużonych płaszczyznach aż po Idę pokrytą śniegami, do wybrzeży, wysp, oceanu bez granic. Śpiewa on na grobie narodu; z tego punktu widzi woddali walkę bogów i ludzi.

Cokolwiekbyśmy zrobili, trudno nam przedstawić sobie Homera inaczej jak pod postacią starca. Wyobraża on bowiem dla nas echo dalekich pamiątek. Opiewa świat, który już nie istnieje! Podziemna Troja przedłuża swój byt w nim, w opowiadaniach jego. Mówi on o tem zapadłym królestwie, jakby je na własne oczy oglądał. Łączy wiek miedziany z wiekiem brązowym <sup>1)</sup>. To nie może być dzieło młodzieńca.

Stulecia ubiegły między zburzeniem Troi a opowiadaniem Homera. Czemuż tu się dziwić? Zaprawdę nie w chwili bólu, namiętności lub działania wielcy poeci swe najpiękniejsze płodzą dzieła. Trzeba, aby uczucia ostygły. Sądźcie, że w głębi ich duszy pozostał tylko

---

<sup>1)</sup> Grecy mają jedno tylko słowo na oznaczenie miedzi i brązu; jak tu uniknąć pomyłki? W Homerze Wulkan mieszka Χαλκός z cyną, robiąc tarczę Achillesa. Χαλκός oznacza tu miedź; ale w iluż to razach znaczenie wyrazu jest niepewne? Wykopaliska Schliemanna nie odkrywają nigdzie brązu — zawsze miedź. Moznaby wnosić, że Troja należy do wieku miedzianego, Homer — do wieku brązowego.

popiół wygasły. Oni nawet sami tak sądzą. Ale godzina przychodzi, w której błyskiem wspomnienia zapalają nanowo zgasłe ognisko; z tego to wspomnienia wytryska poemat. Ból, namiętność stają się rytmem, sztuką, harmonią. Takie są dzieje poematów Homero-  
rowych. Póki walka trwała, nikt nie pomyślał o jej opiewaniu. Ale gdy się nagromadziły popioły, wieszcz nadszedł. On je nanowo zapalił swem tchnieniem. To, co było już tylko gruzami, stało się Iliadą i Odyseą.

---

## ROZDZIAŁ XI.

**Homer na ruinach Troi. — W jaki sposób legenda stała się rzeczywistością. — Wnioski, jakie ztąd można wyprowadzić dla krytyki literackiej w ogólności.**

Dzień błysnął; wytłómaczcie sobie teraz w jaki sposób na gruncie pierwszego podania o wojnie bogów wyrosła myśl o wojnie bohaterów. Świat pierwotny dostarczył poecie greckiemu podstawy do jego poezyi; podstawą tą jest walka bóstw. — Oto idealna, wyobrażniowa strona Iliady.

Nieznanego pochodzenia spalone mury, pełne jeszcze resztek przemysłu ludzkiego, dały obraz rzeczywistości, bez której wyczerpuje się wszelka imaginacya. Oto ludzka i pozytywna strona Iliady. ¶

Epopeja, co bujała dotąd w obłokach, oprzeć się mogła na stałym gruncie. Przyoblekła się w ciało. Co zrazu było wschodnim pomysłem walki światła z ciemnością, to stało się później bojem Achejczyków z Trojanami pod owem świętem Ilium, którego poeta dotknął własnymi rękoma. Oto nowy pomysł poematów Homerowych; odtąd jest on już zupełnym.

Prastara ze swemi grubemi murami Troja rzuca wieszczowi następane kwestye: Czem jestem? Czem bylam? Kto mię wzniosł? Kto zburzył? Iliada, a nastę-

pnie Odysea są odpowiedzią na te zagadki, jakie postawiły ruiny widzialne, ruiny grodu z wieku miedzianego.

Dotąd poemat był tylko podaniem religijnem. Wzienie boskie staje się dotykalmem, legenda przedzierzga się w sztukę. Towarzyszę chwili, w której tradycya ogólna starożytności przeddziejowej zgęszcza się i ustala dokoła wielkiej rzeczywistości.

Jakaś mgłę pełną blasków, pędzą wiatry poprzez całą okolicę. Napotyka ona wreszcie wysoką skałę, dokoła której się zgęszcza, by spaść w postaci deszczu użyźniającego ziemię. W ten sposób wizye wschodnie o walce bogów, niesione poprzez Azyę, napotkały mury trojańskie. Ustaliły się w okręgu prastarego Ilium, i spadły poezją boską na czoło wszech ludów.

Ztąd wniosek ogólny: nie będziemy poszukiwali nadal pieśni celtyckich, frankońskich, włoskich, aby tworzyć sobie z nich grunt do poematów o Artusie, o Karolu, do Nibelungów lub Boskiej Komedyi. Pieśni te, jeśliśmy je znaleźli, nie miałyby, oprócz pewnych imion, nic wspólnego z wielkimi dziełami wieków średnich. Błędna idea zbyt długo zamykała drogę krytyce współczesnej. Pozbądźmy się tych przeszkód; nie traćmy już czasu na próżne oczekiwanie widm literackich. Powróćmy śmiało do rzeczywistości, to jest do nieśmiertelnej podstawy ducha ludzkiego. Nie kuśmy się obrócić w proch tego, co on stworzył. Szukajmy innej dla siebie chwały.

---

# KSIĘGA SZÓSTA.

## Duch wieku w filozofii. — Filozofia rozpaczy.

---

### ROZDZIAŁ I.

#### Metafizyka konająca. — Czy stworzenie jest błędem Stwórcy?

Co się stało z filozofią niemiecką? Gdzież jest ona? Do jakiego doszła rozwiązania? Oto, czego pragnę poszukiwać w tych chwilach burzliwych w których żyjemy. Znajdę tu może niejaki światło wśród niepewności czasu teraźniejszego. Jeśli to prawda, żeśmy wrócili do zamętu, do kogo się mam udać po radę, aby wyjść z chaosu? Zapewne do tych, co się dziś ogłaszają za mistrzów i przewodników rodu ludzkiego. W młodości swej zauważyłem był podobieństwo między dziejami naszych rewolucyj, a historią systematów filozofii niemieckiej. Kant odpowiadał Zgromadzeniu Prawodawczemu, Fichte — Konwencyi, Hegel — Restauracyi. Czy analogie te utrzymują się w systematach dzisiejszych? Czy życie polityczne ciągle jeszcze znajduje swój odblask w metafizyce zareniskiej?

Gdyby tak było, powinienbym się spodziewać spotkania z nadzwyczajnym widmem dumy w tegocześniejszych kreacjach umysłu niemieckiego. Wszystko się Niemcom udało; one są u szczytu swych pragnień. Mają siłę i zwycięstwo. Puchar ich napelił się, nieskończona дума została nasyconą. Gdy doszły do tej wyżyny, pytanie: jakimi myślami, jakimi systematami natchnie ich niesłychana usłużność losu? Myślami radosnemi, powieście, filozofią zachwyty, porywem tryumfu, uczuciem siły nieposkromionej. Oto czego spodziewacie się od metafizyki współczesnej. Mylicie się. Zamiast owej uciechy, cóż napotkałem w nowych systematach, które niewątpliwie zawierają w sobie część duszy niemieckiej? Znalazłem tam jedynie przesyć, niesmak do rzeczy boskich i ludzkich, gorzej jeszcze — odrazę do bytu. Szczególny to zaprawdę tryumf, którego ostatnim wyrazem jest wyznanie: Próżność, wszystko próżność. Oto słowo wieńczące filozofię niemiecką <sup>1)</sup> pośród upojen nowej Germanii.

Nie wypada ani poprzestać na wygłoszeniu tej nieoczekiwanej prawdy. Muszę jej dowieść. Pozwolę tu mówić im samym, filozofom niemieckim, którzy największej dziś używają powagi. Posłuchajcie więc języka filozofii rozpaczki. Będę się tu posługiwać ich własnymi wyrażeniami, wypowiem zaś sąd swój dopiero wtedy, gdy cały system przemknie przed oczyma waszemi.

---

<sup>1)</sup> Patrz: Art. Schopenhauera: *Die Welt als Wille und Vorstellung*. 4-te wyd. — Edw. v. Hartmanna: *Philosophie des Unbewussten*, 1872 r.

Obłuda naszych czasów wydała zadziwiające następstwo. Filozofowie nie śmieją wymówić imienia Boga, tak dalece służyło ono za larwę oszustwa.

Cóż więc uczyni myśliciel, chcący uniknąć wymówienia tego wyrazu. Zamieni go na inny. Nazwie Boga „Nieświadomem“, i zapełni nim cały swój system. Jest to więc pierwszy punkt wyjścia. Imię Boże zbezczeszili za naszych dni bigoci; w celu zrehabilitowania go, należy je przede wszystkim zamilczeć.

Czemże więc jest owo „Nieświadome“? Istota powszechna, niemająca świadomości o tem, co działa. Pozbawiwszy istotę ową imienia, filozof zaprzecza realności jej bytu. Istota istot jest mądrą, ale pozbawioną władzy *chcenia*. Zawsze rządzi lecz pod warunkiem bytu samotnego. Co do człowieka, ten jest tylko zjawieniem, meteorem, czemś w rodzaju tęczy; jego pojęcia są pojęciami tęczy. „Nieświadome“, bawiąc się, wydało to smutne zjawisko.

Jeśli tak jest, jakże sobie wytłómaczymy byt świata? Byt ten — to poprostu klęska powszechna; splodzony on został przez omyłkę, błąd, chwilę szału Stwórcy. Jestto fałszywy krok Stworzyciela.

Pierwiastek nieświadomy pogrążony był w rozkoszy niebytu. Nie miał ani woli, ani myśli. Byłato jego najwyższa szczęśliwość. Dlaczegoż ją porzucił? W chwili nierozumu stan szczęścia bezwiednego nie wystarczał owej istocie. Postanowiła ona objawić się nazewnątrz, działać, myśleć, istnieć lub raczej ukazać się; w tej chwili błędu narodził się świat, to jest boleść, zło i rozpacz.

Gdyby Bóg miał jasną świadomość tego co uczynił, stworzenie świata byłoby okrucieństwem nie do uspra-



wiedliwienia, rozwinięcie wszechświata, szaleństwem bez celu.

Tyle co do pierwszego poczęcia się wszechświata. Ale, powiecie, skoro Bóg poznał własny błąd w zaślepieniu spółdony, dlaczegoż go natychmiast nie naprawił? Dlaczego nie obrócił swej woli przeciw samemu sobie, odrabiając to co popełnił.

O ile nie da się wybaczyć i wytłómaczyć ten najpierwszy akt woli bożej, przez który narodził się wszechświat, o tyle byłoby rzeczą nie do usprawiedliwienia — zaniedbywanie tego dzieła nędzy, wrzecie gdyby była jaka jawna możliwość zniweczenia go bezpośrednio. Obaczmy wkrótce, że celem i przeznaczeniem wszechświata jest przekonać się, iż wola i byt są złem i że potrzeba wspólnej zgody na to, aby się od owego zła oswobodzić, wracając do niebytu.

Ze wszystkich możliwych światów, ten jest najlepszym, powiedział Leibnitz. Dodajmy, iż byłoby daleko lepiej, gdyby żadnego nie było. Pragnąłby należało, aby ani ten świat ani żaden inny nie istniał. To przypuściwszy, wypadnie nam wnioskować, że istnienie świata winno swój początek jakiemuś zboczeniu — nie iżby rozum obrócił się nagle w szaleństwo, ale że rozum pozostawał obcym aktowi stworzenia. Wola sama w pierwiastku bezwiednym działała bez refleksyi. Nie dziwicie się więc, że wszelakie istnienie samo w sobie jest niedorzecznem.

Już Fichte uważał wszechświat za możliwie najgorsze dzieło. Schelling dodawał: kir boleści rozpościera się na całej naturze. Ztąd pochodzi nieuleczalna melancholia wszelkiego bytu, znamię bólu napiętnowane na postaci zwierząt. Kto się kiedy skarżyć będzie na

zwykle przygody życia, jeśli uzna nieszczęście narodzin i oplakany los ogromnej wszystkości (*du Grand Tout*)?

Tak więc w nowej filozofii niemieckiej wstręt do egzystencji, znudzenie się bytem, pociąg do niebytu — oto główna zasada mądrości. Wielką sprawą umysłów jest zagrzebywać się stopniowo i zrzekać złudzeń istnienia, dopóki się nie uzna, iż wszystko jest próżnością. W przeciwnym razie, wśród oczekiwań, stan świata stawać się będzie coraz bardziej godnym politowania. Ztąd można wyprowadzić wniosek, że Bóg mądrze byłby zrobił, dusząc świat przy jego narodzinach.

Ponieważ zaś tego nie uczynił, byłoby słusznem porozumieć się dla przeszkodzenia rozwojowi i zatrzymywania jak można najprędzej życia wszechświata.

Wybierajmy: albo rozum Stwórcy nie brał żadnego udziału w pierwiastkowym akcie, przez który powstał wszechświat, albo mądrość Stwórcy, niezaprzeczona w szczególe, popadła w błąd zasadniczy odnośnie do ogółu (wszechświata). Przeniewierzyła się samej sobie. Aby przeczyć tak świetnym prawdom, trzeba ulegać szczególnym złudzeniom. Obaleniem tych iluzyj zajmujemy się niebawem.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Złudzenia.

Pierwsze ze złudzeń polega na wierze w możliwość szczęścia w życiu ziemskim, nadzieja, która łatwo będzie zniweczona, jeśli dowiedzimy, co bynajmniej nie jest trudnem, że wszystkie skłonności ludzkie zrzadzają nieskończenie więcej trosk aniżeli uciech.

Zacznijmy od miłości. Zbadajmy ją na zimno. Jest ona tylko oszukaństwem i nie liczy się za szczęście. Małżeństwa skojarzone przez wzajemną skłonność, są najnieszczęśliwsze ze wszystkich. Miłość podobna do głodu, i jako głód — jest złem dla jednostki. Ponieważ miłość jest klęską, to z dwu męczarni należy wybrać mniejszą, wykorzenienie popędu płciowego.

Tu nie łatwo mi pojąć, co filozof niemiecki rozumie przez wykorzenienie: czy ma ono być czysto moralne, czy też ma sięgać aż do zniweczenia płci; odsyła nas do św. Mateusza — rozdział XIX, wiersz 11 i 12.

Ciemności te wyjaśniają się słowami, jakie autor cytuje z dzieł filozofa swej szkoły Schopenhauera: „Gdyby rozkosz płciowa nie istniała, mówi ten mistrz nowej filozofii, czyżby każdy nie miał dosyć litości nad przyszlęmi pokoleniami, aby je uchronić od nieszczęścia narodzin? Czyżby każdy nie odmówił wzięcia na siebie

odpowiedzialności za nałożenie na nie z zimną rozważą — ciężaru bytu?

Dzieci zresztą rządzą swym rodzicom więcej trosk niż uciech. Córki na wydaniu, chłopcy, których szaleństwa i długi opłacać trzeba, cóżto za plaga! A jestto wszystko, czego oczekiwać można. Jedynem dobrem, jakie rodzice otrzymują od dzieci jest nadzieja przyszłości. Zaledwo bowiem ludzie poznali, że ich oplakany byt jest tylko iluzją, poczynają zaraz budować Bóg wie jakie nadzieje dla swych dzieci, a później dla wnucząt, przenosząc na innych te chimery, któremi nie mogą się już karmić sami. Tak więc złudzenie zawsze jest złudzeniem. Człowiek nie uczy się niczego ani od człowieka ani od rzeczy.

Czytałem to właśnie, gdy książka z rąk mi wypadła. Tego już zanadto, krzyknąłem. Głos jakiś poważny, nie wiem z kąd on pochodził, dał mi odpowiedź i związał się między nami następny dyalog:

— O! mistrzu, rzekłem, wyrzeczemy się, jeśli każesz, miłości; ale zostaw nam łaskawie przyjaźń.

— Ach tak! mój drogi, śmieję mówić o owem osłabionem szczęściu przyjaźni — na czymże ono polega? Na słabości ludzkiej, która nie mogąc znieść własnych mąk, szuka na chwilę interesującej się nią podstawy. Charaktery silne czyż potrzebują przyjaźni? Bynajmniej. Umieją się bez niej obejść. Przyjaźń polega na dążeniu do wspólnego dobra, na wzajemnem dzieleniu interesów. Gdy te stają się sprzecznymi, piękna przyjaźń rozwiązuje się, ulatnia: szukajcie jej w obłokach.

— Szukać będę szczęścia w towarzyskości.

— Otóż znów inna popędowa potrzeba słabości i mocy indywidualnej. Są zwierzęta żyjące gromadnie;

podobnie i człowiek... Co za przyjemność znajdujesz w tem, aby być zwierzątkiem społecznem, jak pszczoła lub mrówka?

— Pozostaw mi słodycz współczucia.

— Jedyńy sposób wyciągania zeń rozkoszy jest radość z nieszczęścia bliźniego. Przypatrz się gawiedzi. Dla niej współczucie jest rozbestwieniem, łączącym w sobie litość z rozkoszą okrucieństwa.

— Jeśli tak, zrobię panu zwierzenie. Pragnąłbym wkrótce spocząć w dobranem małżeństwie.

— Jużesmy mówili o tej kwestyi. Ponieważ pan jednak nalegasz, powtarzam, że małżeństwa skojarzone przez pieniężny interes lub wzajemną skłonność — po pewnym przeciągu czasu, podobną zupełnie przybierają postać. Zresztą na sto zawartych stadeł, nie ma jednego, któreby było godne zazdrości. Jeśli krzyż wiary małżeńskiej musi być złamany, im wcześniej to nastąpi, tem lepiej... Wiedz, iż ze stanowiska dobrobytu indywidualnego — najlepiej się wcale nie żenić. Jestto punkt widzenia podyktowany przez samą doktrynę.

— Doktorze, nie pozbawisz mię przynajmniej rozkoszy ambicyi.

— Zakosztuj jej. Podobną jest ona do wody morskiej; im więcej się jej pije, tem większe poczuwa się pragnienie.

— Dobrego imienia, reputacyi...

— Zapewne, spytaj się tej głośnej aktorki, którą niedawno wyparła jakaś młodsza artystka.

— A sława — cóż o niej myślisz?

— Nie wiem, doprawdy. Pozwól mi odpowiedzieć powtórzeniem pamiątki, którą przechowuję po jednym z pańskich współziomków, słynnym rzeźbiarzu Da-

neckerze. Będąc w Stuttgardzie udałem się do jego pracowni. Pośród wielu wyszłych z pod jego dłuta marmurów— zatrzymaliśmy się u stóp Aryany siedzącej na panterze.

— To jego arcydzieło. Cóż dalej?

— Gawędziliśmy o malarstwie i rzeźbiarstwie włoskiem. Ach! tak! zawołał w uniesieniu, trzeba było widzieć to wszystko — wprzód nim Włochy zostały odarte ze swych arcydzieł przez... wiesz przecie, o kim chcę mówić... Mój Boże! nie mogę sobie przypomnieć imienia. Któż więc? pytam. Czekał pan, podchwycił uderzając się w czoło! Wiesz, ów generał, co to sprawił, że o nim tyle mówiono!.. Któryż to.

— Eh! ów co to wygrał tyle bitw i przebiegł całą Europę. Widziałem go, gdy przechodził przez Wiedeń... mały człowieczek, z rękami założonemi na grzbiecie... Imię zaczyna się od głoski N.

— Napoleon! zawołałem.

— Tak jest, on.

— I tak, zamknął filozof — wielki rzeźbiarz w epoce jeszcze siły swego geniuszu zapomniał imienia Napoleona. Ośmielże się pan, po tem wszystkim, mówić o sławie.

— Ponieważ sława jest niczem, szukać będę pociechy w religii. Doświadczę niebiańskich rozkoszy w Panu.

— W istocie, to może jest jeszcze najlepsze. Pomyśl tylko, iż do tych uciech mistycznych potrzeba szczególnej zdolności, talentu specjalnego. Czy jesteś nim obdarzony?

Pozwalam sobie mocno o tem wątpić. Wzniesień religijnych nie nabywa się przez naukę, pracę, cierpliwość. Jestto gra z samym sobą, pozwalająca przy-

puszczać jakąś gotową praktykę czyli natchnienie artysty, podobnie jak wszelkie rozkosze wypływające z muzyki lub malarstwa. A zresztą, równie jak wszystkim uciechom — i tym także towarzyszą niewypowiedziane cierpienia. Potrzebne tu więc jest naprzód umartwienie ciała, ukrzyżowanie zmysłów, zanim nałóg i osłabienie fizyczne nie doprowadzą do stanu znośniejszego. Gdy osiągniesz ten szczebel, nie sądź, żeś już wszystko zrobił. Staniesz zaledwo na początku usłanej cierniami drogi. Pozostanie ci pożerający skrupuł, następnie obawa własnej nikczemności, wątpienie o łasce bożej, bojaźń Boga ukrywającego swe wyroki, toczący robak zgryzoty sumienia po dokonaniem przeniewierzeniu się, udręczenie na myśl o Sądzie ostatecznym: oto męki nieskończone, które się wciskają do rajskiej błogości świętych. Tak więc rozkosz i cierpienie ważą się w uczuciu religijnem, i jeśli rozkosz przeważy niespodzianie, jestto jeszcze tylko iluzya. Zkądinąd peryod wiary, jaki był niegdyś w katolicyzmie za wieków średnich, stał się zasadniczo niemożliwym, w skutek powszechnego rozwoju nowożytnej kultury. Obalenie złudzeń religijnych jest niepodobne. Iść więc będziesz, kołyszając się między zwątpieniem a wiarą, aż ockniesz się w stanie rozpaczy. Tyle o błogości niebiańskiej i życiu szczęśliwym. Radzę, szukaj go pan gdzieindziej.

---

### ROZDZIAŁ III.

**Drugi moment złudzenia. — Gdzie szukać szczęścia? —  
Sztuki. — Umiejętności. — Szczęście zagrobowe.**

— Słowa twe są surowe, a mistrz, taki jak pan, ma prawo mówić o wszystkim. Pomimo to, nie wypełniłeś jeszcze we mnie nadziei szczęścia.

— Co rzekłeś, człowieczku?

— Spodziewam się jeszcze być szczęśliwym.

— Po moich wywodach wierzyć jeszcze w szczęście!... Cóż to za ciemnota, Gdzieś się kształcił? We Francji prawdopodobnie?

— Tak.

— Zaraz to odgadłem; ale gdzie myślisz znaleźć szczęście?

— Na ziemi.

— Ach! to istny opór, po tem co ci powiedziałem. A w jaki sposób mniemasz dojść do celu?

— Słuchaj mnie pan z pobłażaniem. Pozostały mi jeszcze dwie czy trzy nadzieje, których mię dotychczas nie pozbawiłeś; przywiązuję się do nich tajemnie bez obrazu jego upodobania.

— A pierwszą z tych nadziei jest co?

— Wyznam to panu: sztuka, lub jak mówicie uczenie: estetyka. Przyznam się że doświadczam niekiedy



prawdziwego zachwytu wobec obrazu, symfonii, poematu, statuy, a nawet choć się to rzadziej zdarza, wobec karty filozofii. Cóż więc to jest mistrzu mistrzów? Czyż to nie znaczy: być szczęśliwym? Czyż to nie jest używanie piękna i dobra zarazem? Wybacz jeśli się mylę.

— Zaprawdę, odrzekłeś lepiej, niż się spodziewałem od francuza. Musiałeś to pewno wyczytać w jednym z traktatów niemieckich, których tak wielką posiadamy ilość. Zgadzam się więc w części na to coś powiedział. Słuchaj jednak uważnie co rzekę.

Najprzód zawstydzę cię zacytowaniem sądu Schopenhauera, który dowiódł, że rozkosz, jakiej doznajemy wobec dzieła sztuki, jest tylko nieobecnością cierpienia. Jeżelibyś więc czytał i pojął tego autora, powinienbyś wiedzieć, że oglądając piękny obraz, posąg, słuchając tercetu masek w *Don Juanie*, nie doświadczasz pozytywnej przyjemności, ale jedynie zawieszenia swych biednych myśli, przerwania owego niesmaku egzystencji, który cię w sposób zgoła naturalny toczy. Zresztą pomyśl, mój przyjacielu, jak mało jest ludzi czułych na piękności sztuki, jak dalece mniejsza liczba takich, co tworzą. Często wreszcie udajemy uczucie, nie czując nic wcale; wyznaj, że sam doświadczyłeś tego na sobie.

Jedynymi momentami w sztuce, pełnymi słodyczy i wartości, są chwile układu i natchnienia. Czy jesteś do tego zdolnym? Rozumie się, że nie. Pomyśl, proszę, o tłumie dyletantów do których bezwzględnie należysz. Ci w sztukach pięknych widzą jedynie bawidełko, podnoszące wartość ich drogiej, małej osoby. Pomyśl o tych nieszczęśliwych dziewczętach, które się poświęcają nauczaniu muzyki. Słuchaj dźwięków nie-

szczęśliwego, nielitościwego pianina, owych sztuczek salonowych. co pluskają i zgrzytają. Śmieję utrzymywać, że muzyka nie jest dla dziewcząt czystą afektacją, systematycznym wykładem próżności. Wreszcie mój ty lubowniku piękna, czy za nic nie uważasz trudności, jakich doświadczają pragnący używać sztuki, owej fatygi trzymania się w prostej podstawie wśród długich galeryi, gorąca, przeciągów powietrza, ciasno w teatrach i salach koncertowych, trudu, jaki ponosimy chcąc widzieć i słyszeć, nakoniec, jeśli mam rzec wszystko, niebezpieczeństwa przeziębienia się wśród marmurów i posągów muzeum.

— Gdy sztuki braknie, pozostaje mi jedno jeszcze schronienie — wiedza.

— Zapóźno przybywasz. My, niemcy, wszystkośmy już odkryli, pozostała wam tylko dziedzina prostych stosowań. Nie potrzebujemy takich jak ty geniuszów; technika — oto wszystko cośmy ci zostawili. Ale w czymże technika przyłożyć się może do szczęścia? Czy czujesz się szczęśliwym od czasu, jak istnieją drogi żelazne? Jeśli chcesz być rozsądnym, wnioskuje wraz ze mną, że dla mieszkańców ziemi — rozkosz, zawdzięczana sztuce lub nauce, jest zbyt małą rzeczą w porównaniu z przywiązaniem do całego życia biedami.

Ludźmi, którzy mogą używać tych dóbr, są właśnie ci, co najlepiej odczuwają żelazne kolce istnienia. Jednej bowiem rzeczy nie zaprzeczysz, to jest, iż najmniej wrażliwi, indywidua o najbardziej przytępionym systemie nerwowym, ludzie najbardziej obcy artystycznym i myślicielskim rozkoszom, ci są właśnie jednostkami najgodniejszymi zazdrości.

Oto przyczyna, dla której klasy niższe i ludy bar-

barzyńskie są bez porównania szczęśliwsze niż warstwy naczelne i ludy cywilizowane; nie dla tego, iż są biedniejsze, lecz, że są bardziej nieokrzesane i tępe. Widzisz ztąd także, iż zwierzęta są szczęśliwsiemi od ludzi. Wół, nadewszystko wieprz, pędzi życie niemal bez troski, jakby uczęszczał na wykłady Arystotelesa. O ileż koń, zwierzę wyżej już stojące, jest nieszczęśliwsiem od wieprza, a nadewszystko od ryby, której system nerwowy jest tak tępy. Ryba znów jest bardziej nieszczęśliwą niż roślina, roślina nieszczęśliwsza od kamienia — aż nakoniec doszliśmy do stopnia zero poniżej znaku samowiedzy. Tu dopiero, tu jedynie widzimy, jak obraca się w niwecz dolegliwość indywidualna.

Oto, co ci, mój drogi, powiedzieć mogę o szczęściu tego życia. Polega ono na zerze uczucia, na tem, co się najbardziej zbliża do niebytu, do owego ideału, o który się ubiegamy. Stanem tym, byłby może sen, gdyby szpik pacierzowy i gruczoły nie zachowywały jeszcze niejakich śladów ukrytego uczucia i niby ostatniego łaskotania samowiedzy. Zkądinąd po śnie, następuje dolegliwa boleść przebudzenia; to już nieuniknione. Odzyskać poczucie życia, gdy się je straciło; cóż to za nieszczęście! Czy sądzisz, że jaki człowiek może oglądać znów wtedy z radością światło? Co do mnie, nigdy w to nie uwierzę. Czegóż się więc spodziewasz?

— Jeszcze raz — szczęścia.

— Lecz jeśli ono nie istnieje, jeśli zawsze niedole przeważają dobro? Ztąd wynika, że nadzieja jest niedorzecznem zerem, że ona nas oszukuje, by wciągnąć do świata szalonych. Jeśli jest jaki przedmiot nadziei,

to chyba tylko ubieganie się o możliwie najmniejsze nieszczęście. Miłość, próżność, ambicya, sława, religia, ukrywają przed nami różne odcienia nędzy bytowej. Dodajmy do tego, jeśli chcesz, zawiść, zawody, żalobę po przeszłości, żal, nienawiść; rozkosz zemsty, a odtworzymy sobie cały bieg życia ludzkiego. Czyś zadowolony?

— O! mistrzu! nie będę z tobą walczyć na słowa. W miarę jak mówisz, widzę znikający z przed oczu brzeg życia. Zrzekam się, gdy chcesz, wszelkiej na tym świecie nadziei; ale marzenia swoje dalej unoszę. Myślę o przyszłym, zagrobowym życiu.

— Otóż jesteśmy u celu. Oczekiwałem tej konkluzji. Szczęście po śmierci? Taka nicość? To ja też właśnie nazywam w sposób umiejętny drugim momentem (drugą stacyą) złudzenia. Czy wiesz, że żądza nieśmiertelności jestto egoizm dający się bezwątpienia usprawiedliwić, ale ostatecznie jestto wynik miłości własnej albo raczej próżności? Jednostkowość, zarówno ciała jak duszy, jest już na tej ziemi prostym pozorem. Jakżebym chciał, by ten pozór nie rozwiął się w pierwiastku nieświadomym? Zdaje ci się więc, iż rzeczywiście istniejesz, mój przyjacielu? Jesteś tylko grą światła, a światło to nawet omyliło się dając ci istnienie cienia. Czemże mogłaby być, powiedz, szczęśliwość, obiecana w przyszłym życiu? Ponieważ wszechświat jest stanem niewoli, nicość jedyną będzie szczęśliwością. Zwątpij więc raz na zawsze, abyś w tym lub zagrobowym świecie, za życia lub po śmierci, osiągnął szczęście z zachowaniem ukochanej jaźni. Musisz się z niej wyzuć, musisz się zrzec swej maleńkiej

osobistości. Oto na co nie mogli się zdobyć, ani Kant ani Fichte, ani Schelling.

Przerażeni, iż nie czują już ziemi pod swojemi stopami, cofnęli się i odbudowali Boga chrześcijańskiego. Czy pojmujesz mię? Idźmy dalej.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### Trzeci moment złudzenia. — Wiara w postęp. — Samobójstwo.

— Jedną rzecz pojmuję, to jest, iż powinienem szczęśliwość swą założyć na pracy około dobra przyszłych pokoleń. Wszystkie współczesne filozofie uznają zgodnie wiarę w fizyczno-moralny postęp świata i ludzkości. Jestto dogmat, który mi wykładano we francuzkich i niemieckich szkołach. Spocznę na tym stałym gruncie. Przykładając się do ulepszenia mego gatunku, narodu, a może i własnej osoby, to życie, któreś sprowadził do nicości w dwu pierwszych stacyach złudzenia, uznam w końcu za szczęśliwe. Z człowieczka stanę się człowiekiem. Czy nie to chciałeś mi powiedzieć, mistrzu?

— Cudownie. Coraz lepiej. Ze złudzeń w złudzenia, dokąd zatem chcesz zająć po tej drodze? Jesteś już w trzecim momencie, strzeż się. Tak więc wierzę, strzeż się. Tak więc wierzą jeszcze u nas we Francyi w tę starzyznę pomietą, w postęp, przyszłość świata, rozwój i udoskonalenie spraw ludzkich. I tobie się zdaje, żeś jak filozof rozumował. Posłuchaj mię i porzuć te myśli niedorzeczne, które apostoł nowoczesny

Leibnitz rozrzucił niestety po szkołach. Schoppenhauer i ja dowiedliśmy dostatecznie, że optymizm jest stanowiskiem tępym i gminnych umysłów. Wszystkie dobre głowy wyznają dziś pesymizm.

Otwórz oczy na swój mniemany postęp. Czyż ludzkość zniweczyła cierpienie, chorobę, starość, niedostatek, niezadowolenie, zależność woli własnej jednostek od woli obcej? To co zowiesz postępem jest tylko żywszem uczuciem boleści. Przeważna ilość tysięcy trzystu milionów ludności ziemskiej głód cierpi. Czy mniemasz nasycić ich słowami? Im bardziej się oświecają, tem bardziej czują swą niedolę. Kwestya społeczna jest jedynie nabytą samowiedzą nędzy. Przedtem brakło tego samopoznania. Było więcej nędzy, a nie odczuwano jej tak, lub znoszono jako łaskę bożą. Wiadomość przenikła do tłumów, a wraz z nią rozpacz. Oto obraz tego, co nazywasz postępem.

— Świat jednakże staje się lepszym.

— Powiedz, gorszym. Niemoralność jest dziś ta sama co za czasów Kaina, tylko bardziej wyrafinowana. Forma się jedynie zmienia. Obłuda, zdrada, wykrety zajęły miejsce uderzeń maczugi człowieka z wieku kamiennego. Występek porzucił koźle łapy — chodzi w tuzurku.

Czy sądzisz, że nie czułbym się bardziej bezpieczny gdzieś pod lasem pośród starożytnych Teutonów, niż w naszych miastach między dzisiejszymi Teutonami? Gdzież więc jest postęp świata? Czy w sztuce? Helenowie uważaliby nas za barbarzyńców. Polityka? Pusta skorupa. Ideał społeczny? Idzie w nim zawsze o zmniejszenie zła, nigdy zaś o dobro pozytywne. Człowiek ucywilizowany nie czuje się bynajmniej nieszcze-

śliwym, niż był w swym stanie przeddziejowym. Postęp więc ogólny polega na coraz jaśniejszym poznaniu zgromy bytowej.

— Mistrzu, wyniki tve są rozpaczliwe. Zaczyna mi już brakować powietrza. Duszę się w tym ścieśnionym przez ciebie świecie. Dokąd tu uciec, gdzie się skryć?

— Biedny człowieczku, czy mniemasz, że filozofia jest powołaną dostarczyć ci, niby gościniec, szczyptę pociechy i nadziei? Prawdziwa filozofia jest twardą, zimną, nieubłaganą, nieczułą jak kamień.

— A więc powiem, jak rzekł niegdyś uczeń do Sokratesa: „Jeśli niesłusznie wysławiam szczęście, nie wiem już czego żądać od bogów.“ Widzę jeden tylko dla siebie przytułek. Biegnę doń natychmiast. Tego schronienia pozbawić mię już nie możesz.

— Dokąd?

— Zabić się. Żelazo, postronek, wszystko dobrze celowi usłuży. Idę rzucić się w przepaść empedoklesową, czyli mówiąc prościej gotów jestem wyskoczyć przez okno.

— Zaprawdę, nie jesteś wybredny; zdaje się w istocie, że samobójstwo jest koniecznym następstwem naszej filozofii.

— Zabić się przy pomocy żelaza, ognia lub postronka oto pierwsza myśl, jaka się w sposób zgoła naturalny przedstawia uczniom filozofii pierwiastku nieświadomego. Poddać się śmierci głodowej byłoby logiczniejsem. Ale wszystko to jest jeszcze znowu złudzeniem. Chcesz umrzeć z własnej ręki? Chętnie temu wierzę. Samobójstwo to epikureizm przebrany, samolubstwo wyrafinowane. Ten sposób wybawienia swej małej osoby



z kłopotów istnienia jest co prawda bardzo wygodnym. Ale do czego prowadzi? Ostatecznie ubytek ze świata jednego człowieka, cóż znaczy? Nic zgoła. Czy mię już wreszcie pojmujesz?

— Mniemam iż mi się w końcu coś uda: Odjąłeś mi głupią nadzieję wieku złotego w przyszłość. Pójdę więc śladami Jana Jakóba Rousseau: zwrócę się po za siebie w przeszłość najodleglejszą. Szukać będę obrazu szczęścia w pierwiastkowej chwili świata, w dobie jego dzieciństwa.

— Jakto! Powracać dzisiaj do chłopięcych śmieszno-  
stek Roussa? marzyć o szczęśliwym dzieciństwie świata? Nie, nie. Jeśli się zwrócisz w przeszłość, trzeba po tej drodze iść dalej, coraz dalej.

— Dokąd więc?

— Do chwili poprzedzającej stworzenie świata, ukazanie się najmniejszego atomu życia. Sprobuj tylko; zejdz aż tam silnym skokiem, a znajdziesz szczęście. Jak się załatwić z bytem? Oto zagadnienie nowej filozofii niemieckiej. Unicestwić jednostkę, to zaprawdę rzecz zbyt mała. Potrzeba nam „powszechnego, kosmicznego zniweczenia woli, która świat wydała. Idzie tu o to, aby przyspieszać wszelkimi sposobami ostatnią chwilę wszechświata, poczem nie będzie już wcale ani woli ani działalności; ani czasu ani przestrzeni; idzie o to, aby urzeczywistnić jaknajszybciej apokalipsę niebytu.

— Cel zaprawdę szlachetny; zaledwo mogę wierzyć moim uszom. Chcesz unicestwić świat tak, aby po nim nie został żaden szczątek, z którego mógłby się odrodzić. Czyż dobrze pojąłem?

— Tak jest. Najlepiejby było, jak mówi Schopenhauer, aby na ziemi nie pozostawało więcej życia niż

na księżycu. Jestto nasz ideał. Pracujmy wraz z nim dopóki nie zrobimy z naszego globu, powierzchni lodowatej, nagiej, skalistej.

— I w czymże ja mogę się przyłożyć do tego dzieła śmierci? Jak mogę przyczynić się swym słabym udziałem do tej martwoty powszechnej?

— Możesz, jeśli zechcesz, pokrzepiając się codziennie ideał, którą ci wbiłem w pamięć, to jest, że świat został wydany przez coś niedorzecznego, czyli przez wolę, która nie jest na wskrós i szalem i złem. Znając własną nędzę jesteś w możności skrócić w sobie swą wolę, aby popaść po śmierci w indywidualne nicstwo, bez niebezpieczeństwa odrodzenia się. Tak czyn, daj z siebie przykład; znajdziesz naśladowców, i dojdziemy do celu.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Apokalipsa niebytu. — Szczęście w unicestwieniu jednostki i świata.

— Po rozpacz, która się wskutek twych wywodów nagromadziła w umyśle, nie żądam nic lepszego, jak tylko, aby przestać czuć, oddychać, chcieć i myśleć. Ale czy mój słaby współdział wystarczy na zgaszenie życia zwierzęcego i roślinnego, na zatrzymanie jednym palcem mechaniki niebieskiej i stłumienie wszechświata? Nie śmiem sobie podchlebiać.

— Jesteś zbyt skromny. Aby cię zachęcić, pozostaje mi wyrzec ostatnią filozofii praktycznej zasadę do której dotarliśmy właśnie. Tu potrzeba abyś skupił całą niewielką uwagę, na jaką się zdobyć możesz. Hegel mniemał, że celem istnienia wszechświata jest dać duchowi samopoznanie siebie; sądził on, że duch, niby piękny Narcyz, upodobał sobie wieczyste przegłądanie się w naturze i ludzkości. Hegel się mylił. Celem świata jest zmanifestować jawną wyższość niebytu nad bytem, wskutek czego świat cały dąży do unicestwienia się, a Stwórca czyli raczej „pierwiastek nieświadomy“ naprawia swój błąd rzucając napowrót w nicość to, co z niej wyprowadził przez roztargnienie i błąd chwilowy.

— Proszę, mów do mnie jaśniej.

— To właśnie miałem uczynić, by się zastosować do twej umysłowości. Przejdźmy więc od teorii do praktyki. Aby sprawa fizycznego i moralnego unicestwienia świata powiodła się, mówią, iż potrzebne są do tego trzy warunki, których urzeczywistnienie jest blizkie.

Pierwszy wymaga, aby w największej części świata duch ludzki rządził bezudzielnie. W ten bowiem tylko sposób zniweczenie woli może być nałożone na całą naturę, a o to właśnie idzie. Jakoż widzimy, że człowiek, gdziekolwiek jest panem, wszędzie zmniejsza, ogranicza zwierzęta i rośliny. Dzięki postępowi chemii i gospodarstwa rolnego, plemię ludzkie mnoży się na kuli ziemskiej. Ztąd wynika, iż duch i wola człowieka zajmą w końcu miejsce ducha i woli natury. Przyjdzie chwila gdy rodzajowi ludzkiemu dość będzie chcieć by stłumić życie wszechświata.

Drugi warunek zwycięstwa: potrzeba, aby samowiedza rodu ludzkiego przeniknioną była nieszczęściem bytu. Uczucie to stanie się nowym fanatyzmem; bo z czasem pesymizm się rozkrzewi. Dojdzie on do pochłonięcia wszystkich popędów moralnych. Powiedz, czy nie widzisz, że mamy już przed oczyma najwidoczniejsze objawy zgrzybiałości człowieczeństwa? Jestto skąpiec, co z upodobaniem patrzy na szkatułkę, gdzie mniema, iż posiada skarby. Pewnego pięknego poranku otwiera szkatułkę i znajduje ją próżną. Oto ludzkość dzisiejsza. Albo raczej jest ona podobną do starego Edypa z Kolonny, co ślepy i wąty chce się rzucić w przepaść niebytu. Jak każdemu starcowi, nie pozostaje jej wkrótce nic, oprócz żądzы spoczynku, snu

wiecznego bez marzeń. Zbliża się godzina, w której ludzkość pozna nierozum wszystkich swych usiłowań. Ubiegać się tylko będzie o nieobecność cierpienia, za-  
pragnie nihilizmu, nirwany.

Oto, mój przyjacielu nadzieja, która mnie podtrzymuje i którą chętnie dzielę z tobą.

Jest trzeci warunek — całkowicie już prawie spełniony. Patrz na drogi żelazne, na statki parowe, na druty telegraficzne, przeciągnięte poprzez stepy i pustynie. To cię napełnia radością nieskończoną? Tak, spojrzenia twe mi odpowiadają. Ale czy wiesz, z kądem ci się wziął ten zapal bezwiedny? Zaraz ci to powiem. Ztąd, że łatwość komunikacji pozwoli rodowi ludzkiemu przedsięwziąć postanowienie bezwzględne w chwili uroczystej. Będzie od owego momentu możliwym po rozprawie i dla większości umysłów czynnych wchodzących w skład ducha ludzkiego, zająć się, dla osiągnięcia ostatecznego wyniku, stałym projektem unicestwienia woli a wraz z wolą—bytu powszechnego. Ostatni ten punkt zawisł od stanu populacji i od zręcznych zastosowań w jakich będzie umiała spożytkować swe naukowe odkrycia. Dla wyobrażenia sobie tego wyniku ostatecznego, owego zmniejszania świata i środków praktycznych, prowadzących do wielkiego zera, które jest naszym celem najwyższym, możesz swobodnie puścić wodze swej fantazyi.

— Jestto więc twoje ostatnie słowo. Mam szukać w postępkach umiejętności, środków do stłumienia życia wszelkiej istoty, a głównie rodzaju ludzkiego. Jak ty to mistrzu pojmujesz? Czy spodziewasz się udusić ród ludzki jakim nieznanym jeszcze gazem, jak duszą pszczoły w dymie, celem obrania ich z miodu? Czyż

nie byłoby daleko prościej, aby za wspólną zgodą człowiek rzekł się zapładniania podobnych sobie istot? Zginąć bezpotomnie — i oto tajemnica odkryta. Albo może myślisz potęgą swej wymowy, na jakim kongresie powszechnym nakłonić ród ludzki do rzucenia się na wielki stos Sardanapala? Może jeszcze uznasz za rzecz bardziej filozoficzną kazać mu umierać z głodu, po zniszczeniu wszelkiej substancji pokarmowej, roślinnej lub zwierzęcej? Pozwól, mistrzu, czy nie byłoby jeszcze lepiej pograżyć cały gatunek aż do ostatniego człowieka, w potopie utworzonym własnymi rękoma, gdy dzięki postępowi hydrografii, prz przenosisz oceany? Jak widzisz, rozkiełznałeś mą fantazyę. Za twoim przykładem, upajam się tą wielką nicością. Idź, mistrzu, krocę za tobą wielkim krokiem w próżnię. Spocznię dopiero wtedy, gdy na miejscu nieskończonego okręgu niebios postawię wielkie zero. Wtedy nakoniec uszczęśliwię się; mój rachunek będzie skończony.

— Nazbyt się śpieszysz; dajesz tem dowód nieuleczalnej płochości umysłu francuzkiego. Bo przypuszczam, żeśmy się pozbyli tego świata. Jestto już wiele, przyznaje; ale czy wszystko? Niestety, nie. Owszem, tu dopiero zaczyna się dla mnie najbardziej dotkliwy niepokój. Nie znasz zgoła tych cierpień filozoficznych, jakie mię przenikają wtedy nawet, gdy ci się zdaje, że dotarłszy do próżni opiewać możemy zwycięstwo. Wiedz zatem jaka mię troska dręczy. Cóżby było, mój przyjacielu, gdyby życie na nowo się wszczeło? Gdyby te światy zduszone lub zburzone odrodzić się znów miały; gdyby z doskonałej nicości, którą z góry się już rozkoszujemy, wyjść miał zawiązek bytu! Gdyby

słońca zgaszone nowem zapłonęły światłem, czy poj-  
mujesz rozpacz gorszą od tych wszystkich, jakie ci  
ukazałem w trzech pierwszych stacyach złudzenia?  
Gdyby tylko pozostało podobieństwo ukazania się je-  
dnego atomu życia! Dalej, to właśnie trzeba nam z zi-  
mną krwią zbadać. Niebezpieczeństwo bowiem istnieje,  
a winienem obliczyć ściśle wszystkie możliwe zwroty.  
Ani ty, ani żaden człowiek z twego plemienia nie wy-  
obrażał sobie nic zbliżonego do myśli, którą wygłoszę.  
Pomyśl tylko: co by była za korzyść, gdyby ludzkość  
wygasła, bądźto przestając się zapładniać, bądź z innej  
jakiej przyczyny, a biedny wszechświat istniał dalej na  
stronie lub co gorzej, gdyby pierwiastek nieświadomy  
pochwyił pierwszą zdarzoną sposobność do stworzenia  
nowego człowieka, albo też innego jakiego podobnego  
typu?

Przyznasz sam, że byłby to nowy krok, do nowego  
udręczenia wiodący. Otóż podobieństwo to istnieje;  
tak, jest rzeczą możliwą, iż pierwiastek nieświadomy,  
który niczego się z doświadczenia nie uczy, raz jeszcze  
odważy się chcieć, czyli że dzieło świata, powtórzy się,  
odnowi, i to nie tylko raz, lecz często i w jednakowy  
prawie sposób; wola bowiem jest nienasyconą; jestto po-  
tęga nieskończoności.

— Sprawiasz, iż drzę. Tak cię już przyzwyczaiłem  
do nicości.

— Wbij to sobie w głowę, że po fatalnej próbie  
stworzenia, Stwórca niczego się nie nauczył i nic nie  
zapomniał. Będzie zgoła tem, czem był przedtem; nie  
ma bowiem pamięci ani rozwagi.

Długa męka bytu nie poprawi go zgoła; gdyby on  
jeszcze żył w warunkach czasu, byłoby rzeczą niemal

pewną, że popadnie w ten sam krok fałszywy. Ale ponieważ wystawiamy sobie ów pierwiastek, jako istniejący po za czasem śród próżnej wieczności, to w tej próżni nie znajdzie on nic takiego, co by go mogło nastroić do chcenia lub niechcenia. Szanse więc dla bytu i dla niebytu zgoła równe będą. Będziemy mogli postawić jeden przeciw jednemu, że już nie odrobi się świat widzialny, a dla praktyki nie jest to bynajmniej korzyść do pogardzenia. Dodajmy jeszcze, że byleby się wieczność przedłużyła, prawdopodobieństwo nowego stworzenia stanie się tak małym, iż to wystarczy, abyśmy w praktyce wcale go się nie obawiali. Zupełnie tak, jak śród gry w krzyż i herb („w litery i orzełka“) losem odsłania się milion razy. Byłbyś wtedy matematycznie pewnym, zakładając się — na „krzyż“. Uspokój się więc. Pozbądźmy się najprzód istniejącego świata i nie obawiajmy się przyszłego. Stłumimy go w zarodzie.;

— Życzę sobie tego, podobnie jak ty mistrzu. Ale dostaję zawrotu głowy. Takeś mną miotał w przeciągu chwil kilku między bytem a niebytem, że nie wiem gdzie się już znajduję. Wszystko znikło z przed mych oczu, niebo i ziemia: czuвам, czy śpię? Zdaje mi się, że jestem już tylko marzeniem cienia, jak wy-rzekł Pindar.

— Oto zaiste skutek, jaki wydaje ma filozofia. Używaj tej godziny unicestwienia. Mnie ją winienes; przejdzie ona szybko. Lękaj się tylko przebudzenia. Nie widziałem nigdy człowieka budzącego się w dobrym humorze.

---



# KSIEGA SIÓDMA.

## Duch wieku w filozofii. — Odpowiedź na filozofię rozpaczy.

---

### ROZDZIAŁ I.

#### Zwyciężony pociesza zwyciężcę. — Odraza do bytu w Indjach i Judei. — Dlaczego?

Po tej zmorze metafizycznej, której nie umiałbym obliczyć trwania, przebudziłem się sam w takim stanie, jakbym wyszedł z lodowego piekła. Pierwszem mojem uczuciem była jakaś litość bez granic dla tej filozofii rozpaczy. Chciałem odszukać mego doktora. Zapominając zło, jakie mi wyrządził, czułem w sobie moc udzielenia mu pociechy.

Szukałem go dokoła, aby podjąć zerwaną nić dialogu; ale widziałem tylko na stole książkę o pogmatwanych kartach, uczoną we wszelkiej materii, naspikowaną tu i owdzie zrównaniami algebraicznymi, traktującą o pierwiastku nieświadomym ze skrupulatną samowiedzą, groźną a przyciągającą, niby księga magii.

Nie śmiałem jej otworzyć; byłem jeszcze przez nią nawskróś oczarowany. Odnosząc się w duchu do jej autora, którego wyobrażałem sobie ukrytym pod jedną z wypowiedzianych przezeń formuł, czy takie tedy, rzekłem jest ostatnie słowo Germanii? Rozpacz we wszystkim.

O! jakże czasy się zmieniły od owej doby, gdy ja sam, w mych młodych latach, pośród doktorów hejdelberskich pisałem, jakże Niemcy upajały się nadzieją! Sądzono wtedy, że z formułami Schellinga odkrywają się wszystkie tajniki natury. Kasztany na górze hejdelberskiej były całe w kwiatkach. Idąc tam wydeptywałem ścieżki z Kreuzerem, autorem Symboliki, który miał wiarę Proklusa i Plotina. Mówił mi o swej religii piękności, a ruiny uśmiechały się dokoła nas.

Co zaszło od owej chwili? Jesteście zwycięzcami i rozpacz was dusi. Co do mnie, jam jeden ze zwyciężonych; gorzej nawet, bo towarzyszę temu, co jest najbardziej odrażającym na ziemi — tryumfowi hipokryzy; i to ja mam was pocieszać. Zwyciężony ma pocieszać zwyciężcę; — przyznacie, że to dziwne.

Wyznam, że macie olbrzymią nademną przewagę, która już sama radością przeniknąłaby was winna. Mówicie swobodnie; swobodnie — czy rozumiecie to słowo. Możecie mówić wszystko co myślicie; a ja mogę mówić co myślę — tylko pod okiem czarnych nieprzyjaciół, którzy mi już z góry czci pogrzebu odmówili — mnie i tym wszystkim co myślą jak ja. Korzystajcie więc z tej znakomitej przewagi. Rozwijajcie w pokoju swój umysł. Bijcie we wszystkie wrota myśli — bez obawy, iż ktoś nadejdzie, zaniknie wam usta i krzyknie: hola, panowie! Wzmagać swe siły umysłowe, szukać

prawdy z narażeniem się na błąd, kusić się o nowe drogi w niebie i na ziemi, oto istne szczęście, i wy je posiadacie. Nikt wam go nie przeczy. Ja tymczasem nie posiadam nic podobnego. Swoboda myślenia, jeżeli jej używam, poczytaną mi jest za zbrodnię. Gdzie ją ustalić zechcą ci, których wyznaniem wiary jest bezmyślność. Czy pojmujecie tę mękę, dla unysłu urodzonego wolnym jak ja: znajdowanie wszędzie przeszkody, samowoli, mniemanego dobrego smaku, fałszywej przyzwoitości, zniewagi, które myśl tłumią, bo wszelka myśl jest dla nich zgorszeniem?

A więc doświadczam tej męki w mym trybunale sumienia, na każdym kroku, przy każdym westchnieniu. Popadłem w niewolę, i ja to przedsięwzięję was pocieszać.

Mówicie, że natura i świat są tylko złudzeniem i męczarnią. Nie jest to myśl nowa. Pojmuję ją w budyzmie starożytnych Indyj, pośród kast niższych przynięcionych brzemieniem dnia; wszystko powinno je było skłaniać do złorzeczenia życiu. Nie miały najmniejszej nadziei uniknąć ucisku ze strony panów. O! jakże rozumiem wśród tego niewolnictwa bez nadziei — żądę nicości! Tu znajdowały wytchnienie potępione kasty Sudras i Paria, tu się ochładzały z męczarni istnienia, pod długim biczem klas rządzących. Tak, one musiały uczcić nicestwo. Czyniłbym jak one gdybym wierzył w wiecznych ciemnościach. Religia nicości — to naturalny skutek zbytku cierpienia — zarówno duszy jak i ciała. Czy w tym stanie jesteś, doktorze? Człek szczęśliwy, możesz snuć swobodnie nawet niedorzeczne pomysły — i tobie to oskarżać życie!

Pojmuję jeszcze wstręt do bytu i natury w innej

dobie świata, np. wśród biednych mieścin Judei pod epokę narodzin Jezusa Chrystusa. Pod uciskiem i plagą zdzierstwa praktykowanego przez Rzymian, jakie mogło być życie w ruderach z nad jeziora galilejskiego. Ziemia, zajęta przez zdobywców, wymykała się z pod stóp krajowcom. Jakiż widnokrąg myśli otwierał się przed rybakami z Tyberyady? Nędza fizyczna, nędza moralna naokół. Że nabrali niesmaku do ziemi, gdy już nie była ich własnością, cóż w tem dziwnego? Wdzieć na progu przekłętą zaborcę... wy nie jesteście w stanie pojąć tej boleści. Ja ją pojmuję, pojmuję nadewszystko boleść ludu zazdrosnego, nieprzyjaznego wszystkim innym. Ogołociona z narodu albo raczej z plemienia, ziemia musiała się wydać temu ludowi doliną łez. Musiał więc sobie utworzyć religię, polegającą na pogardzie tego wszystkiego, co rzeczywiste i widzialne. Dążył do porzucenia tego świata prób bolesnych, — to naturalny wstęp do ascetyzmu chrześcijańskiego.

Ale wy, Niemcy, jesteście w tym stanie? Czyście utracili swą ojczyznę, narodowość? Czyż ziemia germańska usunęła się z pod stóp niemieckich?

Odraza do istnienia była uczuciem powstałym z biegu spraw dziejowych — u buddystów w Indyach, u żydów, poprzedników Chrystusa. U was uczucie podobne może być tylko igraszką duchową, filozoficzną skargą sybaryty. Zmarszczek listka róży spowodował wydanie tego okrzyku rozpaczliwej metafizycznej.

## ROZDZIAŁ II.

**Zwierzenia. — Doświadczenie na sobie samym. — Czy mię życie zawiodło. — Młodość. — Starość.**

Przypuszczasz jedną tylko chwilę, jeden błysk radości w istnieniu ludzkim — wiek młodzieńczy. Wyświadczasz łaskę kwiatowi młodości, bo trwa on nie dłużej nad moment. Z rozkoszą, powiadasz, spotkać się tu można niespodzianie. Gdy chwila ta minie, wszystkie dalsze epoki życia ludzkiego są nieodwołalnie pastwą zła i rozpaczy. Co się tyczy starości, jak tu wymówić jej imię, jak znosić klęski, które ona ciągnie za sobą? Ona to nadaje życiu prawdziwe znaczenie. A znaczeniem tem są: pustka, ogołocenie, zlorzeczenie. Oto myśl twoja.

Jeśli życie jest tak wielkiem złem, powinienbyś owszem wysławiać, jako wiek szczęścia, tę dobę, w której zaczyna go niedostawać, w której niebyt zbliża i ogłasza się przez swe znaki-zwiastuny, tak wybornie przez ciebie wewnątrz i zewnątrz odkryte. Byłbyś zgodny z samym sobą, czyniąc ze zgrzybiałości chwilę szczęśliwą, o którą powinno się ubiegać wszelkie stworzenie, będące w posiadaniu czerstwej siły bytu. Młodzi ludzie, zamiast pożądać, by przedłużyła się ich młodość, wczoraj urodzeni, zapragną siwizny.

Życzeniem ich będzie, aby budzili się nazajutrz obciążeni wiekiem, pokryci zmarszczkami. Nie będzie już bowiem szło o walkę przeciw działaniu czasu, by wyrządzoną przezeń obrazę naprawić, lecz o odkrycie sposobu zepchnięcia młodych lat ku starości, starości zaś ku zgrzybiałości. Jakże twe doktryny nie licują z doświadczeniem, jakie ja nad życiem czyniłem. Zdziwię cię, oświadczając, że wiekiem, w którym najsilniej cierpiałem, w którym najdotkliwiej czułem brzemień bytu, jedyną dobą, w której pragnąłem śmierci, była młodość. Nie dlatego, iżbym się był znajdował w gorszych, niż ktokolwiek inny, okolicznościach, lecz z powodu, który winien być pojętym przez filozofa. Wiek młodzieńczy był dla mnie gorzkim; bo odczuwałem nazbyt zbliżka granice mego rozumu, zbyt wielką próżnię w swym umyśle, nazbyt wiele trudności w jej wyrównaniu, odczuwałem formację swej myśli w stanie chaosu, a więc swą istność, jako niepełną i zanadto stojącą poniżej skali, do której dorosć była mogła. Ów chaos, z którego wyjść nie mogłem, owo pierwsze pożądanie światła, owa gęsta ciemność, co ciężąc na mym umyśle uparcie mi na każdym kroku zawadzała, owo pozostające bez odpowiedzi pytanie, z jakim się ku wszystkiemu zwracałem, oto boleść nie do zniesienia, która mi wśród lat najpiękniejszych odbierała spoczynek we dnie i w nocy.

Pożerała mię jakaś gorączka promienna dla niedościgniętego piękna, jakieś o przyspieszonym tętnie a nigdy nienasycone poszukiwanie prawdy, pragnienie ideału niedające się ugasić, droga chropowata ku Bóg wie jakiej wyżynie. Zaledwo doszedłem, trzeba było iść dalej i szukać poza tym kresem czegoś, co nie istniało.

A śród tej pracy — ciągle oczekiwanie, bezsenność, troska dojmująca, bezustanny niepokój ciała i ducha, ani jednego dnia, ani jednej godziny, w którejby mógł powiedzieć: nadeszła pora wytchnienia, zatrzymajmy się tu.

Oto czem była dla mnie młodość; a zjawisko to przypisuję raz jeszcze żywemu jedynie poczuciu tego, co było niewykończone, ułamkowe w mem jestestwie. Nic nie mogło nasycić na jedną nawet godzinę tego, co zdawało mi się być pragnieniem nieskończoności. Szedłem, niby przez ognistą puszcze.

Z tem wszystkiem miałem ja także przyjaciół, którym się oddawałem cały. Ale zaledwo się zetknąłem, uczuwałem, że byli oni ułamkowemi, podobnie jak ja. Zwierzałem się przed nimi ze swym niepokojem, i nie udzielali mi spoczynku.

Jakże mogłem czegokolwiek używać? Nie patrzyłem, nie słuchałem. Cóż więc czyniłem? Oczekiwałem. Ale czego? Czegoś, co nienadchodziło, i czego nazwać nie byłem w możności. Gdziekolwiek byłem, czułem jakby tęsknotę za krajem. Za jakim krajem, powiecie? Za krajem nieznanym, którego nigdy ujrzeć nie miałem, a który ciągnął mię ku sobie jakimś urokiem nieprzewycięzonym. Zapytywano mię: czemu ci się tu nie podoba, dlaczego odjeżdżasz? Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, i odjeżdżałem.

Jestże to życie? A jednakże w taki sposób przepędziłem pierwszą część żywota, wiek, który dla wszystkich ludzi jest wiekiem szczęścia.

Mawiano też do mnie w owych czasach: Nie zważasz, co się wkoło ciebie dzieje. Nic nad to nie było prawdziwszego. Jakże miałem zwracać na cokolwiek

uwagę, gdym nie patrzył i nie słuchał. Wiedziałem jedynie, że tego, co było przedmiotem mych poszukiwań, nie było tam, a instynkt mnie nie zawiodł.

Postępowałem sobie, jak ptaki dzikie, co wśród gęstwiny leśnej, nie badając roślin i ich owoców, znają wybornie te, które im szkodzą i z własnego popędu odwracają się od nich. Jest faktem, iż w wieku, który nazywają wiekiem złudzeń, żadnego nie doznałem złudzenia, i że ani jedna istota nie zawiodła mnie — ni w owej, ni w żadnej innej dobie.

W chwili nawet, gdy piszę te słowa, wśród dni nie-szczęśliwych, nie mogę powiedzieć, iżby świat, iżby życie mnie oszukało. Każdy pozostał w zgodzie z tem, co rokował; każdy, idąc swą drogą, nosił wypisaną na czole wieść o tem, co miał później rzec lub uczynić. Nie oskarżajcie go, iż was zawiodł. On wypisał na swem obliczu przyszłe swoje sprawy. Oskarżajcie więc tylko siebie, żeście czytać nie umieli.

Skoro nadeszła starość, znalazłem ją bez porównania mniej gorzką, niżby się wam zdawać mogło. Tak jest, gdybym się nie bał ujść za miłośnika paradoksów, powiedziałbym, że lata, które zowiecie nadmiarem nędzy i utrapienia, były dla mnie przyjemniejsze niż lata młodości. Im bardziej straszylście mnie obrazem tej ostatniej stacyi istnienia, tem mocniej dziwiły mnie dary, jakie mi w ofierze co krok przynosiła.

Spodziewałem się jakiegoś lodowatego, pustego, ciasnego, zanurzonego we mgle wierzchołka, a spostrzegłem przeciwnie rozległy dokoła siebie widnokrąg, który się nigdy jeszcze przed memi nie odkrywał oczyma. I w sobie samym, i w każdej rzeczy wszystko jaśniej widziałem. Nie było to już rozpaczliwe oczeki-



wanie owej jasności, co ciągle wdał przedemną uciekała. Na swej długiej drodze zebrałem wiązkę prawd, które z dniem każdym stawały się pewniejsze. Były one dla mnie niby owocem życia; daleki od myśli, iż niepodobna zdobyć sobie droższych, używałem ich jako ustalonego dobra; na co nigdy zdobyć się nie mogłem w owych godzinach dręczących, gdy sam siebie ustawicznie szukałem.

Nie mówcie, iż ów pokój z samym sobą i z rzeczami jest przesytem istnienia, sytością myśli, otrętwieniem, przez co mniej władzy daję nad sobą cierpieniu. Nie. Wytłómaczcie mi raczej, jakim sposobem wspomnienie takiego dnia, który się datuje od pół wieku, ilekroć traf nasunie myśl o nim, ilekroć słowo go jakie wskrzesi, ta chwila narzuca mi się z taką siłą, jak niegdyś na początku życia; czem się dzieje, że ta sama jest boleść, to samo nagabywanie; choćbyście lata do lat doliczali, nie zmniejszyłaby się moc tej myśli. Jeśli szłał boleści bierze koniec, nie znaczy to bynajmniej, iż życia ubywa, lecz że mięszają się do niego pewne prawdy, z których dusza zapas sobie zrobiła; już ona się sama nie gryzie pośród próżni i pustyni.

Zapewniacie, że uczucia przytępiają się za życia. Co do mnie, czuję bardzo dobrze, iż choćbym żył wiek cały, nie nawykłbym nigdy do tego, co mnie dziś oburza. Kłamstwa bez miary, wrzaski ludzi drapieżnych, wzywania do wymiaru sprawiedliwości, zatwardziałość w nieprawości, spokojna, bo czująca się bezkarną przewrotność, lekkomyślność w okrucieństwie, naigrawanie się obok barbarzyństwa — wszystko to będzie dla mnie tak nowem i tak obmierzłem w ciągu lat tysiąca, jak w chwili obecnej.

Podobnież piękne dusze, które na ziemi spotkałem, nie zaćmią się nigdy dla mnie. Będą one zawsze do mnie należeć takimi, jakimi je ujrzałem w godzinie promiennej.

Życie ludzkie nie jest zgoła tem, czem je być mnie; nie jest ono ciąglem spadaniem od młodości do wieku dojrzałego, od wieku dojrzałego do starości. Ja zupełnie inaczej odczuwałem istnienie. Młodość moja była smutną, wiek dojrzały lepszym, starość — szczęśliwą. Pierwszy błysk stał się światłem, światło prawdą, prawda — odetchnieniem, spokojem, szczęściem. Oto czem były dla mnie epoki żywota: wzbijaniem się ku światłu.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### Filozofia złudzeń. — Co znaczą te wyrazy: straciłem złudzenia?

Całą naturę i świat cały w jednym tem słowie *złudzenie* — streszczacie. Łatwo to zaiste włożyć wszechświat do tygielka, powiać ku niemu błękitnym płomykiem i powiedzieć: Otóż znikł. Szukajcie. Nawet popiół uleciał.

Nie, ja nie znalazłem świata i natury tak lekkimi, za jakie je macie. Żyjemy wśród wszechświata poważnego i stałego; nie zawiódł mię on w niczem. Owszem oddaje się na usługi każdemu przybywającemu na ziemię człowiekowi. Jestto dar prawdziwy, prawna, nie zaś podrobiona, bita na skraju przepaści przez jakiegoś fałszerza — sztuka monety. Wszechświat ten jest szczerym; przechodzi on od pokolenia do pokolenia, nie zmniejszając się, nie tracąc na sile.

Człowieku, ty przy swych narodzinach odbierasz świat cały w darze. Umiej go tylko używać. Korzystaj z jego prawdy, okazałości, korzystaj z jego nieskończoności.

Jeżeli czegokolwiek nienawidzę na tej ziemi, to za prawdę tych słów: straciłem złudzenia. Gdyś wymówił

te wyrazy, wiedz, że sam jesteś już tylko złudzeniem, to jest larwą, której wiązadeł ukryć nawet nie zdołałeś.

Dopóki sam jesteś szczerzy, i rzeczy, które cię otaczają, szczeremi są dla ciebie. Od chwili gdy chcesz oszukiwać, świat się naturalnie kryje i rzuca ci, niby atramentnica <sup>1)</sup>, swą czarną farbę na oblicze.

Kobieta, która utraciła złudzenia, staje się zalotnicą.

Polityk, który utracił złudzenia, staje się redaktorem liberalnym.

Kapłan, który utracił złudzenia, przedzierzga się w jezuity.

Finansista, który utracił złudzenia, robi się bankrutem.

Generał, który utracił złudzenia, oddaje swe wojsko w moc nieprzyjaciela; kapituluje na czystym polu.

Przyjaciel ludu, który utracił złudzenia, przedzierzga się w Cezara, Tyberyusza, Bonapartego.

Lud, który utracił złudzenia, staje się niewolnikiem.

Lecz filozof tracący złudzenia, co czyni? Straszna upadłość! On jednym rzuceniem kości utracił wszechświat. Któż mu go powróci? Czem chcecie, aby się sam stał, wobec olbrzymiego zera, które przed wami roztacza się od jednego bieguna do drugiego? Szkatułka pusta może się znów napełnić; ale świat, co znikł, ogołocony w skutek błędnego rachunku metafizycznego!.. Pojmujecież straszny monolog filozofa, który utracił świat? Czemże jest gracz w porównaniu z nim? Gracz obmyślić może inny rzut rulety, odszukać inną prawdopodobną korzyść, sprzedać siennik na odzyska-

---

<sup>1)</sup> Rodzaj mięczaków, *p. t.*

nie stawki. Ale filozof gdzie znajdzie stawkę na odbudowanie sobie wszechświata — lepszego lub gorszego, byle istniejącego? Co do mnie, gdybym przegrał tę partycę, gdybym stawiał na jedną kartę — ziemię i niebo, czas i przestrzeń, i gdyby mi z tego wszystkiego nie pozostało nawet trochę dymu, mniemałbym nadewszystko, że straciłem rozum.

Dość na tem, iż jakiś tam filozof, aby uzyskać jednodniowy rozgłos, podłożył ogień pod świątynię Efezką. Nie obracaj, nowy Herostracie, w popioły — widzialnego i niewidzialnego świata; zbyt wieleby kosztowało jego odbudowanie.

Żadna istota w naturze, z wyjątkiem ciebie, nie traci swych złudzeń. Lew w swoje szpony, ptak w skrzydła swe wierzy. Wszyscy biorą na seryo życie, jakie otrzymali. Ty także, ty nawet otrzymałeś pewien watek do zarobienia; jeśli zamiast tego niszcysz go nić po nici, to zwodzisz innych, zwodzisz samego siebie.

Ale, powie ktoś może, wszystkie uczucia ludzkie mię oszukały. Kochałem tę kobietę, zaślubiłem ją, i w końcu przekonałem się, że nie jest bez wad. Szczęście więc moje zginęło, bo ona wcale doskonałą nie jest.

— Czyś mniemał, że zaślubiasz boginię?

— Łudziłem się, co do swych dzieci; młode są i mają wady młodości.

— Czyś myślał, że się urodzą starszemi od ciebie?

— Łudziłem się, myśląc o swym przyjacielu. Przyjaźń jego dla mnie trwała tylko lat pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt lat w życiu ludzkim — czyś ich oczekiwał, gdy się zaczynały. Dobro przewyższyło twą nadzieję, i śmiesz-że się uskarżać?

— Pracowałem całe życie, ale praca to także zło.

Jeśli przynosi rozkosz, to jedynie przez pamięć na wypoczynek, który po trudzie następuje.

— Bynajmniej. Czyż radość z działania i wytwarzania czegoś niczem jest w twych oczach?

Uznałeś za przyczynę bytu, pewien zaród miłości i prawdy, którego życie tve rozwinięciem być miało. Tymczasem w danej chwili, zatracasz w sobie tę rację istnienia. Od dnia też owego istniejesz niby roślina bez korzenia i soków.

Soki drzewne, nasienie rośliny — oto co zowiesz iluzją. Ty to sam stałeś się jakąś kukłą, osobistością w komedyi, której trzeba podpowiadać rolę, chimera, i to najbardziej ze wszystkich godną politowania.

Bądź prawdziwym, a wszystko dokoła ciebie będzie prawdziwem. Kłamstwo wyda ci się kłamstwem i nie oszuka cię. Widziałem obrotnych, którzy zawiedli się na swej obrotności. Iluzya — to tylko słowo, którem się posługujesz do zakrywania swej ucieczki ze stanowiska i swego upadku.

Cnoto, jesteś tylko wyrazem. Jestże pewnem, iż Brutus wymówił to słowo w swem sercu. Nie sądzę. Jeśli je wygłosił poważnie, wyraz ten zgubił świat. Lecz Brutus zaprzecza mu nagle w owych rozmowach z przyjaciółmi. We wszystkich przypadkach była to tylko cytata literacka ze sztuki teatralnej. Wyraz ten, zapożyczony z greckiego, nie wyszedł z głębi sumienia rzymianina. Wygłaszała go Medea Eurypidesowa, nie zaś Brutus.

Zkądinąd, jeżeli Brutus utracił złudzenia, to miał rozumną rację odebrać sobie życie; pojął, że na nic mu już nie było potrzebnem istnienie. Ale wy, w tym dniu, gdy oznajmujecie, iż utraciliście swe złudzenia,

cóż czynicie? Żaden skrupuł was nie zatrzymuje. Nie przebijacie się jednak mieczem. O! dalecy jesteście od tego! Rzucacie się na wszystko, co błyszczący, na srebro, złoto, urzędy, zaszczyty, władzę. Zaprzeczacie wszystkiemu, coście uznali. Nic już nie pozostało z człowieka, jakim byliście w przeszłości. Odwracacie głowę, unikacie spojrzenia. Wszystko w jestestwie waszem obróciło się w gruzy. Jestto także samobójstwo; tak, lecz nie samobójstwo Brutusa.

W życiu dobrze urządzonem popęd, objawiający się w młodych latach, wyjaśnia się pod wiek dojrzały, a wieńczy na starość. Oto istota nosząca w sobie jedność, niezbędną wszelkiemu żyjącemu stworzeniu. Ale jeśli młodość zaprzeczoną jest przez wiek dojrzały a wiek dojrzały przez starość, nie jest to już jednostka ludzka, lecz części człowieka, które się wzajemnie burzą, nie mogąc się zjednoczyć i trzymać prosto w żadnej chwili istnienia. Świat ten jest przybytkiem złudzeń. Imbardziej go przenikniecie, tembardziej znajdziecie go wewnątrznie zgodnym i wiernym samemu sobie. Gwiazda nie kłamie, ani kropla rosy. Wy tylko macie dar kłamania mówiąc: świat jest fałszywy, on kłamie. Oskarżajcie tylko samych siebie.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### **Czy prawda robi więcej złego niż dobrego. — Filozofia złego.**

Czy uczucia moralne więcej rozkoszy niż cierpienie przynoszą? Płochę pytanie. Jakże tu sprowadzić życie powszechne do rubryk debetu i kredytu? Kto obliczy? Kto będzie utrzymywał registr? Czyż wy sami stanowić będziecie miarę? A jeśliście ją sfałszowali?

Zgadzam się, że wszelka prawda drogo kosztowała tego, który ją wydał. Połóżcie na szali z jednej strony radość, jakiej dostarczyła swemu odkrywcy, z drugiej cierpienia jakie spowodowała. Czyżby Galileusz był rzeczywiście szczęśliwszym, gdyby nie był odkrył czterech satelitów Jowisza? Rachunek skończony; powiecie: prawda zrządziła więcej złego niż dobrego, jest szkodliwą, należy ją znieść. To samo rzecz można o miłości, przyjaźni, sprawiedliwości. Świat, podług was, nie jest utworzony na to, by pod jakimkolwiek względem urzeczywistniał sprawiedliwość. Prawda etyczna nie jest jego celem. Ja zaś powtarzam przeciwnie, że porządek powszechny, równowaga światów jest sprawiedliwością, nieświadomą, która się urzeczywistnia w sumieniu człowieka zacnego. Geniusz, myślicie, jest nie-  
szczęściem dla tego, który go posiada. Umysłowość (in-



teligencya) wrastająca, jest podług was umysłowością wziętą na tortury. Ja natomiast mniemam, że umysł, dążący ku światłu dąży zarazem do szczęścia.

Bezużyteczne odpowiedzi. Za wiele rzekłem i zatrzymuję się. Pojmuję w końcu, iż mam do czynienia z tem co jest najuporczywszego w świecie, z filozofem złego humoru.

Żałuje się zrozpaczonego, pociesza smutnego. Ale złego humoru, obróconego w dogmat filozoficzny, nie zbija się wcale. Sztuki piękne złego humoru, literatura złego humoru, co mieć możemy z tem wszystkim za rozprawę? Ach! niech mię już raczej prowadzą na drogę systematycznego odczarowywania i lykantropii.

Dziwimy się tylko, że wśród tak wielkiej liczby moralistów, ani jeden nie pomyślał o scharakteryzowaniu tego nerwowego bólu ducha, złego humoru, co dzisiaj z takim szumem domaga się należnego sobie miejsca w życiu i metafizyce. Człowiek złego humoru jest nie tylko dziwacznym, zgryźliwym, zrzędą, warchotem; nie tylko bowiem z innych, ale i z siebie samego jest niezadowolony. Co mówię? on jest niezadowolony ze świata całego i sklepienia, które świat otacza. Dąsa się na wszystko, co spotka. Nienawidzi świata, a bardziej jeszcze samotności, potrzebuje widza, któryby ustawicznie ból jego drażnił. Jakaż mucha go ucięła? Mucha nieznośniejsza od „tztetze“ kafreryjskiego, co wołu zabija. Oddalcie się, uciekajcie. On ze swej strony pragnie tylko tego, by ułkuć. Biłby morze, gdyby je na swym szlaku spotkał. A dlaczego? Sam powiedzieć nie jest wstanie i to go właśnie jątrzy.

Szalenstwo owadu, który napada bez różnicy na lwa i na komara.

Przypuśćmy teraz, iż usposobienie umysłu jest podniesione do wyżyn filozofii, jakaż wtedy idea, jakaż prawda oprze się filozofowi złego humoru? Co znajdzie łaskę u niego? Nie będzie to zapewne ani duch, ani materya, ani teizm, ani ateizm, ani panteizm, ani życie, ani śmierć. Co za straszna ruina systemów i teoryi. Świat jest nieprzyjemny; zgładźmy więc świat. Próżnia także odrażająca, znieśmy próżnię. Natura jest surowem naczyniem z alabastru; stłuczmy naczynie. Cóż więc pozostanie na dnie wszystkiego? Zły humor.

---

## ROZDZIAŁ V.

### **Jakiemu stanowi społecznemu odpowiada filozofia złudzenia? — Natura i człowiek.**

Człowiek w pewnych dobach daje lepsze niż przyroda wyobrażenie o świecie złudzeń. Przyroda bowiem pozostaje tem, czem jest. Jutro będzie ona taką, jaką widzicie ją dzisiaj. Zawsze będziecie ją mogli rozpoznawać. Ale człowiek! Czyż nie prawda, że w czasach upadku jest on tylko zmianą, niestałością, ciąglem zbaczaniem? Mniemacie, żeście go uchwycili; gdy już, już się wam wyslizgnął. Nie odszukacie go więcej. Zrana liberał, wieczorem absolutysta. Dziś wolteryanin, jutro jezuita; w południe republikanin, o zachodzie słońca monarchista. W jednym i tym samym dniu, kocha, nienawidzi, zapomina o was. Już niczem nie jesteście dla niego, i on niczem dla was. On to bardziej niż jakikolwiek inny przedmiot, daje pojęcie o niestałości. Patrząc na niego, widzicie przekształcający się pozór, bardziej zmienny niż fala, bardziej nieujęty niż cień.

Porównywają częstokroć byt człowieka z bytem kwiatu. Iluż ludzi widziałem bardziej jednodniowych i zmiennych od kwiatka! Ten przynajmniej zachowuje woń swą póki żyje. Ale oni — w co się obróciła woń ich rozgłosu, obi etnic, idei młodzieńczych?

Czyż ludzie, których spotykam, są w istocie ludźmi. Sąż to raczej cienie, które się snują, łączą, mieszają i zacierają na murze? Z trudnością zatrzymuję w pamięci ich miana i kształty, tak są podobni do dymu. Gdy naród jaki ulega rozkładowi, to z konieczności każda w nim jednostka przeczy sobie i kłamie. Nie możecie uchwycić istoty, bo istota, to charakter. A gdzie charakter zaginął, tam i istota znikła.

W tego rodzaju świecie społecznym, filozof musi w sposób zgoła naturalny dojść do systemu niebytu złudzenia, pozoru we wszech rzeczach. Nietrwałość napotkaną w człowieku rozciąga z konieczności na naturę i wszechświat.

W miarę jak plemię indyjskie usuwało się od wszelkiego działania a człowiek coraz bardziej począł się w nim zacierać, myśliciel indyjski rozciągnął tę ideę omdlenia na świat cały: doszedł do budyzmu i nirwany.

Tak więc, doktryna złudzenia pozwala się domyślać, jako punktu wyjścia gasnącej narodowości, niknących charakterów, ulatniającej się indywidualności, a na miejscu narodu, [wielkiej wydrążającej się próżni, która wszystko chłonie.

Przypuście, że niema już w społeczeństwach naszych jednego punktu, któryby stanowił siłę oporu, ani jednej duszy żyjącej, ani jednego umysłu, któryby do siebie należał, to wtenczas niema już żadnego stałego punktu. Filozofią, która najlepiej przedstawi społeczeństwo, będzie filozofia próżni i nicości: buddyzm Zachodu, ubieganie się wszystkich jednostek o spoczynek w niebycie.

Otrzymanie spoczynku kosztem życia publicznego,

oto pierwszy krok na tej drodze; drugim jest znalezienie spoczynku nawet za cenę życia osobistego.

Widzimy dziś, jak ludzie nużą się bytem wolnym, poszukując tego, co zowią spokojnością na łonie śmierci politycznej i umysłowej. Jest to pierwszy początek nirwany indyjskiej: otrętwienie umysłu. To nam też pomaga do zrozumienia, jakim sposobem samo owo znużenie i wyczerpanie przyprowadziło filozofów a po nich miliony ludzi, do przyjęcia za religię namiętnej żądz niebytu.

Nie widzieć już, nie słyszeć, nie kochać, przestać nienawidzieć, nie myśleć już więcej! I któż nie przebywał opłakanej godziny, w której wyrzekł złowróżbne: Dość już. Ale była to godzina występna i jałowa. Człowiek godny tego imienia pozostawił ją niebawem za sobą.

Zdaje się, że ów krzyk omdlewający: dość już tego! mógł być wyjść z Francji; miała ona bowiem niejakię prawo ogłosić się za znużoną warunkami życia, skoro była pobita i złamaną, mniej by się dziwiono, gdyby to zrzeczenie się istnienia znalazło u niej swój wyraz filozoficzny. Ale nie tak się stać miało. Okrzyk zniechęcenia i rozpaczony wydany został przez zwycięskie szczęśliwe i nasycone Niemcy. Okrzyk ten nie stał się hasłem naszego Zachodu. Być może oznacza on tylko jedną rzecz, a mianowicie: znużenie i upadek metafizyki niemieckiej.

Napróżno Schoppenhauer i Hartmann naśladowają Buddę zawsze im jednej rzeczy brakować b dzie: Budda bowiem był ateuszem; ale uczniowie jego zrobili zeń boga nad bogami.

Tak więc religia, licząca dziś najwięcej wyznawców powstała z ateizmu. Piękna odpowiedź dla tych, co chcą zamknąć człowieka w sferze starych prawowierności. Nie oskarżajcie zbyt tego, który przeczy istnieniu starożytnych bogów; buddyzm wykazał, że wszyscy ateusze bliżsi są nowego boga niż wierni członkowie odwiecznych kościołów.

Chcecie uniknąć upadku? Potrzeba odszukać w głębi duszy ludzkiej nie takiego lub innego bałwana, lecz potęgę wiary, miłości lub nienawiści, to jest szczerłość.

Buddyści zatarli niebo i ziemię, które sfalszowano. Utworzyli gołą tablicę wszechświata, aby odszukać słowo prawdy. Z tego jedyne słowa wyszedł świat nowy.

Buddzie trafiło się to samo, co się zdarza podziś dzień wielu szkołom filozoficznym. Wstęp do hipokryzyi przywiódł mędrca do tego, że nie wymawiał nigdy imienia Boga. On go nie tylko neguje, ale i przemilcza.

Gdy życie moralne wysycha, rzecz prosta, iż równocześnie znika poczucie nieśmiertelności. Nieśmiertelność jestto potęgą życia skupionego, które potrzebuje wyłonić się w przyszłość. Wyszuszczone źródło, a rzeka nieśmiertelna zniknie. Jakżeby dusza mogła opanować wieki przyszłe, gdy nie jest nawet w stanie opanować chwilą obecną?

Ztąd wniosek, że nie ze szczątków starej jakiejś religii odbudowuje się świat, lecz jedynie przez odszukiwanie pod temi szczątkami dziewiczego gruntu duszy ludzkiej.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### **Czegoby było potrzeba do powstania w Europie filozofii rozpaczy?**

Co uczyniło możliwem w religii nihilizm indyjski? Tyrania starożytnych wierzeń. Wyobraźcie sobie ludy, zgniecione pod swemi bałwanami, bogów uświęcających panowanie klas kierowniczych, Brahme depcącego pod swemi stopy niższe klasy społeczeństwa, kastę kapłanów, jako władczynię bezwzględną, plemienia ludzkiego, despotyzm boski, odradzających się z własnych popiołów, dynastye bogów podnoszące się ustawicznie dla zduszenia w przechodzie wszystkiego co z istoty ludzkiej pozostało, słowem wyobraźcie sobie kapłana postawionego na miejscu rodu człowieczego.

Jakiż punkt wyjścia pozostawałby dla tych, co chcieli uniknąć zduszenia? Jedyńy ten, który odkrył Bud'ha: zaprzeczenie wszystkich naraz bogów, pozbycie się rdzenne bóstwa i kapłana, utworzenie próżni bezwzględnej dokoła duszy ludzkiej, przeszkodzenie tem samem powrotowi do starych wierzeń; słowem, uznanie zasady nicości, w celu oswobodzenia się od religii niewolnictwa. Ucieczka przed bożyszczami skamieniałemi, chciwemi odrodzenia, umknijcie na łono ateizmu, dla uwolnienia się od duchowieństwa, oto czyn, jakiego dokonał Bud-

ha. Czteryście pięćdziesiąt milionów wyznawców poszło za mistrzem po tym szlaku próżni.

Dziwicie się, że ludy Indyj [południowych, Chin, Jawy, Tybetu, Mongolii, Ceylonu] poszły z zapalem za prorokiem nicestwa. Zarówno u najbardziej ciemnych, jak u najbardziej oświeconych objawił się ten sam popęd zbawczy, ta sama nienawiść do kapłaństwa, ta sama odraza do przeszłości wiekowej, którą przedstawiała kasta brahminów.

Jakże się tu wyrwać z objęć jezuityzmu wschodniego? Żadna reforma nie wystarczała. Gdyby pozostawiono rdzeń, stare drzewo wkrótceby odrosło.

Do oswobodzenia istot nieokrzesanych „o małpiej inteligencji“ jeden tylko przedstawiał się środek: wykorzenieć pojęcie o Bogu w jego zarodzie, wykazać, że wszystkie bóstwa przeszłe i przyszłe są tylko marami; a dla umożliwienia ich odrodzenia się, zgładzić za jednym razem wszechświat, wysuszyć ducha ludzkiego w jego rodzimem źródle, umknąć na ostateczne krańce próżni, nie wzdychać już do niczego, o wszystkim zapomnieć: „wytępić pragnienia, podobne do ostrzów miecza, powleczonych miodem;“ oto jedyna ucieczka przeciw wspomnieniu wstrętnej przeszłości.

Takiem jest usiłowanie podjęte przez krańcowy Wschód w celu wyzwolenia się z pod duchownego jarzma. Zniósł on boga, aby się pozbyć kapłana. Z tego heroizmu ducha, osądźcie, co człowiek wycierpiał w owych niepamiętnych czasach, gdy kasta kapłańska była panującą. Po lekarstwie oceńcie chorobę.

Czegóżby było potrzeba, aby Niemcy i cały nasz Zachód idąc tą samą drogą, rzucił się znów w objęcia nihilizmu indyjskiego. Mam właśnie o tem rzec słów-



ko. Przypuśćmy, że na naszym Zachodzie starodawne religie stały się nieograniczonemi władczyniami i ciał i umysłów. Już we Francyi kapłan ma monopol opieki nad sprawami i myślami świętymi. Przypuśćmy, że klerykalizm papieżki i jezuicki, ów brahmanizm europejski, zdołał zgodnie z zamysłem narzucić nam swą przemoc. Utrzymuję, że wśród tych okoliczności odpowiadających analogicznie układowi żywiołów odległego Wschodu brahmańskiego, ujrzelibyśmy pośród nas zjawisko zgoła podobne go religijnej rewolucyi buddyjskiej to jest szkoły filozoficzne rzucające się do doktryn nihilizmu, dla uniknięcia zuchwalstwa, obłudy, niewoli i długich batogów kleru.

Im więcej by kapłan zagarnął, tem bardziejby wobec niego by spotężniał i rozmnożył się ateusz. Deizm wolteryański XVIII stulecia nie podołałby już wściekłym zapędom starej religii, która by się uważała za władczynię. Znikłby on. Wobec rosnącego przypływu zabobonów i ucisków księży, duch ludzki przyparty do krawędzi, szukałby ucieczki w bezwzględnem zaprzeczeniu wszelkiej wiary. Przeszedłby on epokę ateizmu i uformowałoby się pewno coś więcej, niż kilka na podobieństwo Schoppenhauerowskiej lub Hartmannowskiej, szkół, któreby się do próżni odwoływały. Wszyscy cierpiący (bez nadziei (a byłaby to olbrzymia większość) wyzuliłby się ze starej wiary, niby z zatrutej szaty Medei.

Brahmanizm zachodni, gdyby był możliwy, spłodziłby w następstwie buddyzm zachodni. Całe ludy, przejęte rozpaczą, ścigane przez kapłana, pograżyłyby się w nicestwie. Byłoby to dla nich wielkie oswobodzenie.

Nasi oficjalni myśliciele są pocieszeni, gdy deklamują przeciw tej smutnej filozofii Budhy. Tak, smutną jest ona bezwątpienia. Lecz czyż wyłączość bramańska mniej była smutną? Czyż lepiej było zostać pod jarzmem duchowieństwa i kast, czy też wyjść z niewoli przez rzut rozpaczy? Lepiej-ż było zdecydować się na roztropne i przyzwoite pozostawanie w wiecznym służebnictwie względem klas zwierzchniczych? Tak, mówią, wszelki przewrót jest klęską. Poznają ich po tych słowach. Służebnictwo dziś i zawsze, w przeszłości teraźniejszości i przyszłości. Oto, co nazywają oni mądrością. Ludzkość jednak nie podziela ich zdania.

Budda był tem, co nazywają we Francyi ateuszem, rewolucjonistą, komunistą, radykałem, socyalistą, słowem potworem. Potwór ten wziął pod swą opiekę maluczkich, nędzarzy, biednych, warstwy najniższe. Ustanowił równość, oswobodził religijnie i społecznie czterysta pięćdziesiąt milionów swych bliźnich. Nietylko zaprzeczył istnieniu wszystkich bogów, postąpił sobie gorzej: on ich ignorował. Nadając Wschodowi nową formę, zniósł kasty.

Jak gdyby Niemcy we wszystkim miały przeczyć Francyi, widzieliśmy powyżej, że filozofowie giermańscy zwracają się do buddyzmu indyjskiego, i to jaką drogą? Za pośrednictwem mistyków chrześcijańskich, ze schyłku doby średniowiecznej, z pod których wpływu oswobodzić się nie mogą? Pierwszym skutkiem tego nawrócenia się jest zatrata wszelkiego historycznego i życiowego poczucia.

Największą zbrodnią człowieka jest, jak oni mówią, istnienie.

Czyż nie dziwnem jest widzieć, jak dowodzą, że fi-

lozofia ich jednoczy się z kwietyzmem mistrza Eckarta, Taulora, pani Guyon, Antoniny Bourignon, [którzy wiodą ich za rękę do nirwany indyjskiej. Oto ku jakiemu celowi zmierzają niezliczone usiłowania wdarcia się do nieba. Byłoby potrzeba kuć tyle systemów w obłokach aby powrócić do prawowierności Ojców Kościoła? Po tych labiryntach metafizycznych, wejść znów z uległością na drogę świętego Augustyna, Klemensa Aleksandryjskiego, wzywać wraz z nimi świat do celibatu, aby zgon jego przyspieszyć; pogrzebać się żywcem za karę zbrodni narodzin, ktoby był pomyślał, że taką będzie konkluzya przygotowana zuchwałemi pomysły Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, tego „kalibana świata umysłowego?“<sup>1)</sup>.

We Francyi eklektyzm zgasł w jezuityzmie. W Niemczech filozofia znikła w mistycyzmie sekciarskim. Być może iż ten drugi sposób szlachetniejszy od pierwszego ale jestto zawsze koniec. Wszystko za nami obróciło się w gruzy. Miasto w płomieniach wali się na nasze głowy. Wyjdźmy z tych ruin, jeśli nie chcemy być zmiążdżeni. Kto umarł, umarł; chodźmy na spotkanie się z odwiecznym pierwiastkiem życia.

---

<sup>1)</sup> Schopenhauer.

## ROZDZIAŁ VII.

### **Nowa filozofia.—Człowiek w ścisłym związku ze światem.**

Jakaś siła nieprzeparta ciągnie świat do idei nowych. Eklektyzm jest sprawą dnia wczorajszego, a jednakże nic nas nie zdoła nawrócić ku niemu; nieskończoność od niego nas dzieli.

Widzieliśmy na własne oczy jego przedstawicieli, doktorów, mówców; są oni tak daleko od nas, jak scholastyka.

Dziwna to rzecz zaprawdę czuć się owładniętym przez nową falę myśli, która odrywa od starego brzegu i unosi ku światu przyszłość! Doświadczyłem czegoś podobnego, gdy przypływ ciągnął się ku głębokiemu morzu, sile spokojnej, cierpliwej i niepokonanej.

Pomimo cierpień współczesnych, z pod których nikt się nie wyłamuje, składam dzięki przeznaczeniu, za to że mi dozwoliło żyć, raczej w tym niż w innym czasie, gdy ze wszech stron pojawiają się pierwociny nowej filozofii.

Ja sam dostarczyłem nawet kilku jej pierwiastków w drugiej części *Stworzenia* i w tej oto książce; — moje ziarnko piasku nie będzie straconem.

Nowa ta filozofia nie należy bynajmniej do jednego jakiegoś autora; wytwarza się ona pod naszymi oczyma

z myśli wielu ludów. Cały schyłek tego wieku dąży do niej i nią żyje.

Człowiek znużył się wyłącznym badaniem i oglądaniem samego siebie. Umysł jego wyjałowił się w rozważaniu własnej swej jaźni. Wyszedł tedy z monologu bez echa, w którym jego myśl poszukiwała i wyczerpywała samą siebie. Pod mianem psychologów, widzieliśmy ludzi, którzy przepędzali życie na podsłuchywaniu się wewnętrznym, na poszukiwaniu samych siebie bez skutku, głuchych zresztą na głos nieba i ziemi. Zamknięci w tych granicach, nie mieli egzaltacyjnego uroku cechującego pustynię, ale nabili się jej czczości.

Wyjdźmy z tej samotności wewnętrznej. Nie zamykajmy się w klasztorze scholastycznej jaźni. Nasze badanie duszy nie zawiera się już wyłącznie w nas samych. We wszystkim co rośnie, czuje, oddycha pośród ciała organicznego, odczuwamy przygotowanie naszej samowiedzy. Po raz pierwszy człowiek wchodzi w ścisłą styczność z wszechświatem.

Nie jest to już płonna rozmowa jednostki ze swym cieniem. Jestto dyalog z każdą istotą od najodleglejszej aż do najbliższej. Człowiek słucha nie już tylko bicia własnego serca, lecz pulsu i rytmu całego żywota. Zapytuje każdej żyłki i każda żyłka mu odpowiada. W ten sposób możnaby dzisiaj przedstawić sobie stan samowiedzy wszystkich istot żyjących i utworzyć psychologię całego królestwa zwierzęcego.

Była to zaprawdę antifilozoficzna mania podziwiania przyrody w jej niezmierności i mniemania, że się nic niema z nią wspólnego. Mania dorobkowicza dumnego z racji niedostatku. Człowiek się wysławiał i płakał, że jest samotny w społeczeństwie światów. Ileż słyszałem

westchnień i jęków nad tem odosobnieniem człowieka, rzuconego samotnie pomiędzy stworzenia niegodne, aby się doń zbliżyły.

Byłem świadkiem jak przekształcił się duch filozoficzny w ciągu lat niewielu. Za czasów mej młodości panował spirytualizm oficjalny. Gdy pomyślę, z jaką dumą i nietolerancją władał i jak mało miał wpływu na kierunek życia, nie mogę łez wylewać nad jego upadkiem. Widocznie był on tylko pewnem zadaniem, przyzwoitością, postawą butną; dla wybrańszych umysłów pięknym przedmiotem do wierszowania, marzeniem wieczornem. Jeśli się prędko ulotnił, to dla tego, że był jakimś jedynie pozorem i kadzidłem.

Gdzież się podzieli spirytualiści liberalni? Przeminięły już pokolenia bez pamięci o ich nauce. Spirytualizm urzędowy utożsamiony z jezuityzmem; trzeba odkryć co innego.

Przybywają więc myśli potężniejsze, mniej subtelne, zaczerpnięte u źródła życia powszechnego. One się nie rozpierchną w dymie. Będą miały za świadka nie jakiegoś doktora, lecz naturę całą, w jej trzech królestwach. Nie będą mniej szczytne, a oprą się wszędzie na posadach w widzialnym i niewidzialnym świecie.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Uspokojenie umysłu ludzkiego. — Zwycięztwo prawdy nad trwogą i śmiercią.

Początek tego wieku brzmiał skargą jednostajną; nasze książki i poematy były nią napełnione. Wszyscyście pili z puharu rozczarowania.

Ale któż spowodował to odosobnienie człowieka wśród łona światów, jeśli nie sam człowiek? On to wyciągnął z otoczenia próżność i upodobał sobie rozczarowanie. Cała literatura powstała z tego monologu duszy ludzkiej, dobrowolnie rozdzielonej ze światem.

Czyje uszy nie są napełnione tem długim jęczeniem, w którym próżność ludzka tak dobrze odgrywała swą rolę: sam, zawsze sam, wobec świata pustego, żadnego odgłosu pośród niezmiernej przestrzeni, żadnej fibry, któraby odpowiedź dawała. Byłto temat ustawiczny, i niepodobna dziś zawyrokować, czy nie była to igraszka fantazyi. Mocą powtarzania, zapanował ów temat nad umysłami; każdy upodobawszy sobie odosobnienie, robił się środkiem pustego wszechświata. Za ukazaniem się poważnych doświadczeń, dusze, narodzone pod tą gwiazdą, lekkomyślne w swej rozpaczy, poczuły się ułomnymi i pierzchły same przez się.

Ponieważ wynikiem tego punktu widzenia było zwałenie duszy ludzkiej, nie możemy i nie chcemy do niego powrócić. Zamiast systematycznego odosobnienia człowieka, chcemy go wprowadzić znów do spółki z wszechświatem. A z tego stowarzyszenia narodzi się duch nowy, który już nie będzie się obawiał zapładnianych przez izolację, idei chorobliwych.

Jeśli jaka tendencja porywa nasz wiek, to jest nią dążność do wprowadzenia ducha wszystkich nauk do filozofii. Każdy przybywa tu po właściwej sobie drodze, a wszyscy schodzą się na gruncie jednej myśli. Podstawa-to silniejsza od jakiegokolwiek z tych, które zakładane były przez poprzednie pokolenia. Jeśli po fundamentach, o budynku sądzić będziemy, należałoby mniemać, że przyszłym generacyom stawiać przyjdzie olbrzymią jakąś budowlę; fundamenty bowiem, wznoszące się już ponad ziemią, są tak trwałe, jak trwałemi być tylko mogą posady dzieła ludzkiego.

Materyalizm, spirytualizm — kto nas uwolni od tych słów obosiecznych?

Gdy słucham materyalisty, widnokrąg w ciasnych zamyka się granicach, wszechświat jałowuje. Gdy słucham spirytualisty, rzeczywistość znika, ustępując miejsca układowi myślowemu. Pozostaje para, której uchwycić nie mogę. Iksyon obejmuje obłok; życie wymyka się.

Nie mogę się zamknąć ani w jednym, ani w drugim z tych kół. Większy świat mi otwórzcie; bo ten, jaki ofiarujecie, jest tylko koteryą.

Gaston ma jedną tylko myśl: żyć wygodnie, nic nie robiąc, liczyć swe dochody, wygrzewać się na słońcu i pięć swych zmysłów nasycać. Jakichże bo nowych



przyjemności dostarczyć sobie nie może? Wszystkie rozkosze cielesne błyszczą na jego obliczu. Uwianowany obficie w materję, usiłuje bardziej się jeszcze w niej pograć. Gaston — to spirytualista.

Jakób ma cerę wychudłą i jakby ołowianą; ani chleba, ani noclegu pewnego; brak mu powietrza w izdebce, z której tylko skrawek niebios widzi. Cierpi głód i pragnienie; nędznieje w oczach. Ciało jego wycieńczone stanie się już wkrótce tylko cieniem: cała materyja go opuszcza i unika. Jakób, powiadacie, to materyalista.

Przyznajcie, że to zabawne.

Nie wywołujcie widziadła materyalizmu. Dość już widziadeł. Wyjdźmy z otchłani. Czy boicie się spopolitować, zaślubiając ducha światów? Dziwny to zaiste materyalizm, który wszędzie spostrzega żywą nieskończoność, siłę, co trwa a nie zużywa się, istnieje ciągle a nie ubywa, udziela się a nie ulega osłabieniu, przekształca się a nie ginie — ruch, ciepło, światło, życie. W cóż się obracają puste obawy? Wszak wy sami jesteście także siłą, której wieczność nie spożyje; czyż wam tego za mało? Otrzymacie przeznaczenie siły nieskończonej; jestże to utrata pierwiastków własnego istnienia?

Jakiż wpływ na przyszłość wyrze ta nowa filozofia? Odczuwając zgodę swą ze światem, człowiek poczuje się wzmocnionym we własnej myśli. Nie będzie już szedł chwiejąc się śród próżni; straconą pogodę ducha odzyska. Sądzę, że wielki pokój wstąpi do umysłów, gdy spostrzegą, iż je podtrzymuje doświadczenie całego jestestwa. Nie dziwcie się, że utraciły one łatwo równowagę — w owej pustyni urojonej, na którą się

same wyгнаły. Historia ich najczęściej była jedynie historią ich trwogi. Posiadają one wreszcie świat — nie jako goście czasowi, ale jako właściciele i prawni spadkobiercy odwiecznych jego żywiołów.

Wielkie systemy przeszłości — kartezyanizm, harmonia przedustawna (Leibnitz) schodzą z widnokregu. Wkrótce znikną, ustępując miejsca innym gwiazdom. Pokolenia zrodzone pod temi nowemi gwiazdami nie doświadczają kłopotu ciemnych zagadnień. Będą kroczyć po drodze bardziej jednostajnej. Myśmy pożerali kamienie, a pokolenia te żać będą zboże.

Nasze zagadkowe niepokoje ducha, nasze męczarnie filozoficzne stawać się będą coraz bardziej niezrozumiałemi. Biada temu, kto by się opóźnił na tych zapomnianych szlakach! Przemawiałby językiem umarłym i byłby samotny na ziemi.

Iluż to już ludzi z trudnością pojmuje ową żalobę, w którą się przed pół wiekiem okrywali myśliciele i poeci. Szliśmy naprzód po drodze życia we mgły ciężkie otuleni. Ciemność to dobrowolna, powiecie, przesada niepojętego gieniuszu. Nie, niewszystko było dobrowolnem w tej umysłowej żalobie. Szukaliśmy światła, a światło było nam odmówione, bo źle skierowani poszukiwaliśmy go tam, gdzie się duchowi ludzkiemu ukazać nie mogło.

Nie jeden umysł miał swój dzień Faetona, w którym zapragnął rydwanem słońca kierować. Skoro tyle ambicyi zostało zawiedzionych, gdy droga pod krokami z pod stóp się usuwała; a strąceni z wysokich wierzchołków druzgotali się upadając, to czyż podobna się dziwić, że słyszano wychodzący z ust ludzkich jęk i owe *novissima verba* całego pokolenia pisarzy i filozofów.

Napróżnoby zmieniali drogę; trudnoby już było wierzyć w ich nawrócenie; ludzie bowiem sądzą zawsze o ludziach na zasadzie pierwszych początków.

Ale ci, co swych towarzyszków przeżyli, nie zrazili się trudnościami. Próbowali oni innych dróg, i oto na koniec tak długo oczekiwane światło tryskać już poczyna. To co dla Bakona było tylko życzeniem, staje się rzeczywistością. Jesteśmy świadkami *wielkiego odrodzenia*, które on nazwał, ale którego osiągnąć nie zdołał. Warto podjąć trud życia, aby widzieć, jak każda z nauk dawnych i nowych — swój dorobek, swą metodę, ducha swego, przynosi w ofierze najwyższej umiejętności, filozofii życia powszechnego.

Człowiek trawiony podczas głębokiej nocy oczekiwaniem, rozwesela się za pierwszym brzaskiem dnia. Niepodobna, aby i ludzkość się nie uradowała, widząc jak po wszęch rzeczach jasne rozlewają się promienie. Wielkie to szczęście dla człowieka urodzić się w jednej z tych epok odrodzenia myśli ludzkiej. Nabywa on narzędzi i jakby organów, których pozbawieni byli jego przodkowie. Niechaj umie używać tych organów nowych, one rozszerzają jego istnienie do ostatecznych krańców wszechświata. Po nocy głębokiej zabłysł dzień: pozdrówmy światło. To samo prawo, które rozpoznajemy w obrotach ciał niebieskich, odszukujemy również w formacjach geologicznych, w spadkobierstwie rządów, w kształtowaniu się społeczeństw, w tajnikach samopoznania ludzkiego, w jego rozlicznych wytworach, w języku, sztukach, poezyi — tak, że jedna i ta sama prawda wypisana jest wszędzie, a z któregokolwiek punktu wyjdziemy, spotkamy ją na każdej

rzeczy, na każdym stopniu bytowania — zupełnie jak w owych pałacach arabskich, gdzie jedno godło wyryte jest na każdym miejscu a każda ściana powtarza: *szczęśliwość, szczęśliwość!*

Nie mówcie więc już:

„Między mną a ziemią niema nic wspólnego.

. . . . .

Prawem bytu naszego — niewiedzieć i służyć.“

Przeciwnie, niema ani jednego punktu w przestrzeni, ani jednego szczebla w drabinie żywota, któryby was nie prowadził ku sobie samym a przez was ku powszechnemu porządkowi. Wszystko wam wśród nieskończoności odpowiada. Idziecie naprzód w towarzystwie światów. Nie jestże to nowe zadanie dla społeczeństw, sztuk, poetów przyszłych? Dość ono oplakane, dość okupione jękami.

Grecya czerpała pogodę umysłu w miłości bóstw pobłażliwych. Przyszłość czerpać będzie pokój ducha w posiadaniu prawd, podtrzymujących i świat i człowieka.

Pierwsi poeci witali pierwszą iskrę, wytryskującą z suchych liści swego ogniska. Jakież wieszcz opiewać będzie iskrę, która z umysłów wybłyśnie? Będzie to pieśń przyszłości.

Za czasów Keplera i Galileusza odkrycie praw systemu słonecznego rozlało brzask jasności po świecie i położyło kres trwogom średniowiecznym. Czemuż bo nie podolają odkrycia współczesne dokonywane ku uwiecznieniu zwycięstwa prawdy nad obawą? W szesnastym wieku swe prawdziwe miejsce w niebie odszukała zie-

mia; dzisiaj człowiek. Po raz pierwszy jasno on wszystko w sobie samym widzi. Jeśli się chce poznać — dopiąć tego może. Przybyliśmy na rozstaje, gdzie się wszystkie prawdy kojarzą. Jestto odbłyскиwanie prawd, które zewsząd tryskają, odbijając się od astronomii na geologii, od geologii na historii naturalnej, od historii naturalnej na socyologii, aby nakoniec, niby w ostatnim ognisku, ześrodkować się w genezie umysłowości ludzkiej.

Człowiek nie jest owym potworem nieznanym, o którym mówił Pascal. Pod zogniskowanemi promieniami wszystkich nauk dokonywa się anatomia jego ducha, jego czynów umysłowych, uczuć i wzruszeń. Każdy zakątek jego jestestwa jest wyjaśniony. Jakże by się więc mógł utaić w ciemnościach? Światło umiejętności idzie za nim aż do najskrytszej głębin sumienia, w najserdeczniejszej jego fibrze. Światła! zawsze więcej światła! Oto istotny warunek, jeśli człowiek przyjąć go pragnie.

Nie mówmy już o odosobnieniu.

Poszukiwać prawdy, służyć jej — jestto pielęgnować ustawiczną przyjaźń z tymi, którzy jej szukali lub śmierć za nią ponieśli.

Czem się to dzieje, że przy rozroście wszystkich nauk — umiejętność polityczna jest jeszcze dla tak wielu ludzi bizantyńską jedynie sztuką oszukiwania? Na tym to punkcie stary człowiek odnosi przewagę nad nowym.

Atawizm człowieka drapieżnego uwydatnia się jeszcze całkowicie w podstępach, wiarołomstwie, nawet w wyrazie oblicza tych, którzy kolejno, stosownie do

epok, przezywali się faryzeuszami, ludźmi wyłącznie zacnymi, wyłącznie uczciwymi. Ale z umiejętnością tą stanie się to, co i z innymi. Dozwoli ona w końcu przeniknąć się jasnym promieniom wszystkich nauk. Przyjdzie chwila, w której obrotni przestaną zasadzać swą sztukę na łudzeniu. Mniej będą oszukiwać, bo dla wszystkich widocznem będzie kłamstwo. Zwątpią o wytworzeniu nocy, bo światło zagnieździ się w umysłach. Oni sami przyjmą walkę w obliczu jawności dziennej.

Ale śmierć wam pozostaje, powie kto może, jej nie zwycięzycie. Prawda. Wielu ludzi nawet z góry już nad tem pracuje, aby nam ją okropniejszą uczynić. Chcą jeszcze ją powiększyć, przeszkadzając przyjaciółom naszym tworzyć dokoła zwłok orszak w tej chwili ostatniej. Niema przyjaciół dla tych, co śmieli tak myśleć i umierać, jak żyli. Pozostanie im w udziale milczenie, opuszczenie lub plac straconych.

Jakto! tak lekkomyślni i tak okrutni!

Próżna srogość. Od każdego człowieka zależy przygotować sobie na ostatnią godzinę wspaniały orszak, któremu żadna ludzka potęga nie przeszkodzi przejść i zajaśnieć wśród nocy.

Pracujmy nad zgotowaniem sobie takiego orszaku.

Gdy nadejdzie ta chwila, przywołam do swego otoczenia — myśli najgłębsze, najlepsze, do jakich się wznieść mogłem, prawdy, które poznałem i którym służyłem, idee nieśmiertelne, jakie mi się objawiały od młodości aż do dnia ostatniego. Niech przyjdą, niech mię bronią przeciw pośmiertnej zniewadze.

Za pięknych epok ludzkości trwoga zgonu szczupłe zajmowała miejsce w myślach człowieczych. Czynić z tego czarnego punktu przedmiot ustawicznego zajęcia i cel istnienia — to znak upadku.

Gdy ludzie napełnieni byli wielkimi, płodnymi, brzemieniami przyszłością myślami, nie obawiali się ani życia, ani śmierci. Poczuli zaś trwogę zgonu w miarę jak gorzej używali żywota.

Losy rodu ludzkiego przechodziły niejednokrotnie w ręce tych, co umieli używać odpowiednio broni postrachu, wywołując widma zagrobowe.

Słusznie zauważono, że najpobożniejsze, najbardziej rozważaniem śmierci zajęte, armie średniowieczne były bojaźliwe w walce z nieprzyjacielem, a okrutne u siebie wobec bezbronnych tłumów.

Starożytni Indyanie cieszyli się z posiadania dzieci, w nadziei, że te nad nimi odprawią kiedyś obrządek żałobny; Grecy natomiast pragnęli mieć potomstwo, aby mu swe dobra w spadku zostawić.

Oto jaka zachodzi różnica między światem brahmańskim: tam gnuśne oczekiwanie zgonu, tu dobre korzystanie z życia. Strzeżmy się przynajmniej umrzeć za żywota. Są czasy, w których człowiek szybciej niż w innych się starzeje. Pod dobę sceptycyzmu dusze grzybieją prędko, bo nie mają się czem zahartować. Nigdy rozmowy wewnętrznej, nigdy podmuchu z wyższych regionów. Człowiek obraca się w proch na długo przed śmiercią i nie spostrzega tego. Oto niebezpieczeństwo naszego czasu — posucha moralna. Szukajmy więc źródeł nowych, aby się ich wodą napić, póki jeszcze mamy pragnienie.

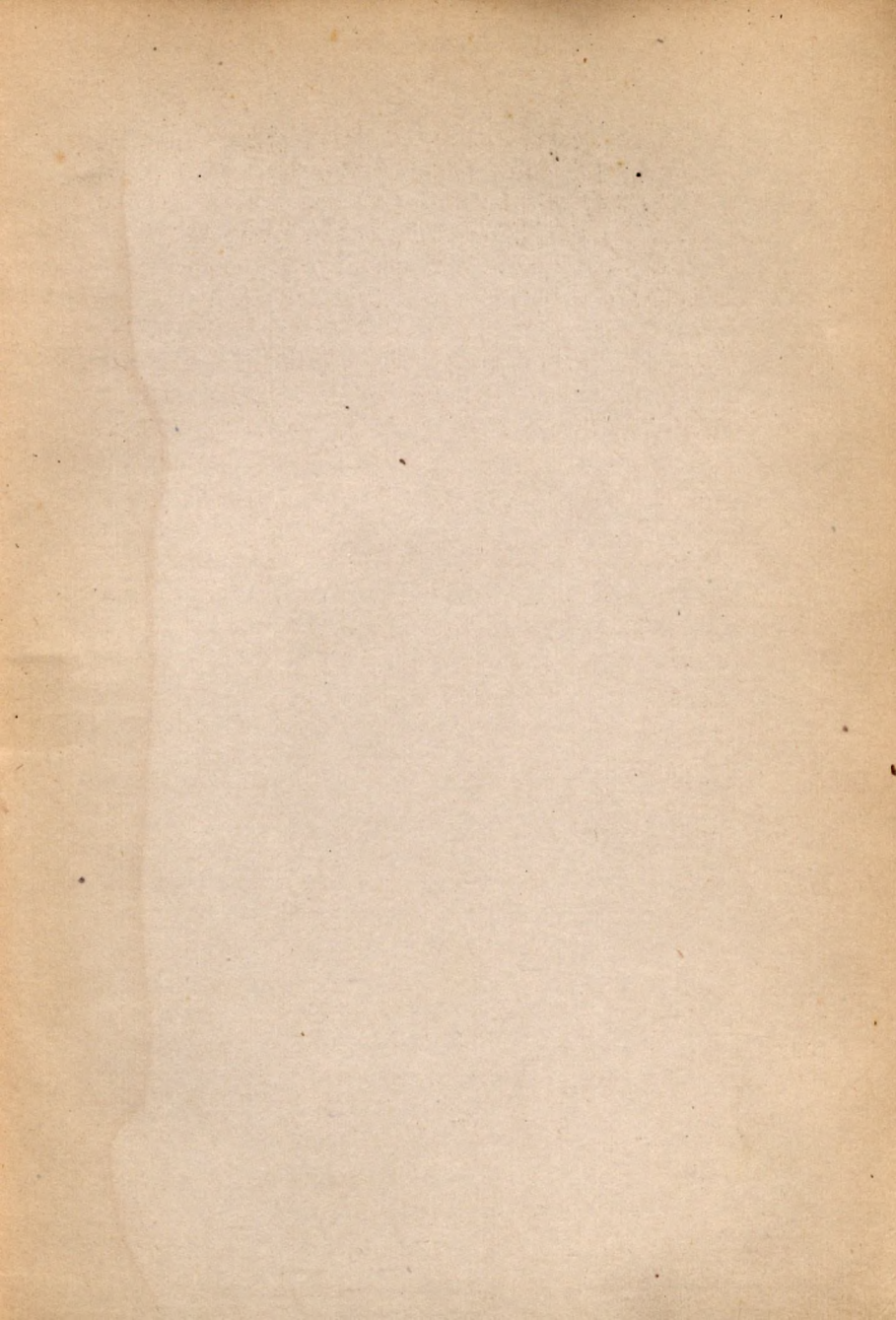
70/04/20

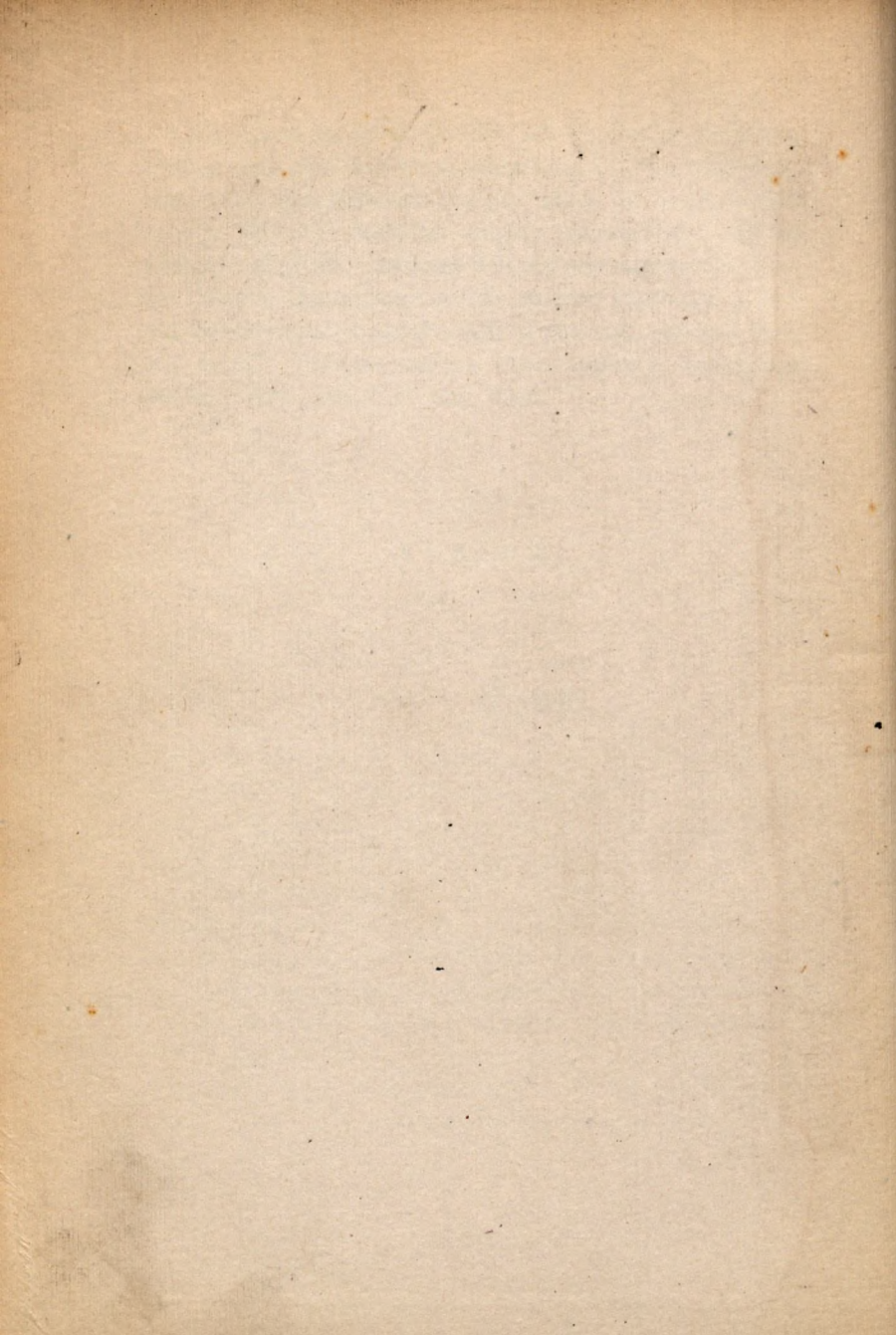
Nie zakończę swej książki, jak Condorcet, nadzieją zniweczenia śmierci; ale powiem: o cóż się mam obawiać? O wszechświat? Światy same ze wszystkim, co żyje w nich i oddycha, ulegną rozwiązaniu, aby się później odrodzić. Istnienie ich ma swe oznaczone kresy. Słońca zgasną, aby potem nanowo zapłonąć. Czyż dla siebie samego żądać mam przywileju, jakiego one nie mają? Przyjmę raczej los, wspólny wszystkim istotom: żyć, umierać, aby ożyć.

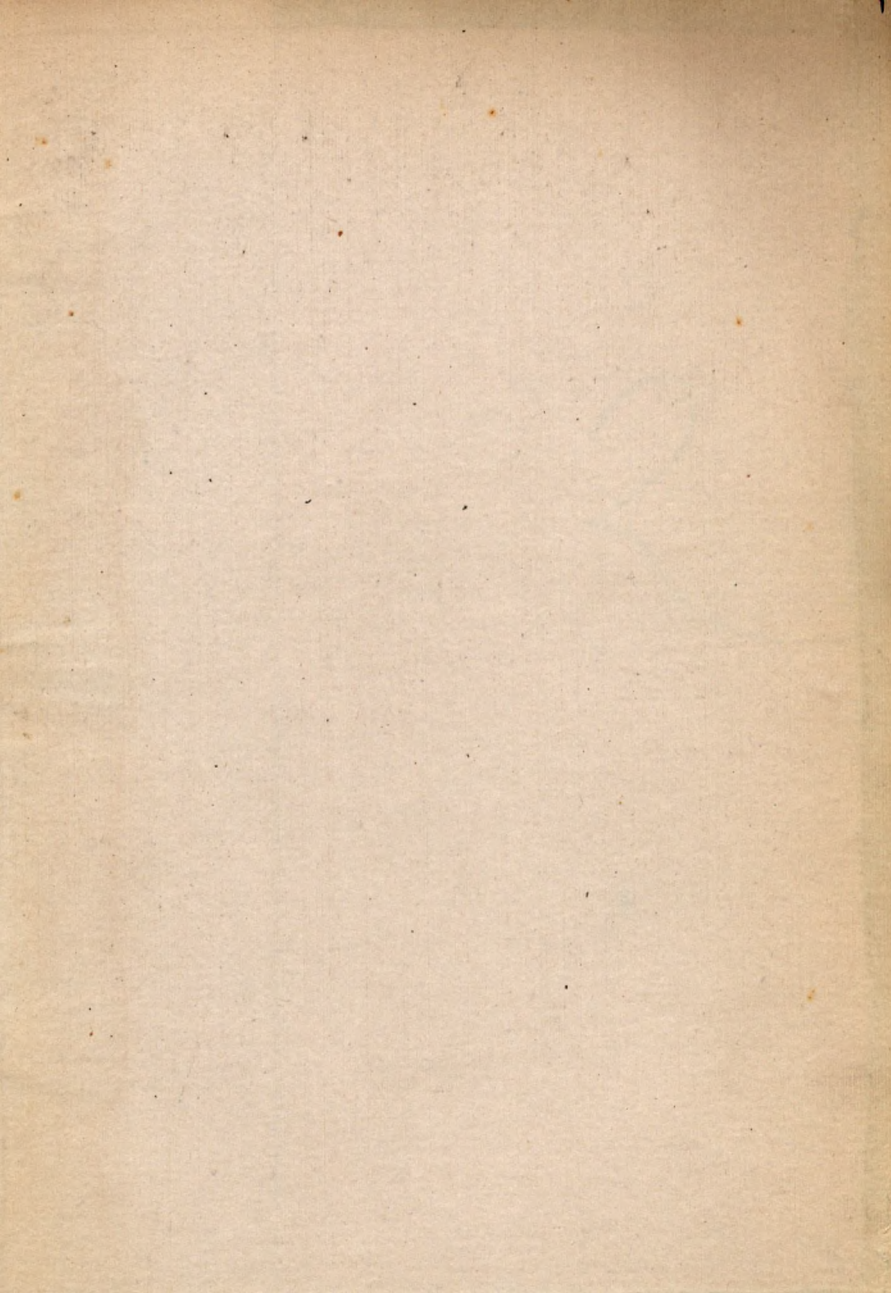
K O N I E C.











Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie



323912

1000072454

